BIZNES NA RZECZ IZRAELA

Jakie firmy najwięcej zarabiają na dramacie palestyńskiej Strefy Gazy?

Wojsko to nie cyrk – gen. Leon Komornicki o katastrofie F-16

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 37/646 8–14 WRZEŚNIA 2025
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



KRASNALOZA W NATARCIU – POLSKIE MIASTA ZALEWAJĄ KICZOWATE RZEŹBY

Nieuchronna szariatyzacja Europy już postępuje

KTO WYGRA TĘ WOJNĘ

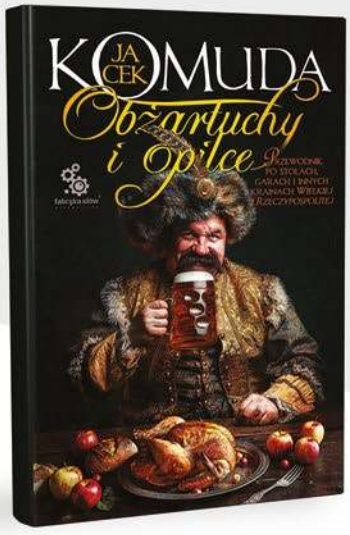
Po wizycie w USA: Tusk nie ma pomysłu na Nawrockiego

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK KOMUDA: „OBŻARTUCHY I OPILCE” ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~601 ZŁ~~

273,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 328 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 9920e5187b



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Prowokacja, która przeszła bez echa

Ciekawe rzeczy mówi były już prezydent Andrzej Duda. Zaryzykuję nawet twierdzenie, że im więcej czasu mija od chwili, gdy opuścił Pałac Prezydencki, tym bardziej jego wypowiedzi stają się interesujące. I tylko ogólne lenistwo mediów sprawia, że to, co powinno wywołać wstrząs, mija niemal bez echa. Cóż, nie dziwię się, w końcu najlepiej definiującym nasze społeczeństwo określeniem jest: „Polacy, nic się nie stało". Naprawdę nic się nie stało?

W środę Andrzej Duda przyznał publicznie, że w listopadzie 2022 r. – po tym, jak w Przewodowie wylądowała, zabijając dwóch ludzi, tajemnicza rakieta – Ukraina próbowała wciągnąć Polskę do wojny z Rosją. Oto kluczowy fragment rozmowy byłej głowy państwa z Bogdanem Rymanowskim:

„BOGDAN RYMANOWSKI: Dzwonił do pana prezydent Zełenski? Można powiedzieć, że zaczął wywierać presję, by Polska od razu oświadczyła, że to jest ruska rakieta?

ANDRZEJ DUDA: Można tak powiedzieć.

B.R.: Był pan wtedy w szoku?

A.D.: Nie.

B.R.: Nie odebrał pan tego, jako próby wciągnięcia Polski do wojny?

A.D.: Tak to odebrałem.

B.R.: I co pan mu powiedział?

A.D.: Nic. Oni od początku próbują wciągnąć wszystkich w wojnę. To jest oczywiste, to jest w ich interesie, a najlepiej, gdyby udało się wciągnąć w wojnę kraje NATO. Oczywiste jest, że poszukują tych, którzy po ich stronie walczyliby czynnie przeciwko Rosjanom. To się dzieje od pierwszego dnia".

Okazuje się zatem, że polski prezydent, mimo że zdawał sobie sprawę z tego, iż Kijów chce wciągnąć Polskę do wojny, uznał to za rzecz oczywistą i – uwaga – w niczym nie zmienił swojego całkowicie bezwarunkowego poparcia dla Ukrainy. To się po prostu w głowie nie mieści.

Po pierwsze, wejście Polski do wojny z Rosją było i jest dla Polski skrajnie niebezpieczne. Naraża na szwank nie tylko istnienie państwa, lecz także życie i zdrowie milionów Polaków. Każdy odpowiedzialny polityk powinien zdawać sobie z tego sprawę. Kto próbuje wprowadzić Polskę do wojny z Rosją, z definicji nie może być zatem naszym sprzymierzeńcem i sojusznikiem. Unikanie wojny z dysponującą siłami nuklearnymi Rosją to polska racja stanu. O ile można rozumieć, że Ukraina, motywowana swoimi egoistycznymi interesami, zastawia na Polskę pułapkę, o tyle nie wolno takiego posunięcia aprobować. Tymczasem mimo tej wiedzy, z którą teraz się prezydent zdradził, cały czas twardo i niezłomnie opowiadał o polsko-ukraińskiej przyjaźni i domagał się bezwzględnego wsparcia finansowego i militarnego dla Kijowa.

Po drugie, można w związku z tym, co powiedział prezydent, zakładać, że Polska musiała brać pod uwagę możliwość, iż rakieta w Przewodowie i śmierć polskich obywateli była po postu ukraińską prowokacją, albo – jak to się bardziej fachowo nazywa – „false flag operation", czyli operacją pod fałszywą flagą. Co więcej, jeśli taką wiedzę miał prezydent Duda, to śmiało można uznać, że dysponowało nią również jego zaplecze polityczne. Jednak zamiast o tym powiedzieć, podejrzenie to skrywano przed opinią publiczną. W imię idei pomocy Ukrainie za wszelką cenę godzono się z tym, że Polska może być traktowana jako narzędzie w skrajnie niebezpiecznej grze. Krótko: ryzykowano los Polski, żeby tylko utrzymać przyjętą od początku rosyjskiej wojny skrajnie proukraińską politykę.

Po trzecie, mimo tej wiedzy, że dla swoich partykularnych celów Kijów gotów jest używać Polski, Warszawa stała i stoi na stanowisku, iż Kijowowi należy się wszelka możliwa pomoc. Wiedząc o próbie wciągnięcia nas do wojny, prezydent Duda i polski rząd dalej obstawali przy pomyśle włączenia Kijowa do NATO.

Po czwarte, szokuje niebywała wręcz nonszalancja i lekkomyślność wypowiedzi prezydenta. To, co powinno wywołać natychmiastową zmianę relacji Warszawy z Kijowem, pada mimochodem. Jakby fakt walki Ukrainy z Rosją miał usprawiedliwiać traktowanie przez nią Polski jako nowego dostarczyciela mięsa armatniego.

Po piąte wreszcie, informacja o dotąd nieznanej wiedzy Andrzeja Dudy dotarła do Polaków niemal w tym samym czasie, kiedy to obecny minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski ogłosił, co z punktu widzenia Rady Ministrów jest najważniejszym celem wizyty prezydenta Karola Nawrockiego w USA. „Rządowi najbardziej zależy, aby prezydent opowiedział o faktycznych celach Władimira Putina w Ukrainie i zabiegał o sprawiedliwy pokój dla Ukrainy" – to słowa naszego szefa MSZ.

Jak widać, elity polityczne nie są w stanie niczego nauczyć się z historii. Nawet powszechna świadomość o sposobie działania Kijowa – bo przecież zakładam, że wiedza Andrzeja Dudy nie była tajemna – nie jest w stanie ich otrzeźwić. Powstrzymam się od określenia takiej postawy, czytelnicy z pewnością potrafią to zrobić sami. ©℗

eprasa.pl 9920e5187b



TEMAT TYGODNIA

14 KACPER KITA
NAWROCKI KONTRA TUSK. KTO WYGRA WOJNĘ NA GÓRZE?
Jak debiutant ogrywa wygę

18 MICHAŁ KRUPA
PO PIERWSZE POLSKA – AKT PIERWSZY

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POLITYKA TUSKA – KIERUNEK NA SAMOZNISZCZENIE

KRAJ

22 ROZMOWA Z GEN. LEONEM KOMORNICKIM
WOJSKO TO NIE CYRK
To karygodne, żeby taki as zginął w pokazach

24 ŁUKASZ WARZECHA
POLITYKA TO ZAJĘCIE RYZYKOWNE

26 RADOSŁAW WOJTAS
KPO NA ŁAPU-CAPU

30 PIOTR CIOMPA
PODPIS ZAMIAST WETA

32 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
BOLESNA DOCIEKLIWOŚĆ INTERNAUTÓW

KULTURA

34 MONIKA MAŁKOWSKA
KRASNALOZA W NATARCIU
Polska pod tonami kiczu

36 PIOTR GOCIEK
GENIUSZ I BIEDAK

38 KRZYSZTOF MASŁOŃ
FANTASY PO POLSKU

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

44 JAN FIEDORCZUK
KRÓTKA ŁAWKA TUSKA
Państwo w rękach dyletantów

48 ROMUALD KMIECIK
ILE ZNACZĄ SŁOWA POLITYKA?

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
NIEUCHRONNA SZARIATYZACJA EUROPY

52 ANNA MANDRELA
DZIKI, ABORCJA I ZABÓJSTWO

HISTORIA

54 PIOTR SEMKA
WIELKA WOJNA O MAŁĄ KIEŁBASKĘ
Bratwurststreit, czyli spór o germański specjał

58 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
TRĄBY W HERBIE

ŚWIAT

60 JACEK PRZYBYLSKI
TRUMP ROBI PORZĄDKI
Wściekli demokraci: prezydent to nie król

63 KRYSTIAN KAMIŃSKI
ROSJA NA KAUKAZIE

66 MACIEJ PIECZYŃSKI
KTO ZASTRZELIŁ PARUBIJA

EKONOMIA

70 JAKUB WOZINSKI
ZARABIANIE NA DRAMACIE GAZY
Biznes na ludobójstwie

PODRÓŻE

74 JACEK PAŁKIEWICZ
MOBY DICK PO CZUKOCKU
Jak znany podróżnik polował na wieloryby

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (57), PRZYBYLSKI (68), GABRYEL, WARZECHA (69), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 9920e5187b

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Kacper Pempel/Reuters/Forum**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl;
tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Wirus głupoty

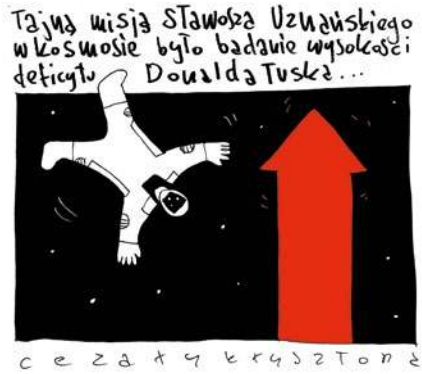
Ledwo, wskutek konieczności ugoszczenia kilku milionów niezaszczepionych Ukraińców, skończyła się w Polsce dość nagle pandemia COVID–19, a już wybuchła nowa, znacznie groźniejsza – pandemia głupoty. Jak kraj długi i szeroki wirus głupoty atakuje całe grupy ludności, nie omijając „wybitnych" mężów stanu, utytułowanych naukowców, prawników, kandydata na prezydenta RP itp. Na domiar złego nic nie słychać, by firma Pfizer opracowywała już jakąś nową szczepionkę albo by pani przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen gromadziła już środki na zakup szczepionek.

A fakty są zatrważające. Naprawdę się dzieje. Oto ugrupowanie sprawujące władzę postanowiło bardziej zadbać o zwierzęta niż o rolników, którzy żyją z ich hodowli, tak jakby to zwierzęta wrzucały głosy do urn wyborczych. Ten oczywisty błąd był jedną z istotnych przyczyn porażki wyborczej. Z kolei całkiem pokaźna część społeczeństwa (30,07 proc. wyborców) poparła w wyborach parlamentarnych partię, której głównym hasłem wyborczym było osiem gwiazdek.

[...]

Również zachowanie głównego konkurenta prezydenta Karola Nawrockiego podczas wyborów, które doprowadziło do jego klęski wyborczej, mimo olbrzymiej przewagi w sondażach, nielegalnego wstrzymania wypłaty subwencji dla partii opozycyjnej, a nawet wsparcia udzielonego mu przez służby, można wyjaśnić chyba tylko działaniem nowego wirusa. Oto kontrkandydat nowego prezydenta RP wymyślił sobie, że najlepszym sposobem na zdobycie poparcia w katolickim kraju jest walka z krzyżem. A żeby jeszcze zwiększyć swoje szanse, postanowił ostentacyjnie zlekceważyć połowę potencjalnego elektoratu i nie wziąć udziału w debacie w Końskich. Tylko dlatego, że debatę prowadziła wraża TV Republika.

Nawet uznany niegdyś za niekwestionowany autorytet prawniczy pewien profesor



z Krakowa, były prezes Trybunału Konstytucyjnego, były rzecznik praw obywatelskich, były przewodniczący Państwowej Komisji Wyborczej, rażony zapewne wirusem, ni stąd, ni zowąd zapragnął przekazać oczywiste uprawnienia władzy sądowniczej – władzy ustawodawczej i przekonywał, że o ważności wyborów prezydenckich powinien decydować nie sąd, lecz politycy ze Zgromadzenia Narodowego. Poruszony tą szokującą opinią jeden z jego znanych kolegów z ławy szkolnej wytknął mu, że „spuścił do kibla dorobek pięciu pokoleń swojej rodziny".

Inny prawnik, nie tak zasłużony, ale chyba najdłuższy, wymyślił, że wybory prezydenckie sfałszowali bracia kamraci, którzy w jakiś tajemniczy sposób opanowali większość komisji wyborczych. I to jest chyba najlepszy dowód na to, jak wielkie spustoszenie może poczynić nowy wirus, jeżeli medycyna nie podejmuje żadnych prób ratowania zdrowia.

Niebywałe głupstwa, które wygadywał publicznie wciąż jeszcze urzędujący, niestety, premier rządu polskiego o prezydencie Trumpie w czasie jego kampanii wyborczej, są udokumentowane na filmie, który można obejrzeć na YouTube. W marcu 2023 r. podczas przedwyborczego spotkania w Bytomiu Donald Tusk mówił o Trumpie, że „jego zależność od rosyjskich służb dzisiaj już nie podlega dyskusji. To nie jest moje przypuszczenie, to jest efekt dochodzenia amerykańskich służb. Nie wykluczają amerykańskie służby, że Trump został wręcz zwerbowany przez rosyjskie służby 30 lat temu". Istnieje także film dokumentujący jego zapewnienia, że „tego typu sugestii nigdy nie zgłaszał".

I w tym wypadku trudno mi uwierzyć, by nowy wirus nie miał wpływu na wypowiedzi premiera [...].

Jan Kalita

eprasa.pl 9920e5187b



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Nawrocki dał radę

Gdyby to było takie łatwe, to każdy gość ze świata robiłby dobre wrażenie w trakcie wizyty w Białym Domu. Ale łatwe to nie jest. Można wykonać jakiś niezręczny gest, dać się zjeść tremie czy wręcz na odwrót – przeszarżować z pewnością siebie. Można nie zrozumieć jakiegoś amerykańskiego idiomu, można opacznie przyjąć jakiś amerykański zwyczaj lub po prostu mieć pecha.

Karolowi Nawrockiemu nic takiego się nie przydarzyło. Doskonale dopasował się do bezpośredniego stylu bycia Donalda Trumpa, bardzo swobodnie rozmawiał po angielsku z dziennikarzami i precyzyjnie przedstawił polskie stanowisko wobec polityki Rosji i wojny na Ukrainie. W niezwykle jasny sposób zadeklarował wsparcie naszego kraju dla Ukrainy jako wspólne stanowisko Polski i Unii Europejskiej. Zaznaczył, że gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy muszą zapewnić temu krajowi stan niepodległości wobec Rosji.

Najważniejszą deklaracją, która padła w czasie rozmowy, była obietnica Trumpa o nieredukowaniu liczby amerykańskich żołnierzy stacjonujących nad Wisłą. To realizacja zasady „Boots on the Ground" – prawidłowości, że ziemia, na której trwale stacjonują żołnierze US Army, znajduje się faktycznie pod parasolem amerykańskiej machiny wojennej. To dlatego zachodnie Niemcy w latach 50. i 60. zadowolone były z obecności amerykańskich garnizonów na terenie RFN. Jeżeli wskutek wspólnych negocjacji amerykańsko-polskich zrealizuje się idea nazywana kolokwialnie Fortem Trump, to poziom naszego bezpieczeństwa jeszcze wzrośnie. W tym sensie Karol Nawrocki realizuje misję, do której wyznaczyło go ponad 10 mln Polaków, oddając na niego głosy – misję zwiększenia bezpieczeństwa Polski przed Rosją.

Nie mniej ważna była druga deklaracja Donalda Trumpa. Zaprosił on Karola Nawrockiego w charakterze obserwatora na przyszłoroczny szczyt państw G20, który odbędzie się na Florydzie. To kolejny krok na drodze umiejscowienia naszego kraju wśród największych decydentów w rozwiązywaniu ogólnoświatowych problemów. Inni liderzy zauważają takie gesty i wyciągają z nich wnioski. Bardzo charakterystyczne było to, że portal Deutsche Welle, reprezentujący opinie zbliżone do niemieckich elit politycznych, po wizycie w Białym Domu nazwał Nawrockiego „nowym graczem na globalnej scenie". Także Agencja Reutera w swojej analizie wskazała na to, że spotkanie Nawrockiego z Trumpem to sygnał ponownego zaangażowania się USA w inicjatywę Trójmorza. I wreszcie warto zacytować francuski „Le Figaro", który podaje, że Nawrocki dąży do uzyskania mocnej gwarancji bezpieczeństwa Polski, a także ożywienia idei Fortu Trump w roli „wzorowego ucznia NATO".

Gdy piszę te słowa, Karol Nawrocki jest w drodze do Rzymu, gdzie spotka się z papieżem Leonem XIV i premier Giorgią Meloni. Przybędzie do stolicy Włoch jako polityk, który pozytywnie zdał egzamin z umiejętności poruszania się w światowej polityce. Jak na kogoś, kto jeszcze 10 miesięcy temu stawiał pierwsze kroki w polityce i jest głową państwa dopiero od 29 dni, to całkiem niezły start. ©℗

KOALICJA CHCE WYSŁAĆ WOJSKA NA UKRAINĘ

26 państw zobowiązało się do udziału w siłach reasekuracyjnych na Ukrainie na lądzie, morzu lub w powietrzu – ogłosił prezydent Francji. – Warunkiem gwarancji bezpieczeństwa, które oferujemy Ukrainie, jest albo umowa pokojowa, albo zawieszenie broni – podkreślił Emmanuel Macron po czwartkowym szczycie „koalicji chętnych" w Paryżu. – Polska nie wyśle wojsk do Ukrainy w ramach gwarancji bezpieczeństwa – zapewnił Donald Tusk, który wziął udział w tym szczycie.

Amerykański prezydent Donald Trump podkreślił podczas telekonferencji z europejskimi przywódcami, że Europa musi przestać kupować rosyjską ropę naftową. Zachęcał także przywódców państw „koalicji chętnych", aby wywierali presję ekonomiczną na Chiny związaną ze wsparciem Pekinu dla Moskwy.

Rosyjski przywódca Władimir Putin wprost zagroził z kolei w piątek, że „zachodnie siły, rozmieszczone w Ukrainie, byłyby dla Moskwy pełnoprawnym celem ataku". Putin przekonywał także, że nie widzi sensu w rozmieszczaniu wojsk koalicji na Ukrainie, skoro zawarte będzie już porozumienie pokojowe. – Rosja będzie przestrzegać porozumień w sprawie Ukrainy – obiecał prezydent Rosji, który zasugerował wcześniej, że rozmowy pokojowe z przywódcą Ukrainy powinny odbyć się w Moskwie. ***(jap)*** ©℗

UNIA EUROPEJSKA--MERCOSUR. UMOWA CORAZ BLIŻEJ

3 września Komisja Europejska przyjęła umowę handlową z państwami Mercosur (Brazylia, Argentyna, Paragwaj, Urugwaj). Aby weszła w życie, muszą ją zaakceptować jeszcze Parlament Europejski oraz kraje członkowskie w Radzie UE (decyzja zapadnie większością kwalifikowaną, potrzeba więc zgody 15 państw stanowiących 65 proc. ludności). W tej sprawie Niemcy są „za". Przeciw są m.in. Polska i Francja. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 9920e5187b

Życie przyspiesza, polityka też. Niemal dokładnie w tym samym czasie, kiedy prezydent Karol Tadeusz spotykał się z Dobrym Donaldem w Waszyngtonie, wiele tysięcy kilometrów dalej też doszło do spotkania, a dokładniej kolacji na szczycie. Pospołu biesiadowali ludzie służb specjalnych, polityki, a także wielkiego biznesu z obu stron Atlantyku. Głównym tematem obrad był rychły upadek Tuska. Znamy listę biesiadników, ale ponieważ wolelibyśmy nie być przedmiotem zainteresowania Langley, zachowamy ją do swojej wiadomości. Przynajmniej na razie. Możemy jednak uchylić rąbka tajemnicy: kolacja odbyła się na marginesie słynnego Forum Ekonomicznego w Karpaczu.

W Karpaczu było ciekawie. Laur Człowiek Roku otrzymał niejaki Gawkowski, z zawodu wicepremier. Nagroda była główną, ale wielu określało ją nagrodą pocieszenia. Największe kolejki na forum ustawiały się bowiem nie do przedstawicieli koalicji, a opozycji. Ze szczególnym uwzględnieniem Przemysława Czarnka oraz Sławomira Mentzena. Nawet były prezydent Andrzej Sebastian gromadził wokół siebie pełne entuzjazmu tłumy, choć na razie może tyle, co martwa mrówka. Nasze wiewiórki określiły to ceremonią całowania w pępek. Nas to nie dziwi – duże pieniądze zwykle pierwsze wyczuwają wiatr zmian.

W powyższym kontekście dodajmy, że nie dziwi nas też wyjątkowo duże nagromadzenie na forum naszych zielonych braci. Peezelowców najechało się niczym traktorzystów do GS-u, kiedy w środku lata rzucą sznur do snopowiązałek. Również peezelowców niższego szczebla. Nie tylko, by całować pępki nowej władzy – głównie dlatego że lobbyści branży biogazowej niemal przechwycili całą imprezę.

Tegoroczny Karpacz szczycił się obecnością większej liczby gości niż ostatnio, ale wyszynk i spyża były mniej obfite. Sytuację ratowały więc imprezy organizowane na mieście przez rozmaite redakcje i izby handlowe. Nas najbardziej zainteresowała obecność tu i ówdzie muszkieterów wolnego słowa, którzy niedawno opuścili pokład bratniej telewizji TujestnajbardziejwPolsce24. Michał Karnowski, Michał Adamczyk i Marcin Tulicki szukali bowiem pieniędzy na swoją nową telewizję, która na początek ma być kanałem na YouTube.

Projekt nowego kanału/telewizji Michała to efekt tego, że – jak już tydzień temu wspominaliśmy – bracia Karnowscy poróżnili się na śmierć i życie. Co ciekawe, podczas gdy muszkieterowie wolnego słowa szukają funduszy, telewizja Jacka, czyli TujestnajbardziejwPolsce24, przymierza się do cięcia kosztów. W ramach oszczędności ma zniknąć ze środka dnia środkowe pasmo informacyjne. W jego miejsce mają być wyświetlane seriale brazylijskie, ale nie jakieś tam Izaury, tylko religijne.

Skoro o pieniądzach: ostatnio lepiej zaczęło się wieść fundacjom i innym organizacjom związanym z szeroko rozumianą prawicą. Spotkaliśmy szefa jednej z takich instytucji, który jeszcze nie tak dawno chodził z nosem na kwintę. Teraz był rozpromieniony. Po zaprzysiężeniu Nawrockiego nagle telefony się rozdzwoniły: prezesi, ambasadorzy i tacy tam różni. Dwaj Panowie G. odnotowują to samo zjawisko. Niestety, jeszcze bez kontraktów sponsorskich.

Na forum obecna była silna delegacja rumuńska z George'em Simionem, liderem Sojuszu na rzecz Jedności Rumunów na czele. Były kandydat na prezydenta Rumunii oraz wiceszef EKR konferował długo na osobności m.in. z premierem Mateuszem. Z tej okazji anegdotka. Kiedy kilka lat temu George pierwszy raz był na forum, nikt z PiS nie chciał z nim gadać. Nie dlatego, że był mało znany, ale dlatego, że nie chciano mieć nic wspólnego z politykiem uważanym przez PiS za prawicowego radykała. Zdaje się, że nieformalny zakaz kontaktów wydał wówczas Ryszard Terlecki. Dziś George to najlepszy kumpel. Sukces ma bowiem wielu kumpli.

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Àpropos relacji z prawicowymi radykałami. Powszechnie interpretuje się ostrą retorykę wymierzoną przez szeregowego posła Jarosława Kaczyńskiego w Konfederację jako efekt zaczadzenia sondażami, które dają PiS możliwość samodzielnych rządów. Nie polega to na prawdzie. Przede wszystkim, mówią wiewiórki z Nowogrodzkiej, naczelnik chce w ten sposób pogonić do roboty rozleniwiony aparat partyjny, który zaczął żyć w błogim przekonaniu, że skoro i tak ma być koalicja z Konfą, to właściwie powrót do władzy jest już pewny. Jarosław tymczasem uważa, że najpierw trzeba wygrać wybory, a tego na pół gwizdka się zrobić nie da. I my to rozumiemy.

Przy okazji chcieliśmy zabrać głos w sprawie sporu, czy Sławomir Mentzen to młody Balcerowicz. Otóż Mentzen nie może być Balcerowiczem, gdyż prawdziwy Balcerowicz był w jego wieku wschodzącą gwiazdą Instytutu Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu. Nigdy dosyć przypominania tego interesującego etapu kariery słynnego reformatora.

Tymczasem w Instytucie Pileckiego. Ceremonia pożegnania dotychczasowego dyrektora Krzysztof Ruchniewicza miała bardzo skromny charakter. A dokładniej mówiąc, w ogóle jej nie było. Ruchniewicz, niczym jakiś szeregowy pracownik, spakował swoje rzeczy w kartonik i tyle go widziano. Nowy dyrektor, Karol Madaj, został powitany z pewnego rodzaju nadziejami. Może dlatego, że wywodzi się z IPN, a na dodatek ma na imię Karol. ©℗

eprasa.pl 9920e5187b



PŁYWANIE W KISIELU

Kwaśny Żurek

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Tak jak należało się spodziewać, rumakowanie nowego ministra sprawiedliwości daje efekty odwrotne od oczekiwanych przez „żelazny elektorat". Zapowiadane „zdecydowane" działania – czyli na początek próba usunięcia „PiS-owskich" prezesów sądów – nabiły się na zdecydowany opór sędziów zasiadających w kolegiach sądów. To jawny bunt środowiska, które do wczoraj było dla tej władzy tym, czym marynarze z Kronsztadu dla rewolucji bolszewickiej – a o którym w tym tygodniu, komentując klęski Żurka, „Gazeta Wyborcza" napisała, że „przyzwoitych sędziów może być ze 20 procent, reszta to w najlepszym razie hipokryci i oportuniści".

Dajcie Żurkowi czas, a niebawem odsetek tych „przyzwoitych" spadnie poniżej 10 proc.

Innym przejawem zdecydowania ministra Żurka miało być postawienie przed sądem I prezes Sądu Najwyższego, a w tym celu uprzednie pozbawienie jej immunitetu przez Trybunał Stanu. Prawnicy niezaślepieni żądzą zemsty na PiS od razu zauważyli, że żurkowe orły popełniły w nadgorliwości gruby błąd, powołując wielu członków trybunału na świadków w szykowanej rozprawie z prezes Manowską, co zgodnie z prawem oznacza konieczność wykluczenia ich ze sprawy, więc do rozpatrzenia wniosku zabraknie ustawowego kworum. A gdy sprawa z tego powodu upadła, nowo powołana na medialną twarz resortowej rewolucji prokurator Wrzosek zareagowała oburzeniem, dopełniając obrazu nieznajomości prawa w powierzonym Żurkowi resorcie.

Na dodatek nowy minister, w zapowiedziach „walki" z PiS bojowy jak sam Stefek Burczymucha, okazał się nader ostrożny w kwestii swego stanu posiadania i jako pierwszy minister w dotychczasowych dziejach III RP odmówił złożenia oświadczenia majątkowego. Choć i tak wszyscy wiedzą, może tylko bez szczegółów, że jako sędzia zgromadził zaskakująco dużo, wiele wartych nieruchomości. Ta ostrożność na pewno przysporzy jemu i rządowi społecznego zaufania. Brawo! Właściwy człowiek na właściwym miejscu. ©℗



PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Zastrzeżenia królewieckie

MAREK JUREK

Są dwa oczywiste postulaty odsuwające bezpośrednie zagrożenie rosyjskie od naszych granic: demilitaryzacja Królewca i wycofanie wojsk rosyjskich z Białorusi. Jeden z moich czytelników, pan Wiesław Krakowiak, sformułował jednak wobec nich (za co jestem szczerze mu wdzięczny) dwa zastrzeżenia warte odpowiedzi.

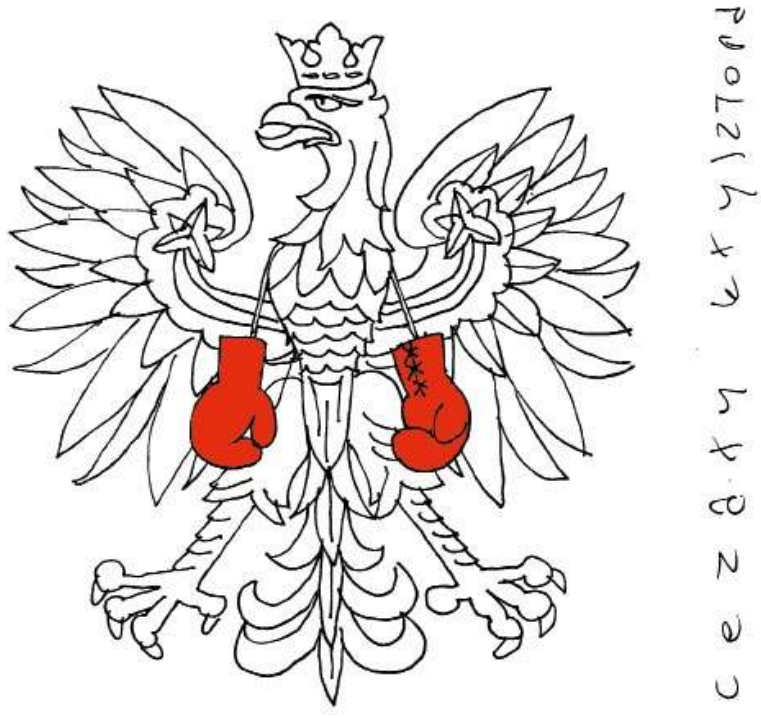
Po pierwsze, że „Amerykanie nie będą tego popierać". Owszem, nie postawią tego postulatu za nas. Ale dlaczego my nie mielibyśmy go stawiać? Jeśli Amerykanie będą zainteresowani pokojem w naszym regionie, to zmniejszenie sił rosyjskich na naszych granicach będzie temu tylko służyć. Jeśli będą poważnie myśleć o udzieleniu nam pomocy w wypadku wojny – to tym bardziej, bo odsunięcie bezpośredniej agresji od naszych granic daje im (i nam) więcej czasu. Biorąc pod uwagę, że wojny kończą się nie tylko apokalipsą, lecz także często „zamrożonymi" nieodwracalnie okupacjami – dla obrony terytorium narodowego ważny jest każdy dzień.

Postulaty dyplomatyczne zaś to forma definiowania interesu narodowego i stanowiska państwa, nie zawsze ultymatywne żądania do natychmiastowej realizacji. Owszem, otwierają perspektywy i wyobraźnię. Od apelu Ronalda Reagana: „Panie Gorbaczow, niech pan zburzy ten mur" do końca zimnej wojny też minęło trochę czasu.

I drugie, że „Rosjanie w odpowiedzi zażądają wycofania wojsk amerykańskich z Polski". To zastrzeżenie zupełnie chybione. Rosjanie domagają się nieobecności zachodnich sił NATO w Europie Środkowej i Wschodniej od 30 lat. To Zachód nie reagował na to żadnymi symetrycznymi żądaniami. Nawet sama perspektywa zwiększenia obecności zewnętrznych sił NATO stanowi dobry środek nacisku na usunięcie (lub zmniejszenie) rosyjskiej obecności militarnej w regionie Królewca i na Białorusi. A przecież obecność wojsk sojuszniczych to dla nas środek bezpieczeństwa, a nie cel sam w sobie. ©℗

eprasa.pl 9920e5187b

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA





PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Bij Żyda!

W Wenecji podczas słynnego festiwalu filmowego odbyła się propalestyńska demonstracja. Na transparentach wypisano i skandowano popularne hasło: „Wolna Palestyna od rzeki do morza", czyli domagano się unicestwienia Izraela. Organizatorzy przed demonstracją zebrali podpisy artystów pod protestem przeciwko działaniom armii izraelskiej w Strefie Gazy. A potem dopisali postulat, by z festiwalu wykluczyć obywateli Izraela i wspierających izraelskie wojsko.

Wymienili Gal Gadot („Wonder Woman"), bo przeszła w Izraelu szkolenie wojskowe i ujmuje się za zakładnikami w rękach Hamasu i Gerarda Butlera („W ręku Dantego"), który w 2018 r. (sic!) kwestował na rzecz „Przyjaciół izraelskiego wojska". Na to dictum podpisy pod protestem wycofali m.in. Toni Servillo, Ferzan Ozpetek, Carlo Verdone, Paolo Sorrentino i piosenkarka Fiorella Mannoia. Powiedzieli, że nie chcą uczestniczyć w polowaniu na czarownice i antysemickiej nagonce. Dyrekcja festiwalu wyrzuciła petycję do kosza.

W tym samym czasie na równie genialny pomysł wpadł profesorek uniwersytetu w Palermo Luca Nivarra. Zaapelował w sieci: „Niech nasi żydowscy przyjaciele poczują się sami. Usuńmy ich z grona przyjaciół na Facebooku!". Oczywiście chodzi głównie o Włochów żydowskiego pochodzenia, czyli o antysemityzm. Szczególnie że spora większość z nich protestuje przeciwko temu, co dzieje się teraz w Strefie Gazy. Profesorek niezbornie tłumaczy, że wstąpił do Partii Komunistycznej w 1970 r., więc nie jest antysemitą. Rektor skomentował, że prof. Nivarra wydaje się działać metodami, które rzekomo chce zwalczać i nie zdaje sobie sprawy z możliwych skutków.

Rektor chyba miał trochę racji. Oto fragment paskudnego e-maila, który pewien mediolańczyk wysłał kilka dni później radnemu i członkowi Gminy Żydowskiej Daniele Nahumowi: „W Auschwitz przynajmniej mieliście wyżywienie, miejsce pracy i snu. To, co robicie w Palestynie, jest o wiele gorsze niż wasza farsa o Holokauście. Skończył się czas rzekomych ofiar. Wasi rodzice są winni, bo wydali na świat pasożytów". ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 9920e5187b



GWIAZDOBZDUR

AWANTURA BEZ SENSU

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

Krystyna Janda znalazła się wśród beneficjentów środków z KPO w dziale kultury. Dwieście tysięcy złotych otrzymała Fundacja Krystyny Jandy na rzecz Kultury na realizację projektu „Teatr bez barier: »Pan Hoho« – spektakl teatru Polonia na żywo i online". W skrócie: to, co zagrają na żywo, nagrają i wrzucą do sieci. Nie wszystkim spodobało się, że po środki sięgają i tak już bogaci, aby stać się jeszcze bardziej bogatymi. Reżyser postanowiła odpowiedzieć krytykom, bagatelizując zarzuty. „KPO to krajowy plan odbudowy po COVID. Złożyliśmy dwa wnioski dla kultury, jeden na rejestrację spektaklu »Pan Ho Ho« i umieszczenie go w Internecie dla ludzi do oglądania bezpłatnie, drugi wniosek na zakup sprzętu, bo podczas naszych spektakli letnich na ulicy bardzo go zniszczyliśmy, z powodów deszczy itp. Na ten wniosek pieniędzy nam nie przyznano" – rozpoczęła wpis na Facebooku. Janda zapewnia, że pomimo fali krytyki nie rezygnuje z zadania realizacji nagrania spektaklu przy udziale publiczności i udostępnienia go w Internecie do końca roku. „Spektakl »Pan Ho Ho« Witolda Dulęby wyprodukowaliśmy podczas okresu zamkniętych teatrów w okresie COVID [...]. To ważny tekst, analiza narodzin dyktatury i tyranii" – zauważa aktorka. „Spektakl za chwilę zejdzie ze sceny i zależało nam, żeby nie przepadł i nie został zapomniany. Dużo zamieszania wokół tego KPO, mamy nadzieję zrealizować to nagranie przy udziale publiczności i umieścić w Internecie do końca roku. Zobaczymy, bo awantura gigantyczna" – podsumowała.

I o co te krzyki? O co te lamenty? Będzie to będzie. Pani Krystyno, nie warto się przejmować. To na pewno ci wredni pisowscy tak się awanturują.



FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

WSZYSTKO NA WIERZCHU

W ostatnim czasie media plotkarskie pisały sporo o trudnych relacjach w rodzinie Cugowskich. To za sprawą wywiadów. Najstarszy syn muzyka, Wojciech, gorzko podsumował swoje stosunki z ojcem.

– Często go nie było, bo żeby utrzymać rodzinę, to będąc muzykiem w tamtych czasach, trzeba było być poza domem. Dzisiaj też się zarabia poza domem i też trzeba dużo jeździć, ale mam wrażenie, że na pewno nie tyle, co wtedy. Myślę, że do pewnego momentu mieliśmy dobre stosunki – opowiadał na kanale Bogdana Rymanowskiego. Lider Budki Suflera odniósł się do tych słów. – Ma rację. Nie mam żalu, bo to jest trochę prawdy. Może nie wszystko, bo to zawsze jest tak, że jednak opinie są zawsze podyktowane miejscem, w którym się jest [...]. Ale tu, jeżeli chodzi o to, że mnie nie było, to pełna zgoda – przyznał w rozmowie z Krzysztofem Stanowskim. – Ja na dobrą sprawę to nawet nie za bardzo brałem udział w wychowaniu synów, którzy się urodzili pod koniec lat 70. Mój najstarszy syn będzie miał 50 lat w przyszłym roku – to wszystko jest niemożliwe, to się na pewno nie dzieje, no ale tak jest. W każdym razie ja [...] nawet nie brałem udziału w ich wychowaniu, bo nie było mnie – wskazał. Dodał, że trudność w nawiązaniu relacji dotyczy także wnuków. – Ja jestem człowiekiem, który nie umie mieć kontaktu z dziećmi. Ja się przyznaję. Dotyczy to też wnuków [...]. Ja do wnuków, jeśli potrafię się z nimi dogadać, to już jest lepiej. Ja się przyznaję, to jest jakaś ułomność psychiczna u mnie, że ja nie umiem mieć z nimi kontaktu – opowiadał. A nie lepiej, żeby przemawiać do świata swoją muzyką? Taka luźna refleksja.

ŚLUBNE PERYPETIE

Niedawno poseł PiS, Łukasz Schreiber, podzielił się radosną nowiną. Polityk poślubił swoją ukochaną Weronikę, z którą spotyka się od blisko roku. W sieci pojawiły się zdjęcia i wideo. Młoda małżonka nie ukrywa swojej ekscytacji. „Wciąż jesteśmy ogromnie wzruszeni... i tak od piątku. Za nami absolutnie najpiękniejszy w dotychczasowym życiu weekend. Jesteśmy tak bardzo wdzięczni! Jesteśmy dumni! PS Wybaczcie ślubny spam, ale przepadłam..." – pisała z radością. Internetowi obserwatorzy nie mogli doczekać się reakcji Marianny Schreiber, byłej już żony posła, która niezwykle chętnie pokazuje w sieci swoje życie prywatne, w tym miłosne, nie szczędząc szpilek wbijanych w byłego męża. – Łukaszowi bardzo łatwo przychodzi wstępować w związek małżeński, wszak jest to jego trzecia żona i zapewne nie ostatnia – tak skomentowała ślub w rozmowie z Pudelkiem. Zapewniła (a my jej nie dowierzamy), że nie interesują jej podboje sercowe Schreibera i zarzuciła, że to „marne reprezentowanie prawicowych wartości". – Śledzenie jego miłostek i związków przestało mnie już interesować. Wolę oglądać „Modę na sukces" w telewizji, a nie brać udział w tak marnym reprezentowaniu prawicowych wartości. Osoba Łukasza Schreibera jest przeze mnie poważnie traktowana tylko w kwestii naszego dziecka. Reszta to dla mnie kabaret, w którym nie będę brać udziału – zapewniła celebrytka. Oj, Marianno, obyś nie musiała połykać własnego języka. ©℗

eprasa.pl 9920e5187b



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, prezydent tego kraju (prawie napisaliśmy „nasz prezydent" xDDD) znów nie przepuścił okazji do wykazania się toksyczną męskością i podczas spotkania z młodzieżą ze szkoły średniej pochwalił się, że on kebaba to je tylko z ostrym.

Rozumiecie? Wziął i się popisuje przed dziećmi tak naprawdę, przed młodzieżą, która dopiero teraz uczy się prawidłowych postaw moralnych, wzorców i tego, co jest słuszne. Młodzieżą, która jest bardzo wrażliwa na formy dyskryminacji czy wystawiania na pośmiewisko. A tu przyjeżdża do niej do szkoły prezydent, który się chwali, że do kebsa tylko ostry sos.

Dlaczego nie możemy mieć prezydenta, który jednocześnie będąc słusznej postury, opowiedziałby młodzieży, że to nie jest wstyd zamówić kebaba z mieszanym ani nawet z łagodnym (mieliśmy kandydata, który tu by pasował...), już nie mówiąc o czosnkowym albo jakimś bardziej wymyślnym i egzotycznym typu spicy mango albo tysiąca wysp – no ale te to raczej są dostępne w kraftowych kebabowniach w Warszawie.

Przecież nie ma nic złego w zamawianiu kebsa z sosem, który nie piecze. Naszym zdaniem prezydent znów chciał się popisać – nie miał okazji do zrobienia pompek ani przysiadu, więc zaflexował się na punkcie kebsa, strasznie słabe.

Już nie mówiąc o tym, iż raz – głowa państwa promuje jedzenie mięsa



i przemysłowy chów zwierząt, a dwa – że kebs to menu odpowiednie dla seby spod bloku, a nie dla głowy państwa. Wyobrażacie sobie Rafała z kebabem – wołowe, na cienkim z sosem ostrym? Nie? No właśnie, istnieją przecież pewne granice.

Prezydent, jak widzicie, jest niesłychanie memogenną postacią i można by wiele o nim pisać, ale musimy się skupić także na bieżących tematach o krytycznym znaczeniu dla państwa, jak np. zdjęcie Jarosława Kaczyńskiego z wakacji.

Może je widzieliście gdzieś w mediach społecznościowych – Kaczafi pozuje w czapce z daszkiem, kurtce przeciwdeszczowej, na jakiejś łódce, a w ręku trzyma szklankę piwa, sądząc po uśmiechu bynajmniej nie bezalkoholowego.

No i pisowcy dostali wzmożenia, że sigma, że aura, że jaki szef, że wykreował prezydenta i teraz fajrant itd. A my widzimy na tym zdjęciu starszego człowieka, który nie ma konta w banku i mieszka z kotem. Kochani, nie zapominajcie o tym, nie dajcie się zwieść – nie jest to żaden sympatyczny starszy pan i choćby młodzieżówka PiS zaspamowała pół Internetu, okraszając to zdjęcie różnymi młodzieżowymi sformułowaniami dotyczącymi tego krwawego dyktatora, my przypominamy, iż należy natychmiast odsunąć PiS od władzy, iżby rząd mógł wreszcie spełnić swoje obietnice!

Z pewnością widzieliście hashtag: #robimyniegadamy – pomóżmy rządowi i nie dopuśćmy, aby Kaczafi, jego siepacze, jego prezydent i jego manipulatorzy od social mediów przeszkadzali w dziele odbudowy polski w świeckim duchu demokracji!!! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Bilionerzy

Andrzej, coś trzeba zrobić z tym bilionem PKB.
Nie do końca rozumiem, Donald. Co byś chciał?

No bo niby jesteśmy tymi bilionerami jako kraj, w tym klubie, ale co ja z tego mam?
Ty? No przecież ty masz emeryturę z Unii...

Oj, ale nie w sensie: ja, Donald. Co z tego mam ja jako obywatel, taki hipotetyczny?
Dumę? Satysfakcję?

No bez jaj. Dumą się ludzie mają najeść? Ty sobie zobacz nasze notowania. A nie można by tak trochę rozdać z tego biliona?
Jak rozdać? Przecież to jest PKB, a nie jakaś pula z lotto.

Oj, bo wy, ministrowie finansów, to zawsze musicie tak komplikować.
©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Edukacja zdrowotna to przyszłość. Rządy Kaczyńskiego i Episkopatu to przeszłość".

TOMASZ TRELA, *poseł Nowej Lewicy, na X o wprowadzeniu do szkół nowego przedmiotu*

eprasa.pl 9920e5187b



CHIŃCZYCY BUDUJĄ ANTYZACHODNI SOJUSZ

Przywódca Chin Xi Jinping w ubiegłym tygodniu oficjalnie odsłonił karty: chce przyjąć rolę nowego strażnika powojennego porządku światowego. Gdy 1 września w chińskim Tiencinie zakończył się dwudniowy, jubileuszowy 25. szczyt Szanghajskiej Organizacji Współpracy (SOW), jego uczestnicy zgodnie przyjęli 20 różnych dokumentów oraz deklarację, która wzywa do budowy bardziej sprawiedliwego, wielobiegunowego porządku światowego, jedności w walce z terroryzmem oraz do reformy ONZ, która dostosowałaby liczącą 80 lat organizację do „współczesnych realiów politycznych i gospodarczych".

W deklaracji tiencińskiej liderzy 20 państw tworzących międzynarodowy sojusz nazywany „wschodnim anty-NATO" – wśród których najważniejsze są Chiny, Rosja, Indie, Pakistan, Iran i Białoruś – potępili również „agresję militarną Izraela i Stanów Zjednoczonych na Iran w czerwcu 2025 r.". W oficjal-

eprasa.pl 9920e5187b



nym dokumencie zapisano, że Izrael i USA dopuściły się wówczas „poważnego naruszenia prawa międzynarodowego i Karty Narodów Zjednoczonych". Liderzy krajów SOW potępili także działania Izraela w Strefie Gazy i poparli chińską Inicjatywę Pasa i Szlaku i kolejny raz zadeklarowano chęć odejścia od dolara amerykańskiego i zwiększenia we wzajemnych rozliczeniach handlowych udziału walut narodowych.

Ambicje Chin do przejęcia przywództwa we współczesnym świecie wyraźnie pokazała również największa w historii defilada chińskiej armii. Wzięło w niej udział ponad 10 tys. żołnierzy. Chińczycy zaprezentowali także nowoczesne uzbrojenie, w tym rakiety balistyczne z głowicami nuklearnymi, broń laserową, a także nowe systemy obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej.

– Naród chiński zdecydowanie stoi po właściwej stronie historii, po stronie postępu ludzkości – ogłosił przywódca Chin Xi Jinping.

Paradę wojskową zorganizowaną w 80. rocznicę zakończenia drugiej wojny światowej w Azji obserwowali przywódcy 26 państw, a na trybunie honorowej zasiedli m.in. przywódca Rosji Władimir Putin oraz koreański dyktator Kim Dzong Un. ***(jap)*** ©℗

FOT. CHINA DAILY/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 9920e5187b

Nawrocki kontra Tusk. Kto wygra wojnę na górze?



Kacper Kita

Na naszych oczach ma miejsce ciekawy eksperyment. Nigdy wcześniej w III RP nie było sytuacji, w której w środku kadencji rządu został wybrany nowy prezydent z przeciwnej opcji. Teraz czekają nas prawdopodobnie dwa lata wojny na wyniszczenie między prezydentem mającym silny i świeży mandat społeczny a najdłużej urzędującym premierem w historii Polski

Pierwszy miesiąc kohabitacji pokazał jasno, że żadna ze stron nie zamierza ustępować. Zarówno Nawrocki, jak i Tusk kierują swój przekaz w pierwszej kolejności do swoich najbardziej oddanych zwolenników, którzy chcą konfrontacji. Nawrocki wie, że wygrał wybory, bo wielu wyborców chciałoby głowy Tuska na srebrnej tacy. Nowy prezydent postanowił zatem w pełni wykorzystywać swoje kompetencje. Widać tu wyraźny kontrast z Andrzejem Dudą. Poprzedni pan na Belwederze co prawda w 2015 r. też zaczynał od współpracy z obcym premierem, ale objął urząd kilka tygodni przed już zaplanowanymi wyborami do Sejmu, więc mógł ograniczyć się do demonstracyjnego ignorowania premier Kopacz, i bez tego powszechnie traktowanej jako postać schodząca. Podczas prawdziwej kohabitacji – 19 miesięcy szarpaniny z Donaldem Tuskiem – Duda zawetował tylko kilka najbardziej kontrowersyjnych ustaw, a podpisał np. refundację in vitro. Czuć było napięcie między ostrą niekiedy retoryką (sam tego doświadczyłem, gdy w wywiadzie, który współprzeprowadzałem, prezydent wypowiedział słynne słowa o „wieszaniu") a silnym przywiązaniem do instytucji i legalizmu. Pod koniec widać też było zwyczajne, ludzkie zmęczenie po dekadzie na szczycie.

Na tym tle Nawrockiemu jest względnie łatwo uzyskać efekt świeżości, nowej krwi i dynamizmu. Sytuacja ułożyła się idealnie, by jego pierwsze kroki były odbierane w społeczeństwie mniej lub bardziej świadomie niczym archetypiczna podróż od zwykłego człowieka, zmagającego się ze słabościami, do herosa. Od wielomiesięcznych hamletyzacji prezesa Kaczyńskiego, rozważającego, czy wskazać prezesa IPN jako kandydata, czytania z kartki w hali „Sokoła", kiepskich sondaży, przez wzloty i upadki związane choćby ze sprawą kawalerki, do ostatecznego zwycięstwa gdańskiego Dawida nad demonicznym Goliatem – Trzaskowskim. Ta epopeja znakomicie łączy się także z wizerunkiem Nawrockiego jako wojownika systematycznym wysiłkiem wspinającego się po szczeblach drabiny społecznej oraz częstymi odwołaniami nowego prezydenta do Boga i chrześcijaństwa. Czyż mogliśmy mieć lepszą reklamę życia sakramentami i pracy nad swoimi słabościami, dzięki otwarciu się na Chrystusa i Jego oczyszczające miłosierdzie, niż prezydent, który publicznie zachęca najpopularniejszego dziennikarza w kraju, by odważył się po latach pójść znowu do spowiedzi?



FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/FORUM

CZY TUSK WIE, CZEGO CHCE?

Oczywistym kontrastem z poprzednikiem jest też weto wobec ustawy

eprasa.pl 9920e5187b



przedłużającej przywileje socjalne dla Ukraińców. Sprawa ta pokazuje skądinąd niezwykłą ułomność Donalda Tuska. Premier miał przecież wszystkie karty w ręku. Doskonale wiedział, jakie są nastroje społeczne. Rafał Trzaskowski już w styczniu wyszedł z pomysłem odebrania „800+" niepracującym Ukraińcom. Platforma miała długie cztery miesiące, by przeprowadzić taki projekt, który przecież nie byłby skomplikowany prawnie, przez Sejm. Jeśli prezydent Duda by go podpisał, Trzaskowski mógłby pokazać skuteczność i częściowo osłabić swój wizerunek jako reprezentanta obcych interesów. A przecież można było sobie nawet wyobrazić sytuację, w której Duda by taką ustawę zawetował – niezwykle dogodną wyborczo dla Platformy.

Tusk i Trzaskowski konsekwentnie wybierali jednak dążenie do mobilizacji własnych zwolenników zamiast demobilizacji szeroko pojętej prawicy, co dobitnie pokazała także rozmowa prezydenta Warszawy ze Sławomirem Mentzenem między turami. Po porażce z Nawrockim nie widać, by Tusk uznał to za błąd. Premier już 2 czerwca deklarował, że ma „plan B" na wypadek wygranej kandydata PiS, ale po ponad trzech miesiącach niczego konkretnego nie widać. Długa oczekiwana rekonstrukcja, po trwającym tygodniami teatrze, także służyła zabezpieczeniu bazy PO, ewentualnie dalszej konsumpcji koalicjantów, ale na pewno nie pokazaniu nowego pomysłu na rządzenie Polską.

Tusk ma wobec Nawrockiego dwa podstawowe narzędzia. Z jednej strony, może demonstracyjnie pomijać weto, wprowadzając rozmaite rozwiązania przez rozporządzenia – choćby naruszało to prawo. Ministrowie Żurek i Kierwiński mogą wykorzystywać prokuraturę, policję i służby do uderzania

eprasa.pl 9920e5187b

w przeciwników politycznych. Korzyść – prezydent może wyjść na bezsilnego, tak jak Duda mógł jedynie werbalnie protestować, gdy siłowo przejmowano media publiczne czy wyrzucano z pracy prokuratora krajowego. Może to osłabić aurę Nawrockiego jako silnego, prężącego muskuły przywódcy.

Druga taktyka Tuska to wysyłanie Nawrockiemu możliwie dużo projektów ustaw na biurko. Niektórzy politycy rządu odgrażają się, że jesienią nastąpi ofensywa legislacyjna. W czasie kohabitacji z Dudą centrolewicowa koalicja często kłóciła się między sobą, przez co niektóre jej sztandarowe pomysły nie wyszły nawet z Sejmu, a sam Tusk ewidentnie – jak to on – nie palił się do pracy. Treścią rządzenia było raczej administrowanie, reagowanie ad hoc na kryzysy, „rozliczenia" i podział łupów, a w dodatku Duda wetował niewiele z tego, co już do niego dotarło. Można było też wyczuć wyczekiwanie na „spokój", gdy w Pałacu wreszcie zasiądzie Trzaskowski. Narracja o „złym Dudzie, który blokuje, więc trzeba go pogonić", była wyjątkowo mało wiarygodna.

Teraz Tusk może naprawdę dążyć do zwarcia z Nawrockim i przedstawiania go jako prawdziwego blokującego, który paraliżuje państwo, wobec czego premier ma wymówkę. Im więcej wet, tym trudniej tłumaczyć Polakom, czego dotyczą i dlaczego są uzasadnione. Już teraz niektóre przychylne centrolewicy media zaczęły kreować narrację, że Polakom wkrótce znudzą się weta prezydenta i zaczną mieć mu je za złe. Nie jest to zupełnie wykluczone, choć raczej dopiero za wiele miesięcy.

Ryzyko tej taktyki Tuska – Polakom weta mogą wcale się nie znudzić. W końcu Nawrocki ma bezpośredni i świeży mandat od narodu. Badania sugerują, że społeczeństwo wolałoby wzmocnić władzę prezydenta niż premiera. Tusk musiałby zaryzykować poważny, odczuwalny społecznie kryzys, który wynikałby z któregoś weta. Sytuację w stylu amerykańskiego „government shutdown", „zamknięcia rządu" na kilka dni lub tygodni, gdy prezydent i Kongres nie zgadzają się w sprawie budżetu. Przedsmakiem może być ewentualne odmrożenie cen energii od października. To jednak także ryzyko, że Nawrocki skutecznie zrzuci odpowiedzialność na Tuska, to jego przedstawiając jako zawalidrogę, „złóg" z poprzedniej epoki czy wręcz „żywego trupa", którego czas nieuchronne się skończy.

Nawrocki skutecznie odbiera Tuskowi to, co było przez lata jego siłą – status polityka „światowego", umocowanego na Zachodzie przez swoje niezwykłe doświadczenie i kontakty

TRUMP ZBUDOWAŁ NAWROCKIEGO

Jeszcze jednym potencjalnie dobrym pomysłem dla Tuska było granie na sentymencie suwerennościowym w kontekście relacji z USA i szeroko obecnym w Polsce lęku, że zachodni sojusznicy „sprzedadzą nas Rosji". Narrację o znaku równości między PiS, Trumpem i Putinem Platforma stosowała ochoczo, choćby w kampanii przed wyborami do Parlamentu Europejskiego. Równolegle Tusk przedstawiał się jako premier „czasów przedwojennych", podsycając lęki społeczne przed konfliktem. To oczywiście obiektywnie szkodliwe, ale potencjalnie politycznie skuteczne.

Tym bardziej że obóz PiS ma skłonność do wiernopoddańczego, pachnącego postkolonializmem stosunku do Waszyngtonu. Większości Polaków ewidentnie nie podobały się chociażby słynne oklaski i skandowanie nazwiska Donalda Trumpa w Sejmie. Po latach ostrego krytykowania donoszenia na Polskę za granicą wypada to śmiesznie, gdy niektórzy politycy PiS robią to samo, skarżąc się na obecny rząd Amerykanom. A już idealnie dla PO byłoby, gdyby starsi bracia zza oceanu wystawili Nawrockiego mimo owych proamerykańskich zabiegów PiS.

Nawrocki bezbłędnie przeszedł jednak przez to pole minowe, a okoliczności międzynarodowe ułożyły się dla niego korzystnie. Trump, owszem, spotkał się z Putinem, ale nie zawarł żadnego porozumienia, które mogłoby wywołać obawy Polaków o „nową Jałtę". Nawrocki został zaproszony do Białego Domu rekordowo szybko – nigdy wcześniej żaden polski prezydent ani premier nie był tam w pierwszym miesiącu urzędowania. Prezydent USA potraktował naszą głowę państwa bardzo uprzejmie, wielokrotnie wypowiadał się ciepło o Nawrockim i Polsce. Amerykanie upamiętnili tragicznie zmarłego polskiego pilota F-16. Trump jasno zadeklarował, że amerykańscy żołnierze będą dalej stacjonować w Polsce, a nawet dodał, że może być ich więcej, jeśli sobie tego zażyczymy. Warto zwrócić uwagę na to drugie zdanie, które jest cenną kurtuazją – stwierdza, że to Polacy mogą zdecydować, czy życzą sobie dodatkowej obecności sił US Army (pozostawiamy na boku dyskusję, czy tak jest faktycznie, ale to dobrze, że prezydent USA właśnie tak uprzejmie sformułował to zdanie).

SZACUNEK ZAMIAST UPOKORZEŃ

Ani podczas tego spotkania, ani podczas wcześniejszej rozmowy sekretarza stanu Marca Rubia z ministrem spraw zagranicznych Radosławem Sikorskim Amerykanie nie wyciągnęli publicznie żadnego z licznych przecież tematów trudnych, niekomfortowych dla Nawrockiego i mogących pogorszyć stosunek Polaków do Trumpa. Nie padło nic o roszczeniach majątkowych środowisk żydowskich. Nie pojawiła się presja na wysłanie polskich żołnierzy na Ukrainę. Nie było mowy o tym, że Polacy muszą koniecznie kupić więcej broni od Lockheed Martina czy natychmiast zgodzić się na drugą amerykańską elektrownię atomową.

Polski prezydent został potraktowany z szacunkiem. A wiemy, że Trump nie ma problemu z publicznym łajaniem czy protekcjonalnym odnoszeniem się do innych przywódców, gdy ich do siebie zaprosi. Doświadczyli tego w ostatnich miesiącach Wołodymyr Zełenski, prezydent RPA Cyril Ramaphosa czy premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer. Nie pojawiło się nic o „zapóźnieniu Polski w sprawie praw LGBT", o którym mogliśmy słyszeć od ambasador Mosbacher czy ambasadora Brzezinskiego – ani podczas tej wizyty, ani z ust obecnego nominata Trumpa, Toma Rose'a.

eprasa.pl 9920e5187b

Co więcej, sam Nawrocki nie zrobił niczego, co stawiałoby go w złym świetle. Dobrze mówił po angielsku. Nie zachowywał się wobec Trumpa, jak chcący nadskakiwać swojemu cesarzowi wasal – a niektórzy inni politycy w aż niesmaczny sposób prawią prezydentowi USA komplementy – tylko godnie i normalnie. Nawet najbardziej nieprzychylne mu media liberalno-lewicowe mogły odnotować z zadowoleniem, że tym razem ów straszny kibol niczego nie zepsuł, więc Polska nie straciła.

Nawrocki tym samym skutecznie odbiera Tuskowi to, co było przez lata jego siłą – status polityka „światowego", umocowanego na Zachodzie przez swoje niezwykłe doświadczenie i kontakty. Prezydent Stanów Zjednoczonych ostentacyjnie okazywał, że to Nawrocki jest „jego człowiekiem", a jednocześnie Tusk jest na amerykańskich salonach persona non grata. Nie ma żadnych szans na podobne zaproszenie, nie było go też nawet na zbiorowym spotkaniu Trumpa z przywódcami kilku państw europejskich.

Decyzja Nawrockiego, by nie wpychać się na ów wielostronny szczyt trzy tygodnie temu, tylko poczekać na własne spotkanie bilateralne, na którym to Polska będzie w centrum uwagi, się obroniła. Debiutant wygrał z wygą. Amerykanie nie są głupi – wiedzą przecież, że Nawrocki nie rządzi w Polsce. Świadomie wspierają na miękko nowego prezydenta przeciwko premierowi, dostarczając Nawrockiemu powodów, by Polacy byli z niego zadowoleni.

TUSK NIC NIE UGRAŁ

Jakby tego było mało, Tusk nie jest w stanie nijak zrekompensować swojej słabości – wynikającej wprost z jego głupich błędów i irracjonalnych ataków na Trumpa – na polu europejskim, na którym teoretycznie powinien być mocny. Polacy przez dwa lata nie dostali od Unii Europejskiej, Niemiec, Francji ani nikogo innego żadnej namacalnej korzyści, którą wywalczyłby dla nas rząd.

Odblokowanie KPO – mające być brutalną demonstracją tego, że to Tusk załatwi dla nas wielkie unijne pieniądze, czego PiS nie był w stanie zrobić – zamieniło się w groteskę, gdy wyszła na jaw duża liczba ewidentnie naciąganych dotacji z tego programu. Traktat z Paryżem, zawarty tuż przed wyborami prezydenckimi, jest deklaracją dobrej woli, która nie przełożyła się na konkretne porozumienie w sprawie pogłębienia współpracy militarnej czy energetycznej, a za to zawiera np. zobowiązanie do wspólnej realizacji unijnych celów klimatycznych. Wielkie zapowiedzi europejskich zbrojeń pozostają na razie w sferze marzeń, gdy równolegle Ursula von der Leyen złożyła hołd lenny Trumpowi, a UE ma płacić kilkaset miliardów za amerykańskie uzbrojenie.

„Strategiczna autonomia" Europy alternatywna wobec USA, w której Tusk miał być istotnym partnerem, jest bytem papierowym, a głoszącemu ją Emmanuelowi Macronowi właśnie upada kolejny z rzędu rząd. Tuskowi zostaje poklepywanie po plecach. Podczas wystąpienia w Sejmie przy okazji głosowania wniosku o wotum zaufania dla rządu w czerwcu premier stwierdził, że „powrót Polski do europejskiej ekstraklasy" jest tak oczywisty, że „nie wymaga nawet udowodnienia". Tego typu okrągłe słowa i totalny brak konkretów są śmieszne i nie mogą wystarczyć nikomu poza oddanymi zwolennikami.

Tusk ewidentnie nie ma pomysłu na Nawrockiego. Mistrz manipulacji Polakami w warunkach demokracji liberalnej, stabilności politycznej Zachodu, nienaruszalnej hegemonii amerykańskiej, prezydentury Baracka Obamy i wreszcie kanclerstwa protegującej go Angeli Merkel, która dominowała Europę dużo bardziej niż jej następcy, wydaje się dziś coraz częściej bezradnym, niepewnym siebie starcem

Karol Nawrocki jak dotąd dobrze radzi sobie z właściwym wyważeniem potencjalnie sprzecznych oczekiwań Polaków. Z jednej strony, wyraźna większość społeczeństwa chce współpracy militarnej z Amerykanami, z drugiej – zdecydowanie mamy dziś wyższe poczucie własnej wartości niż w latach 90. i jesteśmy wrażliwi na punkcie tego, by nie być traktowani obcesowo. Dotykamy tu także ważnego wyzwania intelektualnego dla polskiej prawicy, która musi śledzić wydarzenia w USA i na świecie, przygotowywać się na funkcjonowanie w świecie wielobiegunowym. Z jednej strony budować dobre relacje z Trumpem, jego otoczeniem i jego potencjalnymi następcami (pamiętajmy, że Vance czy Rubio już stoją w blokach startowych), z drugiej – nie żyć anachronicznymi wizjami z czasów Reagana i Thatcher oraz współpracy przeciw Sowietom.

W pierwszej kolejności nowy prezydent będzie musiał rozważnie zachowywać się podczas negocjacji dotyczących zakończenia wojny rosyjsko-ukraińskiej – mądrze reprezentować polski interes narodowy, jasno odróżniać go od ukraińskiego, nie lekceważyć zagrożenia ze strony Rosji, pokazywać się Amerykanom, Chińczykom, Rosjanom i państwom Europy Zachodniej jako poważny i podmiotowy ośrodek.

Tusk ewidentnie nie ma pomysłu na Nawrockiego. Mistrz manipulacji Polakami w warunkach demokracji liberalnej, stabilności politycznej Zachodu, nienaruszalnej hegemonii amerykańskiej, prezydentury Baracka Obamy i wreszcie kanclerstwa protegującej go Angeli Merkel, która dominowała Europę dużo bardziej niż jej następcy, wydaje się dziś coraz częściej bezradnym, niepewnym siebie starcem. Oczywiście byłoby błędem lekceważyć go. W końcu nie jest przypadkiem, że Tusk jest trzecią kadencję szefem rządu. Przykładowo Rada Gabinetowa nie zakończyła się jasnym zwycięstwem ani premiera, ani prezydenta. Nawrocki musi uważać, by nie brać na siebie w oczach Polaków odpowiedzialności za problemy państwa, za które w praktyce odpowiada rząd. Musi przetrwać dwa lata, utrzymać w tym czasie popularność i nie dać się ograć Tuskowi, a jednocześnie budować grunt pod stworzenie innego, stabilnego rządu. Wygra ten, kto popełni mniej błędów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9920e5187b

Po pierwsze Polska – akt pierwszy





Michał Krupa

Weto i inicjatywy ustawodawcze Karola Nawrockiego mogą przejść do historii jako moment, w którym Polska zaczęła na nowo definiować swoją politykę wobec Ukrainy i imigracji. Polska ma prawo domagać się szacunku, dbać o bezpieczeństwo obywateli i chronić pamięć historyczną

Decyzja prezydenta Karola Nawrockiego o zawetowaniu ustawy dotyczącej dalszej pomocy dla obywateli Ukrainy stała się jednym z najgoręcej komentowanych wydarzeń ostatnich tygodni. Krytycy zarzucają mu brak empatii wobec sąsiadów zza wschodniej granicy, natomiast zwolennicy podkreślają, że wreszcie ktoś na najwyższym szczeblu państwowym odważył się postawić kwestię suwerenności i interesu narodowego ponad presję zewnętrzną. Niezależnie od oceny decyzja ta otworzyła nową dyskusję o kierunku polskiej polityki wobec Ukrainy i imigracji.

WETO JAKO PUNKT ZWROTNY

Weto prezydenta Nawrockiego nie oznacza całkowitego zerwania współpracy z Ukrainą, lecz sygnał, że dotychczasowa polityka „bezwarunkowej pomocy" wymaga rewizji. Dotąd Polska – zarówno pod rządami poprzedniej władzy, jak i obecnej – działała często „na kolanach" wobec Kijowa. Nierzadko polskie postulaty były spychane na dalszy plan, a wszelka krytyka ukraińskich oczekiwań natychmiast stygmatyzowana jako „wpisywanie się w narrację Kremla". Tego typu nadużycia pojęciowe stały się wygodnym narzędziem uciszania debaty publicznej. Jak zauważył w tym kontekście Jan Sadkiewicz we wpisie na X: „Małym, skromnym warunkiem niezależności polityki polskiej (są też oczywiście inne warunki, dużo ważniejsze) jest to, że polscy politycy nie mogą dać się stawiać do pionu zarzutem, że ich działania wpisują się w coś tam Kremla, usprawiedliwiać się, że wcale nie itp. Polska – jeśli to słowo traktować poważnie – to nie jest anty-Rosja, która ma wyłączać myślenie i bezwzględnie podporządkowywać się tym, którzy użyją wobec niej tego prymitywnego szantażu".

Nawrocki swoim wetem powiedział jasno: polska polityka nie może być zakładnikiem szantażu emocjonalnego ani historycznego. To krok w stronę przywrócenia równowagi w relacjach dwustronnych.

Prezydent przedstawił również propozycje, które mogą nadać nowy kształt polskiej polityce wewnętrznej. Chodzi m.in. o wydłużenie okresu nieprzerwanego zamieszkania w Polsce, wymaganego do uzyskania polskiego obywatelstwa z obecnych trzech lat aż do dekady. To rozwiązanie miałoby na celu wzmocnienie procesu integracji, a także zagwarantowanie, że osoby, które decydują się na trwałe związanie swojego losu z Polską, faktycznie podzielają wartości konstytucyjne i chcą być lojalne wobec biało-czerwonej.

Jeszcze mocniejszym postulatem jest wprowadzenie penalizacji banderyzmu. W polskiej debacie publicznej od lat powraca problem gloryfikacji OUN-UPA na Ukrainie i jej odblasków w działalności organizacji mniejszościowych w Polsce. Związek Ukraińców w Polsce (dotowany m.in. z budżetu państwa) bywa krytykowany za działania określane jako „kryptobanderowskie", czyli takie, które pod pozorem działań kulturalnych przemycają elementy narracji wybielającej zbrodnie wołyńskie. Wprowadzenie przepisów karnych mogłoby stanowić jasny sygnał, że polskie państwo nie będzie tolerować żadnych form pochwalania ludobójczej ideologii.

BELWEDER JAKO OŚRODEK PATRIOTYCZNEJ JEDNOŚCI

Dotychczas Belweder – siedziba prezydenta – bywał postrzegany jako instytucja bardziej ceremonialna niż realnie sprawcza. Nawrocki ma jednak szansę nadać mu nową rolę: centrum patriotycznej jedności, które ponad podziałami partyjnymi stawia fundamentalne kwestie bezpieczeństwa narodowego, polityki

eprasa.pl 9920e5187b



Jak wynika z najnowszego sondażu pracowni SW Research, zdecydowana większość Polaków popiera zawetowanie przez prezydenta Karola Nawrockiego ustawy przedłużającej pomoc dla Ukraińców na czas trwania wojny

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

migracyjnej i pamięci historycznej. To nie musi być jedynie „ośrodek dyspozycyjny PiS", jak twierdzą niektórzy krytycy. Weto i postulaty, które mu towarzyszą, mogą być początkiem realnej zmiany kursu.

Dyskusję dodatkowo podgrzała wypowiedź ukraińskiego dziennikarza Witalija Mazurenki w programie Polsat News. We wtorek 26 sierpnia wieczorem, krytykując decyzję prezydenta, Mazurenko porównał Karola Nawrockiego do kryminalisty. – Retoryka i zachowania pana Nawrockiego to nie są zachowania prezydenckie, tylko zachowania Pahana. Tak określa się w rosyjskich więzieniach przywódcę kryminalnego – powiedział. Słowa te wywołały oburzenie w mediach społecznościowych, ponieważ nie tylko przekroczyły granice debaty publicznej, lecz także pokazały poziom bezczelności, na jaki pozwalają sobie niektórzy przedstawiciele ukraińskich elit wobec polskich instytucji państwowych. Pomimo przeprosin Mazurenki niesmak pozostał.

Tego typu ataki są konsekwencją wspomnianej wcześniej polityki ustępstw. Gdy przez lata pozwala się na jednostronne definiowanie relacji, w końcu pojawia się pokusa, by traktować partnera jak podwykonawcę, a nie równorzędne państwo.

CZAS NA SYSTEMOWE PODEJŚCIE

Weto i propozycje prezydenta to pierwszy krok, ale konieczne są też działania systemowe. Polska nie może dłużej tkwić w fałszywym podziale: nielegalna imigracja jest zła, legalna masowa imigracja jest dobra. Taka narracja zdominowała debatę w ostatnich latach, a jej skutkiem są wszak legalnie przebywający w Polsce cudzoziemcy, którzy – jak pokazały wydarzenia na Stadionie Narodowym przy okazji koncertu Maksa Korża – nie mają problemu z okazywaniem swoich probanderowskich sympatii. Skala napływu ludności, bez względu na formalny status, rodzi wyzwania społeczne, gospodarcze i kulturowe.

Masowa imigracja zmienia strukturę społeczeństwa – wpływa na rynek pracy, osłabia więzi wspólnotowe i prowadzi do rosnącej konkurencji o usługi publiczne, takie jak edukacja, służba zdrowia czy mieszkalnictwo. Niesie też ze sobą ryzyko powstawania równoległych światów – enklaw, w których nie obowiązują polskie normy kulturowe. Brak spójnej polityki asymilacyjnej w dłuższej perspektywie prowadzi do napięć, frustracji i konfliktów. Warto o tym ciągle przypominać, choć w 2025 r. to już są truizmy, wypróbowane z opłakanym skutkiem w wielu państwach Zachodu.

Dlatego właśnie teraz jest czas na nową, propolską politykę migracyjną, która jasno określi granice, priorytety i zasady integracji. Reforma imigracyjna musi poprawiać dostępność pracy, poziom płac i bezpieczeństwo Polaków. W debacie publicznej coraz częściej pojawia się postulat moratorium imigracyjnego – czasowego wstrzymania napływu nowych grup cudzoziemców, dopóki państwo nie opracuje spójnej, długofalowej polityki integracyjnej i bezpieczeństwa. To nie przejaw wrogości, lecz odpowiedzialności wobec własnych obywateli.

Alternatywą zaś może być scenariusz nakreślony przez polsko-ukraińską celebrytkę Weronikę Marczuk w 2021 r.: „Dziś połowa zagranicznych studentów w Polsce to mieszkańcy Ukrainy. Oni prawdopodobnie będą również tworzyć za chwilę elitę tego kraju i współtworzyć to państwo, bo to jest statystyka. Trzeba będzie ich dopuścić do ważnych polskich spraw – do polityki i kultury, do Sejmu, do kierowniczych stanowisk. Oni też staną się już pełnoprawnymi członkami tego społeczeństwa, a nie tylko dodatkiem przydatnym do układania towaru na półce".

Nawrocki, podejmując temat reformy polityki imigracyjnej, w tym wprowadzenia ograniczeń dla obywateli Ukrainy, może liczyć na znaczące poparcie społeczne. Zgodnie z badaniem przeprowadzonym przez Centrum Badania Opinii Społecznej (CBOS) w dniach 9–19 stycznia 2025 r. 38 proc. Polaków zadeklarowało negatywny stosunek wobec Ukraińców.

Dodatkowo sondaż United Surveys dla Wirtualnej Polski z przełomu stycznia i lutego 2025 r. wskazuje na spadek pozytywnego nastawienia do Ukraińców w Polsce z 64,4 proc. w 2023 r. do 55,3 proc. w 2025 r. Jednocześnie odsetek osób wyrażających negatywne opinie wzrósł do 33 proc.

Warto również zauważyć, że sondaż Instytutu Badań Pollster dla „Super Expressu" z kwietnia 2025 r. ujawnia wyraźne przesunięcie nastrojów społecznych, z rosnącymi wątpliwościami co do konieczności dalszej pomocy dla Ukrainy. Okazuje się, że prawie połowa Polaków (44 proc.) chce ograniczenia lub całkowitego wstrzymania wsparcia dla Ukrainy. Ewidentna jest rosnąca potrzeba dostosowania holistycznej polityki wobec Ukrainy, w wymiarze zewnętrznym i wewnętrznym, do oczekiwań Polaków.

Co więcej, jak wynika z najnowszego sondażu pracowni SW Research dla Onetu, zdecydowana większość Polaków popiera zawetowanie przez Karola Nawrockiego ustawy przedłużającej pomoc dla Ukraińców na czas trwania wojny. Na pytanie: „Czy popiera Pani/Pan decyzję prezydenta Karola Nawrockiego o zawetowaniu ustawy o pomocy obywatelom Ukrainy?" – twierdząco odpowiedziało prawie 60 proc. badanych.

Weto i inicjatywy ustawodawcze Karola Nawrockiego mogą przejść do historii jako moment, w którym Polska zaczęła na nowo definiować swoją politykę wobec Ukrainy i imigracji. Nie chodzi o zerwanie współpracy z sąsiadem, ale o przywrócenie równowagi i asertywności. Polska ma prawo domagać się szacunku, dbać o bezpieczeństwo obywateli i chronić pamięć historyczną. Jeśli Belweder stanie się centrum patriotycznej jedności, a nie tylko narzędziem partyjnej gry, to będzie to zwycięstwo nie tylko samego prezydenta, lecz także całego państwa. Teraz jest czas, aby politykę wobec Ukrainy oprzeć na twardych, jednoznacznie propolskich zasadach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9920e5187b



Czy Tusk jest



Rafał A. Ziemkiewicz

Przypisywane Albertowi Einsteinowi powiedzenie powiada, że głupi jest ten, kto mierząc się z problemem, wielokrotnie robi to samo w taki sam sposób, za każdym razem licząc na inny niż zawsze rezultat. Bez wątpienia tak właśnie zachowuje się nasz „salon"

Dialog z programu Grzegorza Jankowskiego w Polsacie, który kilka tygodni temu podbił Internet: gość, Łukasz Pawłowski, szef Ogólnopolskiej Grupy Badawczej, omawia konkretne działania lewicowo-liberalnych elit, wykazując ich negatywny odbiór w społeczeństwie i całkowitą przeciwskuteczność wszystkiego, co robią. „No to dlaczego elity tak robią?" – pyta w końcu gospodarz. Na co gość, z nieco zakłopotaną miną i – by użyć modnej przed laty frazy – „z pewną taką nieśmiałością" odpowiada na pytanie pytaniem: „Bo może są głupie?".

Dla czytelników naszego tygodnika, w tym także licznych moich tekstów, nie ma w tym pytaniu nic zaskakującego, ma ono wręcz charakter retoryczny. O intelektualnej degradacji lewicowo-liberalnego „salonu" i jego „odklejeniu" od rzeczywistości pisaliśmy tyle razy, tyle razy wskazywaliśmy na ewolucję, którą przeszła „elita", której twarzami byli kiedyś ludzie tacy jak prof. Geremek, redaktor Turowicz czy ks. Tischner, a dziś nie jest w stanie wykreować lepszych polityków niż Trzaskowski, Giertych czy Żurek i lepszych liderów opinii niż Wieliński, Czuchnowski i Piński. A jednak postawienie sprawy tak otwarcie, jak zrobił to Pawłowski, brzmi jeszcze szokująco. Tak otwarcie o „elitach" (w istocie przestańmy wreszcie używać mylącego określenia: o „klasie panującej" – prawdziwe elity polskiego społeczeństwa są dziś zupełnie gdzie indziej) jeszcze nie mówiono.

WCIĄŻ TO SAMO

Pismo Święte uczy – poznawajcie po owocach. Jeśli mamy w Polsce ponad 330 uczelni wyższych, a do rankingu szanghajskiego, obejmującego 1 tys. najlepszych uczelni świata, od lat łapie się nie więcej niż dziewięć z nich (uniwersytety Warszawski i Jagielloński w piątej setce, pozostałych pięć do siedmiu klasyfikowanych zależnie od roku polskich uczelni – w ostatniej, 10.) to jak to świadczy o polskiej profesurze en masse? Za co więc szanować „elity akademickie", zwłaszcza gdy tytułami profesorskimi podpierają lewicowo-liberalne media oczywiste brednie głoszone przez ludzi takich jak Wojciech Sadurski czy Radosław Markowski? A za co szanować elity prawnicze albo celebrycko-artystyczne, choćby kto nie wiem, jak chciał?

Co to znaczy, że ktoś jest głupi? Przypisywane Albertowi Einsteinowi powiedzenie powiada, że głupi jest ten, kto mierząc się z problemem, wielokrotnie robi to samo w taki sam sposób, za każdym razem licząc na inny niż zawsze rezultat. Bez wątpienia tak właśnie zachowuje się nasz „salon". Od czasów „wojny na górze" i ROAD w każdej sprawie robi to samo: okazuje wyższość i pogardę dla mas, licząc, że masy się zawstydzą wykazanej im ciemnoty i pokornie pójdą drogą wskazaną im przez lepszych i mądrzejszych. I za każdym razem szczerze nie posiada się z oburzenia, że masy zagłosowały im na złość.

Jeśli pomimo to „salon" wciąż, po 35 latach uporczywego wykazywania się głupotą, pozostaje salonem – to znaczy miejscem, gdzie dystrybuuje się szacunek i wpływy – to dlatego, że trafił mu się prawdziwy, z punktu widzenia klasy panującej, skarb. Tym skarbem był Donald Tusk. Przy największej nawet niechęci do niego (a ja takowej bynajmniej nie ukrywam) trzeba przyznać, że jako polityczny przywódca wykazał się on niezwykłym sprytem i dokonał czegoś, czego nie dokonał nikt inny: zdołał oczarować jednocześnie i masy, i klasę panującą. Dla mas był swojakiem cwaniakiem, który dzięki dobrym układom z krajowymi, a poprzez nie z tymi najważniejszymi unijnymi elitami wydoi dla nas mnóstwo europejskiego dobrobytu. Dla salonu zaś był jednocześnie zaporą przed buntem pogardzanych mas, przywódcą, który potrafi chamstwu pokazać jego miejsce i dopilnować, by nie lazło na salony – z wyjątkiem tych, którzy zostali tam zaproszeni po wcześniejszym oswojeniu, jak „legendarny robotniczy przywódca"

eprasa.pl 9920e5187b



głupi?

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Frasyniuk czy „dzielna tramwajarka" Krzywonos.

Słowem – Wałęsa i Geremek w jednym. Ale taki Wałęsa, który nie popełnił błędu demonstracyjnego nadepnięcia „elitom" na godność, co ściągnęło nań „wojnę na górze" i zakończyło proces zgodnego nadymania przez wszystkich jego wielkości – tylko taki, który oddając salonowi pozory czci, owinął go sobie wokół palca i manipulował nim, jak chciał, skutecznie strasząc, że jeśli „intelektualiści" nie będą pokorni, to Kaczyński wpuści „chamstwo" tam, gdzie nie ma go być. I taki Geremek, który uniknął błędu otwartego okazania masom, że są z zasady i z natury gorsze, głupsze i mają go słuchać, tylko manipulował nimi, jak chciał, łudząc, że jeśli będą mu wybaczać wszystkie kłamstwa i nadużycia władzy, nachapią się dzięki temu pożądanego nade wszystko zachodniego dobrobytu.

Pan Bóg nie dał Tuskowi żadnych innych zalet, nie obdarzył go w najmniejszym stopniu prawością, odpowiedzialnością, talentem do zarządzania ani niczym takim. Ale ta niepowtarzalna zdolność, którą się wykazał, panując przez wiele lat jednocześnie nad „warszawką i krakówkiem" oraz Zachodniopomorskiem i zakładami penitencjarnymi, wystarczyła, by zapewnić sobie miejsce w pokręconej polskiej historii. W czym się ten talent wyraził, jak został zrealizowany, to osobny temat, wart obszernego eseju.

PREMIER STRACIŁ TALENT

Dziś jednak nie czas na to, bo ważniejsze jest odnotowanie: oto na naszych oczach owo panowanie się kończy. Na czymkolwiek polegał talent Tuska – najwyraźniej go on zatracił.

Taki jest głęboki sens politycznej wojny, wypowiedzianej przez Tuska prezydentowi Nawrockiemu, o której konkretach piszemy na sąsiednich kolumnach. Jest to bowiem, można powiedzieć, „wojna kontynuacyjna" – kontynuacja kampanii wyborczej, w której kandydat Tuska, wydawałoby się, „skazany" na wygraną, został pokonany przez obrzuconego najgrubszymi pomówieniami i żywiołową pogardą elit kandydata opcji „każdy, byle nie Trzaskowski". To znaczy, wojna, w której Tusk wchodzi („szlusuje", mówiąc fachowym językiem wojskowego szyku) w miejsce politycznie poległego Trzaskowskiego, z całym dobrodziejstwem inwentarza i tą polaryzacją, którą wytworzyła katastrofalna dla klasy panującej kampania wyborcza.

Chyba najlepiej ujęła istotę sprawy prof. Pietrzyk-Zieniewicz, nader krytyczna wobec polityków „klasy panującej", acz nie ukrywająca, że sama się z nią identyfikuje. Scharakteryzowała ona Nawrockiego słowami anonimowej znajomej czy sąsiadki: „I wykształcony, i dyrektor, i w mordę dać potrafi". Tymczasem „elity" przeciwstawiły mu „chłopca z dobrego domu", któremu życie podało sukces na tacy, z racji urodzenia i tego wszystkiego, co mądrze nazywa się „kapitałem społecznym". Co więcej, z samobójczym zapałem – na mocy przytoczonej wyżej zasady Einsteina – usilnie przez całą kampanię podkreślały, że Nawrocki to facet z blokowiska, kibol, uczestnik stadionowych bijatyk, który na studia zarabiać musiał jako ochroniarz w hotelu, budując korzystny dla niego wizerunek uwieńczonego sukcesem awansu społecznego i umacniając zgubną dla Trzaskowskiego polaryzację.

Ale przecież Tusk, w przeciwieństwie do Trzaskowskiego, życiorys ma niemal identyczny. Też pochodzi z trójmiejskich blokowisk, też musiał zarabiać fizycznie, malując kominy, też brał udział w kibolskich bijatykach, i to w barwach tej samej co Nawrocki drużyny. Ale wszystko to „dawno temu i nieprawda", Tusk zmienił skórę i do rywalizacji z Nawrockim przystępuje dziś jako reprezentant „dobrze urodzonych", którzy uznali go za swego i do których się upodobnił.

Najlepszym tego przykładem jest pozycja Tuska w kwestii przedłużenia przywilejów dla Ukraińców. W tej sprawie i – szerzej – w podejściu do uchodźców i „uchodźców" konflikt klasowy generuje najwyraźniejsze emocje. Dla salonu postawa „refugees welcome" jest jednym z filarów poczucia moralnej wyższości nad „chamstwem". Dla ludzi, których nie chronią szlabany grodzonych kondominiów i którzy negatywne skutki migracji odczuwają na własnej skórze, przybysze są oczywistym zagrożeniem, a ci z Ukrainy na dodatek, słusznie czy nie, są skrajnymi niewdzięcznikami, darzonymi dziś niechęcią równie żywiołową, jak żywiołowa była kilka lat temu gotowość pomocy napadniętym przez odwiecznego, wspólnego wroga. Sondaże po prezydenckim wecie, w których argumenty Nawrockiego pochwala ponad 60 proc. ankietowanych, podczas gdy moralizowanie propagandy tuskowych mediów okazuje się przemawiać do zaledwie nieco ponad 20 proc., nikogo dziwić nie mogą.

NA WOJNIE Z AMERYKĄ

Czy Tusk nie zna nastrojów społecznych? Jeszcze niedawno, w kampanii wyborczej, znał – popierał przecież dokładnie te same „antyukraińskie" restrykcje, wtedy zgłaszane przez Rafała Trzaskowskiego. Ale dziś Tusk mówi to, czego oczekują salony, nie to, czego chcą masy. I tak jest nie tylko w sprawie Ukrainy. Salony nienawidzą Trumpa i Ameryki, która go wybrała, bo ten wybór zniweczył ich sen o wiecznym panowaniu „demokracji liberalnej" – więc Tusk idzie na wojnę z Ameryką, by poniżać Nawrockiego w oczach salonów jako „podnóżek Trumpa", choć skutki takiego wyznaczenia osi sporu muszą być przecież takie same jak zawsze.

Proszę na wszystkie konkretne fronty wojny Tuska z Nawrockim spojrzeć pod takim właśnie kątem, a zobaczą państwo, że jest to swoista powtórka „wojny na górze" sprzed 35 lat, w której Tusk, ujmijmy to tak, jest mądry mądrością elit III RP.

A te elity są właśnie, jak ujął to cytowany na wstępie socjometra, głupie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9920e5187b



Z gen. Leonem Komornickim, byłym zastępcą szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, wiceprezesem Stowarzyszenia Euro-Atlantyckiego

rozmawia Ryszard Gromadzki

Wojsko to nie cyrk

FOT. MAREK ZIELIŃSKI/SE/EAST NEWS

RYSZARD GROMADZKI: Czy tragedii, która wydarzyła się w Radomiu, w której zginął jeden z najwybitniejszych polskich pilotów wojskowych, można było uniknąć? A może tego rodzaju zdarzenia są po prostu wpisane w charakter misji pilota wojskowego?

GEN. LEON KOMORNICKI: W charakter misji pilota wojskowego wpisane są ryzyka wynikające z zadań bojowych w służbie obrony Rzeczypospolitej, a nie w cyrkowych ekwilibrystykach, które nie mają nic wspólnego z zadaniami wykonywanymi na współczesnym polu walki w przestrzeni powietrznej, a także zadaniami wykonywanymi na rzecz sił lądowych lub innych rodzajów sił zbrojnych. AirSHOW w Radomiu to klasyczna „pokazucha", która służy zaspokojeniu potrzeb polityków i decydentów, którzy bardzo łatwo wykorzystują wojsko do swoich partykularnych, partyjnych celów. Pokazy na samolotach bojowych czy innym sprzęcie bojowym nie są przecież ujęte w jakichkolwiek programach szkoleniowych żadnych rodzajów wojsk. Siłą rzeczy nie ma w nich takiej tematyki.

Inny punkt widzenia od tego, który pan przedstawia, najwyraźniej ma dowództwo naszych sił zbrojnych. W komunikacie opublikowanym przez Sztab Generalny Wojska Polskiego po katastrofie w Radomiu napisano, że takie pokazy „są także istotnym elementem szkolenia – zarówno dla pilotów, jak i całych załóg" oraz że „to okazja do doskonalenia procedur, pracy zespołowej i koordynacji działań w warunkach zbliżonych do operacyjnych". Dowództwo podkreśliło też w komunikacie, że udział w pokazach pozwala zaprezentować „zdolności naszych Sił Powietrznych" i jest „świadectwem profesjonalizmu i nowoczesności". Rzeczywiście tak jest?

To przykre, że wojskowi na tak wysokich szczeblach zapomnieli, do czego zostali powołani. Dowództwo Operacyjne odpowiada za wykorzystanie sił zbrojnych w obronie państwa. Wojsko z definicji jest apolityczne, a w tej sprawie wojskowi wypowiadają się na sposób polityczny. To niedopuszczalne.

Pana zdaniem udział wojskowych pozostających w czynnej służbie, z wykorzystaniem sprzętu bojowego należącego do sił zbrojnych, we wszelkiego rodzaju pokazach powinien być zakazany?

Bezwzględnie tak. Tym bardziej w sytuacji, w której się obecnie znajdujemy. Mamy niedostatek samolotów bojowych na własne życzenie, bo sami oskubaliśmy się z migów-29, przekazując je Ukrainie. Zostało ich w Polsce niewiele. Nie wiem, czy pozostają w linii i są nadal wykorzystywane do dyżurów bojowych w przestrzeni powietrznej. Po drugie kupiliśmy sobie za ponad 14 mld zł samoloty F/A-50 produkcji koreańskiej bez uzbrojenia. W efekcie maszyny te nie mogą wykonywać misji związanych z zapewnieniem bezpieczeństwa w przestrzeni powietrznej, w postaci dyżurów bojowych czy też będąc podrywane w sytuacji zmasowanych uderzeń wykonywanych przez Rosję na terytorium Ukrainy.

Czyli do obrony nieba nad Polską nasze Siły Powietrzne w zasadzie mają do dyspozycji wyłącznie samoloty F-16?

eprasa.pl 9920e5187b

Być może trzeba dodać do tego kilka migów-29, choć nie wiem, jak wygląda w ich wypadku ukompletowanie załóg. Trzeba też powiedzieć, że nie wszystkie F-16 są sprawne i nie wszystkie są obsadzone. Tymczasem panowie generałowie bawią się w tłumaczy polityków, a są od tego, żeby stać na straży wojska, jego zdolności do wykonania zadań, bezpieczeństwa podwładnych. To jest ich zakichany obowiązek. To, co obserwujemy, jest żenujące. Wściekam się, bo oni zapominają, komu służą, do czego są powołani. Generałowie są sługami swoich podwładnych, a nie sługusami polityków. Siły Zbrojne mają jasno zdefiniowane zadania, ich realizacji ma służyć sprzęt zakupiony za ciężkie pieniądze. Te zadania są ukierunkowane na zapewnienie bezpieczeństwa państwa. Wykorzystanie wojska do innych celów jest nadużyciem. Wojsko to nie cyrk. Wszelkiego rodzaju pokazy lotnicze mogą realizować byli oficerowie czy generałowie pozostający w stanie spoczynku, korzystając z zasobów aeroklubów lub prywatnych struktur tworzonych z myślą o eskadrach występujących na pokazach. Proszę bardzo, niech sobie na własne ryzyko i odpowiedzialność takie zadania podejmują. Zgodnie z wymogami sztuki wojennej i sił powietrznych państwa znajdującego się w stanie wojny powinno na jeden samolot przypadać trzech pilotów. Trzech, nie jeden.

To, co pan mówi, pokazuje, jak dramatyczne konsekwencje dla polskich sił powietrznych ma strata tak wybitnego pilota, którym był mjr Krakowian....

Nie może być tak, że jeden pilot jest do wszystkiego. Do dyżurów bojowych, pokazów, defilad i Bóg wie czego jeszcze. Co to znaczy major w wieku 35 lat? Utalentowany, wykształcony. Nieprzeciętnie inteligentny. Ktoś taki w wieku 35 lat nadal jest tylko majorem? Pilotem instruktorem? Dalej pozostaje na tym podstawowym stanowisku? Dowództwo Sił Powietrznych i przełożeni polityczni nie widzieli potrzeby, żeby go awansować? Przecież można było świetnie wykorzystać jego ogromny potencjał, wiedzę i doświadczenie w dowodzeniu Siłami Powietrznymi. Jego koledzy w innych krajach w wieku mjr. Krakowiana są pułkownikami i dowodzą brygadami.

Dlaczego awanse omijały mjr. Krakowiana?

On był nieprzeciętnym, niezastąpionym arcymistrzem, przeznaczonym do tego, żeby błyszczał w pokazach za wszelką cenę, nawet kosztem jego zdrowia i życia. Dlatego przyblokowywano jego karierę, obiecując mu różne gratyfikacje, pokazując, że jest niezbędny. Mówi się, że nie ma ludzi niezastąpionych, ale wobec takiego pilota, którym był mjr Krakowian, prawdziwego asa, nieprzeciętnie utalentowanego, posiadającego to szczególne wyczucie maszyny, powinny obowiązywać określone standardy bezpieczeństwa. On stawiał sobie wyzwania przed samym sobą. To nie jego przełożeni je stawiali, bo oni nawet nie potrafią ich zdefiniować. Ale to oni powinni przedstawić oczekiwania związane z jego udziałem w pokazach. Te oczekiwania powinny mieścić się w granicach racjonalnego ryzyka. Prawda jest taka, że granice tego racjonalnego ryzyka są łamane, bo mistrzowie przestworzy nie mają żadnych hamulców, stawiając przed sobą coraz to nowe wyzwania. Pokonując pewne bariery, których wcześniej nie pokonali, stawiają sobie kolejne.

Ten mechanizm występuje często w sportach ekstremalnych. Bardzo sugestywnie pokazał to francuski reżyser Luc Besson w klasycznym filmie „Wielki błękit" o rywalizacji nurków...

Tak, wtedy dochodzi do sytuacji, w której poziom ryzyka przekraczany jest bezzwrotnie – i giną. To są bardzo charakterni ludzie, ich nakręcają kolejne wyzwania. Dlatego to przełożeni powinni ich trzymać, powściągać i w porę odsuwać od tego, żeby sobie nie wyrządzili krzywdy. Inaczej oni będą przesuwać granice ryzyka. W mojej ocenie to pierwsza przyczyna tego, co stało się w Radomiu. Żżymam się, kiedy słyszę o tym, jak niepowetowaną stratę poniosły polskie Siły Zbrojne i pytam: Jak tak piękna postać, którą był mjr Krakowian, została przez nie wykorzystana? To karygodne, żeby taki as zginął w pokazach. To świadczy o tym, że w Siłach Powietrznych nie ma polityki kadrowej. Tacy ludzie jak on powinni być szybko awansowani, nie karierowicze, lizusy i oportuniści. Właśnie ludzie z charakterem, jak mjr Krakowian, są nam potrzebni w dowodzeniu wojskiem.

Tragedia w Radomiu daje podstawę do twierdzenia, że piloci naszych F-16 są „zajechani"?

Powtórzę raz jeszcze, bo to trzeba podkreślać. Na każdy samolot bojowy powinno przypadać trzech pilotów. Co się takiego stało, że ta żelazna zasada została złamana? Nie wyobrażam sobie takiego stanu w czasie wojny. Ile jest w stanie wytrzymać w powietrzu pilot przy takich obciążeniach, wyzwaniach i stresie? Myślę, że nie więcej niż dwie–trzy godziny. Zgodnie z obowiązującymi zasadami jeden pilot jest w powietrzu, drugi czuwa na dyżurze na ziemi, trzeci odpoczywa. To kanon.

Czy ta zasada w naszych siłach powietrznych nie jest respektowana? To efekt deficytu pilotów potrafiących latać na F-16?

Podejrzewam, że tak może być. Poza tym piloci, którzy są w służbie, pozostają ekstremalnie obciążeni. W ich wypadku przekraczane są wszelkie normy podyktowane biologią, odpornością psychiczną, zmęczeniem. To wszystko powinno być jasno zdefiniowane w postaci standardów służby pilotów. Od czego mamy Wojskowy Instytut Medycyny Lotniczej?

Szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, gen. Wiesław Kukuła, komentując tragedię w Radomiu, napisał w mediach społecznościowych, że „Śp. »Słab« [taki pseudonim miał mjr Krakowian – przyp. red.] wiele miesięcy poświęcił, by przekonać mnie do tego, że jestem w wielkim błędzie. Takie szkolenia i ćwiczenia służą również odstraszaniu". Czy gen. Kukuła nie mógł załatwić sprawy jednym rozkazem, zabraniającym mjr. Krakowianowi udziału w pokazach, zamiast toczyć z nim dyskusje?

To kolejna chybiona wypowiedź szefa Sztabu Generalnego. To ma znaczyć, że nie ma on żadnych możliwości władczych, by zabronić tak wybitnemu pilotowi udziału w pokazach? Tu trzeba było wydać żołnierską komendę. Czy szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego nie ma takiej władzy? To naiwne i dziecinne tłumaczenie, które nie przystoi wojskowemu. Generał Kukuła, mając świadomość ryzyka związanego z udziałem mjr. Krakowiana w pokazach, powinien użyć wszelkich posiadanych środków władczych, żeby do takiej sytuacji nie dopuścić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9920e5187b

Polityka to zajęcie ryzykowne



Łukasz Warzecha

Nie sposób usprawiedliwiać przemocy. Ale nie sposób też uznać, że jeśli nawet w USA Secret Service ochrania raptem niespełna 40 osób, to w Polsce jakieś szczególne względy powinni mieć ludzie tacy jak Adam Niedzielski

Dwóch osobników pod wpływem alkoholu napadło 27 sierpnia 2025 r. na byłego pandemicznego ministra zdrowia Adama Niedzielskiego. Zgodnie z relacją byłego ministra napastnicy krzyczeli: „Śmierć zdrajcom ojczyzny". Oni sami, zgłosiwszy się wkrótce na policję, twierdzili, że niczego nie pamiętają, byli bowiem pijani.

Wkrótce po napaści na Niedzielskiego politycy PiS zaatakowali ministra spraw wewnętrznych Marcina Kierwińskiego za to, że odebrał byłemu szefowi resortu zdrowia obstawę Służby Ochrony Państwa. Grzmieli, że odpowiada za pobicie, oraz twierdzili, że jego decyzja miała charakter „polityczny". To oczywiście zarzut niemądry – decyzje dotyczące polityków i podejmowane przez polityków zawsze mają „charakter polityczny". W dodatku ochronę były minister stracił nie dopiero teraz, ale dobrze ponad rok temu, a więc w czasie, gdy Kierwiński był szefem MSWiA po raz pierwszy. Na to stanowisko wrócił obecnie po przerwie w ramach rekonstrukcji rządu. Broniąc się przed zarzutami, Marcin Kierwiński stwierdził, że SOP nie jest agencją ochroniarską, a Adam Niedzielski mógł zgłosić się na policję, jeśli czuł się zagrożony lub otrzymywał groźby.

Odnotować przy tym trzeba, że Niedzielski nie spotkał się ze szczególnym współczuciem opinii publicznej. Polityczni przeciwnicy PiS pozostali w większości obojętni na jego los, a po prawej stronie spora część opinii publicznej przypomniała, że to on – obok Mateusza Morawieckiego – był twarzą najgorszych i najbardziej krzywdzących dla obywateli epidemicznych restrykcji. Nie brakowało nawet w mediach społecznościowych głosów stwierdzających, że Niedzielskiemu „się należało". On sam skarżył się, że to, co go spotkało, jest skutkiem rosnącej brutalizacji życia publicznego, wskazując oczywiście na obecną władzę jako odpowiedzialną za tę sytuację. Jednak alkoholowe upojenie sprawców każe raczej sądzić, że mieliśmy do czynienia ze zwykłym incydentem chuligańskim, a nie z aktem politycznej zemsty. Ta sprawa ożywiła jednak na nowo wracającą co jakiś czas dyskusję o ochronie polityków w Polsce.

JAK JEST W INNYCH KRAJACH

Jaki jest stan formalny? SOP ma standardowe obowiązki wynikające z ustawy o tej służbie. Mówi ona, że spośród polskich polityków ochrona z automatu przysługuje jedynie niewielkiej grupie: prezydentowi, premierowi i wicepremierom, marszałkom Sejmu i Senatu oraz ministrom spraw wewnętrznych i spraw zagranicznych. Byłoby to więc od siedmiu do zwykle dziewięciu osób, w zależności od liczby wiceprezesów Rady Ministrów. SOP ochrania również z urzędu byłych prezydentów – w tej chwili trzech. Na tym koniec. Ustawa pozostawia jednak furtkę, stwierdzając, że ochrona może też przysługiwać innym osobom „ze względu na dobro państwa". Decyzja o tym, kto znajdzie się na tej liście, jest podejmowana przez ministra spraw wewnętrznych, będącego jednocześnie organem nadzorującym SOP. Szef MSW może więc obdarzać ochroną w praktyce dowolne osoby – lub też im tę ochronę odbierać – nikomu się z tego nie tłumacząc i niczego nie wyjaśniając, powołując się na informacje otrzymane od służb.

Polski system nie jest niczym wyjątkowym. W Wielkiej Brytanii ochroną oficjeli oraz rodziny królewskiej zajmuje się wyspecjalizowana jednostka Metropolitan Police (policji londyńskiej) – Royalty and Specialist Protection (RaSP), odpowiednik naszej SOP. Zasady są podobne jak w Polsce: standardowo ochronę otrzymują premier oraz rutynowo ministrowie spraw wewnętrznych, zagranicznych, a także – z oczywistych powodów – minister do spraw Irlandii Północnej. Inni członkowie gabinetu mogą być ochraniani wyjątkowo, o ile ocena zagrożeń dokonywana przez policję wykaże taką potrzebę. Wszyscy policyjni ochroniarze są upoważnieni do noszenia broni, co nie jest standardem w brytyjskiej policji, której funkcjonariusze co do zasady broni palnej nie posiadają poza Irlandią Północną. Wyposażone są w nią tylko wyspecjalizowane jednostki Armed Police (policji uzbrojonej) i nieliczni inni funkcjonariusze po zdaniu specjalnych egzaminów.

W Niemczech ochroną VIP-ów zajmuje się specjalna jednostka Bundeskriminalamt (BKA), zwana Sicherungsgruppe (SG). Standardowo chronieni są prezydent republiki i kanclerz federalny. Pozostali członkowie rządu federalnego – włączając ministrów spraw wewnętrznych, zagranicznych czy sprawiedliwości – otrzymują ochronę, jedynie jeśli trzystopniowa ocena ryzyka, prowadzona przez BKA, wykaże, że jest to konieczne (w ich przypadku na ogół tak jest).

eprasa.pl 9920e5187b



Po napaści na byłego ministra zdrowia Adama Niedzielskiego znów zrobiło się o nim głośno FOT. KACPER LOCH/EAST NEWS

SG na poziomie federalnym ochrania od 20 do 30 osób, w tym rodziny polityków. Do tego dochodzi ok. 30–40 członków Bundestagu, kilkudziesięciu polityków na poziomie krajów związkowych, 100–200 prokuratorów, sędziów, a także świadków. W sumie dostajemy niebagatelną liczbę nawet do tysiąca osób podlegających ochronie. Trzeba jednak pamiętać, że w ogromnej większości przypadków opiera się ona na bieżącej ocenie zagrożenia i nie przysługuje permanentnie.

Najbardziej znaną na świecie (również z filmów, niektórych znakomitych, jak „Na linii ognia" z Clintem Eastwoodem z 1993 r.) państwową służbą ochroniarską jest amerykańska Secret Service. Wiele osób nie wie, że służba ta, poza ochranianiem najważniejszych osób w państwie, zajmuje się kilkoma rodzajami przestępstw federalnych związanych głównie z systemem finansowym, m.in. fałszowaniem pieniędzy, oszustwami finansowymi czy kradzieżami tożsamości.

W 2022 r. Secret Service ochraniała 35 osób. W tym gronie byli, co oczywiste, prezydent i wiceprezydent Stanów Zjednoczonych oraz ich najbliższe rodziny. Ochraniani są byli prezydenci i ich małżonkowie, a także ich dzieci do osiągnięcia 16. roku życia. Byłym wiceprezydentom ochrona przysługuje jedynie przez pół roku po opuszczeniu urzędu. W roku wyborczym ochrona obejmuje również prezydenta i wiceprezydenta elektów, a wcześniej – głównych kandydatów na te stanowiska wraz z małżonkami w okresie 120 dni przed wyborami. Na tym automatyczna odpowiedzialność Secret Service się kończy. Osoby spoza tej listy mogą otrzymać państwową ochronę jedynie na podstawie zarządzenia (executive order) prezydenta USA.

Pod koniec sierpnia prezydent Donald Trump odebrał ochronę byłej wiceprezydent i swojej konkurentce w wyborach, Kamali Harris, anulując wcześniejsze niejawne zarządzenie Joe Bidena. Na mocy prawa federalnego ochrona przysługiwała Harris jedynie do 21 lipca. Biały Dom sygnalizował mediom, że ocena ryzyka dokonywana przez Secret Service nie wykazała, aby Harris była ponadprzeciętnie zagrożona. Wskazywano też, że wiceprezydent Mike Pence z pierwszej kadencji Trumpa cieszył się ochroną jedynie przez standardowych sześć miesięcy po zakończeniu urzędowania.

BAŁAMUTNY ARGUMENT

Na tle rozwiązań z innych państw polskie reguły wyglądają zatem standardowo. A jednak spór się pojawia, przy czym przywołuje się dwa przypadki: zabójstwo Marka Rosiaka w 2010 r., pracownika łódzkiego biura poselskiego ówczesnego posła PiS Janusza Wojciechowskiego, oraz zabójstwo Pawła Adamowicza, prezydenta Gdańska, w roku 2019. Tyle że obie te tragedie są bez związku z tematem. Żadna z ofiar nie miałaby państwowej ochrony, nawet gdyby przyjąć bardzo liberalne warunki jej przyznawania. Wobec żadnej też nie były wcześniej przez zabójcę kierowane groźby.

Zwolennicy szafowania państwową ochroną używają też argumentu, że jeśli sprawowanie ważnej funkcji państwowej wiąże się z zagrożeniami, a państwo nie zapewni danej osobie bezpieczeństwa również po zakończeniu sprawowania urzędu, to wiele osób nie zdecyduje się na przyjęcie rządowej posady. To jednak bałamutny argument, a przypadek Niedzielskiego jest na to znakomitym dowodem.

Owszem, słuszne się wydaje, żeby ochrona SOP przysługiwała tym członkom rządu, którzy w momencie sprawowania funkcji są szczególnie narażeni na niebezpieczeństwo – tak jak to jest we wszystkich opisanych wyżej przypadkach innych państw. Jednak nawet tu obecne regulacje budzą wątpliwości. Dlaczego właściwie z urzędu ochrona przysługuje ministrowi spraw zagranicznych? Bardziej zasadne wydawałoby się objęcie nią na mocy ustawy ministra sprawiedliwości – poza ministrem spraw wewnętrznych.

Gdyby zaś uznać, że Niedzielski miał prawo do ochrony, bo podobno otrzymywał groźby, to rychło trzeba by zwiększyć liczbę etatów w SOP z obecnych niespełna 3 do 30 tys., bo w praktyce trudno byłoby znaleźć byłego ministra, który nie dostawałby jakichś gróźb i nie domagałby się w związku z tym eskorty. SOP musiałby ochraniać setki ludzi.

Przypadek Adama Niedzielskiego jest i pod tym względem ciekawy, że jego żale i połajanki polityków PiS wobec obecnej władzy za odebranie ochrony mają w sobie coś głęboko niemoralnego. Oto polityk, który bez mrugnięcia okiem przyczyniał się do nieszczęścia niezliczonych osób i łamania praw obywatelskich, a teraz trafił na najpewniej zwykłych podpitych chuliganów, skarży się na swój los i usiłuje z przypadkowej napaści zrobić sprawę wagi państwowej. Można by złośliwie powiedzieć, że jeśli ma się odwagę niszczyć ludziom biznesy, bliskich oddzielać od umierających rodziców, a setki tysięcy ludzi skazywać na psychiczną traumę wynikającą z przymusowego siedzenia w domach, to powinno się także mieć odwagę po zakończeniu sprawowania władzy stanąć twarzą w twarz z obywatelami. Nikt nikomu nie każe sprawować publicznej funkcji. Jeśli ktoś się na to decyduje, to powinien liczyć się z konsekwencjami, a te mogą być bardzo nieprzyjemne.

Nie sposób usprawiedliwiać przemocy. Ale nie sposób też uznać, że jeśli nawet w USA Secret Service ochrania raptem niespełna 40 osób, to w Polsce jakieś szczególne względy powinni mieć ludzie tacy jak Adam Niedzielski. Jeśli zaś poczują się zagrożeni – tu trzeba się, chcąc nie chcąc, zgodzić z ministrem Kierwińskim – to niech zameldują się z tym problemem na policji, jak każdy Kowalski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9920e5187b



Marta Cienkowska, jeszcze jako wiceminister kultury, nadzorowała Departament Funduszy i Spraw Europejskich oraz Departament Współpracy z Zagranicą. Zdaniem wielu powinna odpowiedzieć politycznie za chaos w KPO dla kultury. Dziś jest ministrem, a chaos nie wydaje się mniejszy FOT. SZYMON PULCYN/PAP

KPO na łapu-capu



Radosław Wojtas

Żeby obrazowo opisać sposób podziału środków z KPO dla kultury, można wyobrazić sobie taką sytuację: maturę z matematyki oblewa 80 proc. piszących. Zdali wszyscy, którzy użyli czarnych, wymaganych w regulaminie wkładów, pomimo że byli w tej grupie uczniowie, którzy rozwiązali tylko po jednym zadaniu, a w sklepie nie potrafią doliczyć się reszty. Najlepsi matematycy oblali, bo pisali na niebiesko. Tak rozdziela się setki milionów złotych, które spłacać będą kolejne pokolenia Polaków

Zajmuję się 20 lat zarówno wnioskami, jak i konkursami grantowymi na dużą skalę i nie ma takiego konkursu, w którym odpadłoby 80 proc. wniosków. To się nigdy nie zdarzyło, a wydajecie mnóstwo kasy na dodatkowych ekspertów – mówiła jedna z uczestniczek spotkania dla osób i organizacji, które ubiegały się o unijne środki, zorganizowanego w ubiegłym tygodniu przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca, operatora programu KPO dla kultury. Swoje wystąpienie zakończyła nazwaniem tej edycji KPO dla kultury „spektakularną klęską".

Nie jest to bynajmniej ocena odosobniona. Jeszcze bardziej krytyczne recenzje sposobu rozdawania publicznych pieniędzy można znaleźć choćby w pełnych rozgoryczenia komentarzach w facebookowej „grupie wsparcia", w której aplikujący o środki z KPO dla kultury wymieniają się uwagami i informacjami o programie. Grupie, która zawiązała się już podczas pierwszej, fatalnie zorganizowanej edycji KPO dla kultury. – Za poprzedni nabór, jako wiceminister kultury, odpowiadała Marta Cienkowska. Ponieważ była to kompletna katastrofa, to moim zdaniem, i zdaniem wielu innych osób, powinna była zostać za to zdymisjonowana. Nie tylko nie została zdymisjonowana, ale została ministrem kultury. I w tym roku drugi nabór do KPO

eprasa.pl 9920e5187b

także jest katastrofą – mówi „Do Rzeczy" przedstawicielka organizacji pozarządowej, ekspert zajmująca się od lat pozyskiwaniem i ocenianiem grantów, która przygotowywała wnioski dla różnych instytucji w ramach KPO dla kultury i która ze względu na interes instytucji, dla których przygotowuje wnioski, pragnie zachować anonimowość.

– Zresztą nasze zmagania z poprzednim naborem jeszcze się nie skończyły. Sprawozdania musieliśmy złożyć do końca stycznia, mamy początek września i one jeszcze nie zostały zaakceptowane. Takie rzeczy, jakie dzieją się w KPO dla kultury, nie zdarzały się w żadnym programie ministra kultury, u żadnego operatora – dodaje.

SUROWI SĘDZIOWIE

Wyniki naboru, w którym ok. 80 proc. wniosków otrzymało zero punktów, zaskoczyły nawet operatora programu. – Zakładaliśmy, że dofinansowanie otrzyma kilkaset wniosków więcej. Byliśmy na to przygotowani – przyznał Lech Dzierżanowski, p.o. dyrektor Narodowego Instytutu Muzyki i Tańca. Złożono 4765 wniosków o granty w wysokości od 20 tys. zł do 200 tys. zł. Dofinansowanie przyznano w 924 przypadkach. Przy 3841 projektach na opublikowanej liście rankingowej wpisano zero punktów. Nie dlatego, że zabrakło środków, bo z budżetu opiewającego na ponad 250 mln zł nie wykorzystano ponad 28 mln zł. Podobna sytuacja jest w przypadku stypendiów (6 tys. zł brutto miesięcznie przez okres od trzech do sześciu miesięcy). Tu złożono 3077 wniosków. Zerowa punktacja widnieje przy 2376 z nich. Wolne środki: blisko 2,9 mln zł z ponad 34 mln zł.

Czy to oznacza, że nasze instytucje kultury i nasi artyści mieli tak fatalne pomysły? Nie, to nie wartość merytoryczna była decydująca. Dofinansowanie dostały bowiem wszystkie projekty wolne od błędów formalnych i spełniające „kryteria horyzontalne". Każdy projekt oceniało trzech niezależnych od siebie ekspertów. Jeśli w ocenie któregoś z nich wniosek był obarczony choćby jednym błędem formalnym lub nie spełniał któregoś z kryteriów horyzontalnych, to projekt otrzymywał zero punktów. Nawet jeśli dwóch ekspertów uważało inaczej i nawet jeśli wszyscy trzej ocenili jego wartość merytoryczną wysoko, to projekt przepadał.

Najwięcej wniosków odrzucono z powodu niespełnienia kryteriów horyzontalnych. To tutaj eksperci mieli największe pole do (nad)interpretacji

JAK TAŃCZYĆ EKOLOGICZNIE?

Najwięcej wniosków odrzucono z powodu niespełnienia kryteriów horyzontalnych. To tutaj eksperci mieli największe pole do (nad)interpretacji. Jedna z uczestniczek ubiegłotygodniowego spotkania zwróciła uwagę na to, że kryteria horyzontalne zostały sformułowane tak, że można je było traktować bardzo arbitralnie. Zajrzyjmy do „Przewodnika po kryteriach formalnych i horyzontalnych" zamieszczonego na stronie KPO dla kultury: „Przedsięwzięcie objęte Wnioskiem jest zgodne z zasadą zrównoważonego rozwoju i racjonalnego wykorzystywania zasobów naturalnych"; „Przedsięwzięcie objęte Wnioskiem jest zgodne z zasadą »niewyrządzania znaczącej szkody środowisku« (DNSH – »do no significant harm«)"; „Przedsięwzięcie jest zgodne z zasadą równości szans i niedyskryminacji oraz zasadą równości szans kobiet i mężczyzn".

– Stopień absurdalnych, kuriozalnych pytań był tak ogromny, że właściwie nie wiadomo było, co pisać. Jeśli organizuje się np. koncerty muzyki klasycznej albo robi się tradycyjny teatr, to jak odpowiedzieć na pytania o to, czy przedsięwzięcie jest zgodne z zasadą niewyrządzania szkody środowisku albo czy nie jest szkodliwe dla odporności ekosystemów lub nie będzie szkodliwe dla zachowania siedlisk i gatunków, w tym siedlisk i gatunków objętych zakresem zainteresowania Unii, odtwarzania bioróżnorodności itd.? To jest niepoważne. Jak to się ma do kultury? – mówi ekspert, z którą rozmawia „Do Rzeczy".

I dodaje, że w niektórych przypadkach nie wystarczyło wpisać „tak" lub „nie", trzeba było uzasadniać, czyli po prostu zdrowo lać wodę, by chociaż odpowiedzi brzmiały mądrze, pomimo tego, że pytania są w tych okolicznościach tak niedorzeczne. Przy czym ta troska o środowisko – gorzko uśmiecha się nasz ekspert – jest tylko na papierze. W przenośni i dosłownie. – Bo później, a mówię to na własnym przykładzie z pierwszego naboru, Narodowy Instytut Muzyki i Tańca wymaga dostarczenia wszystkich umów i załączników w wersji papierowej w trzech egzemplarzach. Składałam cztery projekty i w moim przypadku było to tysiąc stron! I na tych tysiącach stron rozpisujemy się, jak to dbamy o środowisko. Przecież to paranoja – mówi.

Jedna z uczestniczek ubiegłotygodniowego spotkania była zdumiona przedstawioną na nim informacją, że duża część wniosków odpadła z powodu braku podpisu pod statutem. – Ten sam statut, który w zeszłym roku został złożony w konkursie KPO, kiedy wniosek przeszedł, dostał dofinansowanie, a teraz musiał być podpisany, czego nie ma w regulaminie [...]. Dobrą praktyką konkursów grantowych jest również to, że jeżeli mamy ocenę zero-jedynkową, to się publikuje te kryteria oceny, a to, co panowie pokazywali, to – przepraszam – tego nie było nigdzie. Albo się pojawiało gdzieś tam w połowie czasu na aplikowanie, kiedy część wniosków została już złożona i można było pożałować, że się nie poczekało do końca – mówiła.

Wnioski oceniali eksperci w dziedzinach artystycznych, ale nie w dziedzinie grantów. Co by miało sens, gdyby mieli odnosić się jedynie do kwestii merytorycznych, ale to na ich barkach spoczywała także ocena pod względem formalnym i kryteriów horyzontalnych. – Wniosek do eksperta powinien trafić już po weryfikacji formalnej. Nie powinno być tak, że ekspert, który jest np. profesorem muzykologii czy literaturoznawcą, musi sprawdzać, czy wpisano prawidłowy KRS albo czy wniosek spełnia wszystkie te założenia horyzontalne. To zajęcie dla urzędników, specjalistów od oceny wniosków. Eksperci bali się sytuacji, że coś przeoczą, więc na wszelki wypadek odrzucali projekt, co do którego mieli jakiekolwiek wątpliwości – mówi nasza rozmówczyni.

Wiele o systemie oceniania wniosków mówi to, że przepadły także projekty składane przez duże podmioty, które

eprasa.pl 9920e5187b

trudno posądzać o brak doświadczenia w pozyskiwaniu grantów. Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki złożyła cztery wnioski. Wszystkie odrzucono na etapie oceny formalnej lub kryteriów horyzontalnych. – Zachęta jest operatorem największego projektu wystawienniczego, czyli sztuki wizualne, z programów ministra. Jeżeli oni mają rozdawać środki, a nie radzą sobie ze zdobyciem grantów, to znaczy, że się chyba do tego nie nadają? – ironizuje nasza pani ekspert. Podobne pytanie można by postawić w stosunku do Instytutu Adama Mickiewicza, który także jest operatorem ministerialnych projektów, także przyznaje granty, a w rozdaniu z KPO dwa jego wnioski zostały odrzucone.

Jeden z uczestników ubiegłotygodniowego spotkania zwrócił uwagę, że przepadały też wnioski składane przez organizacje, z których pochodzili eksperci decydujący o grantach z KPO. Czyżby nawet przeszkoleni i oceniający wnioski innych eksperci sami nie potrafili złożyć dokumentacji, którą inni eksperci oceniliby jako pozbawioną wad?

Tu na marginesie pojawia się pytanie, czy organizacje, z którymi powiązani są eksperci decydujący o dotacjach, powinny ubiegać się o środki z KPO. Świat artystyczny jest mały, wszyscy tu się znają, trudno o zupełnie niezależnych arbitrów. Dodatkowo, co podkreśla NIMiT, eksperci nie opiniowali wniosków, które składały ich organizacje. To wszystko prawda, ale – zauważył na spotkaniu zorganizowanym przez NIMiT prawnik – nawet jeśli tak było, to czy wyobrażają sobie państwo sytuację, w której o jakieś środki ubiegają się nie instytucje, ale spółki i członek zarządu jednej spółki ocenia wniosek innej spółki? Czy nie będzie miał pokusy, by go odrzucić tylko po to, aby oczyścić sobie przedpole?

MIERNY, ALE REGULAMINOWY

Oceniający tak bardzo skupili się na kwestiach formalnych i horyzontalnych, że wartość merytoryczna projektów zeszła na dalszy plan. Wycięcie tylu wniosków zrobiło miejsce dla tych, które już samym tytułem (NIMiT udostępnił tylko tytuły, bez szczegółowych opisów, co prowokuje do oceniania książki po okładce) budzą wątpliwości. I tak internauci pastwią się nad KPO dla kultury, wskazując, że przeszły takie pomysły, jak: „Kolory męskości – Tik Tok, taniec i cielesne doświadczenie męskiej tożsamości" (stypendium – 36 tys. zł), „Ekotransgresja i zanurzenie w pozaludzkie światy" (stypendium – 36 tys. zł), „Odra – rzeka z prawem głosu" (stypendium – 36 tys. zł), „»Nurdle, fusy i ubrania martwych Europejczyków« – wystawa dotycząca zagadnienia odpadów, promująca odpowiedzialność środowiskową" (grant – ponad 108 tys. zł), „Osiek Gender Studies" (grant – 192 tys. zł).

Oceniający tak bardzo skupili się na kwestiach formalnych i horyzontalnych, że wartość merytoryczna projektów zeszła na dalszy plan

Warto odnotować również dwa dofinansowane projekty Fundacji Liberté!: „Eco Verse. Czytanie performatywne" (140 tys. zł), „Czas niepewności – render. Multimedialna scenografia igrzysk wolności 2025" (158 tys. zł). To fundacja, która – jak ujawniła TV Republika – w kampanii wyborczej jednego dnia wypuściła na Facebooku ponad 130 reklam, za które zapłaciła ponad 120 tys. zł. Reklamy wspierały kandydaturę Rafała Trzaskowskiego.

Zwraca uwagę także przyznanie 856 tys. zł na aż sześć projektów Fundacji Widowisk Masowych, która zajmuje się promocją kultury i dziedzictwa narodowego Ukrainy w Polsce przy jednoczesnej odmowie finansowania takich projektów jak koncert o rtm. Pileckim (Fundacja Projekt Patriotyzm), „Chodźmy Do Muzeum – 1000 Lat Historii Korony Królestwa Polskiego" (Fundacja Pro Anima), „W stronę nieba" (Muzeum Żołnierzy Wyklętych) i innych wniosków odwołujących się do polskiej historii, tożsamości i kultury.

Na liście odrzuconych znalazły się wnioski o granty złożone przez takie instytucje, jak: Muzea Narodowe w Warszawie, Gdańsku, Krakowie, Poznaniu, Teatr Wielki-Opera Narodowa, Muzeum Łazienki Królewskie, Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie i wiele innych poważnych i uznanych instytucji. Czy należy przypuszczać, że mieli kiepskie pomysły? Czy można je podejrzewać o brak kadry i środków, by przygotować dobre wnioski? – W normalnych projektach ministra, aby wniosek przeszedł, musi zdobyć przynajmniej 70 punktów na 100. To absolutne minimum. A tutaj pieniądze otrzymają projekty, które zdobyły po czterdzieści kilka punktów. Niektórzy stypendyści zdobyli 11 punktów na 35 i dostali dofinansowanie. Mam wrażenie, że z projektów, które ja pisałam, dofinansowanie przyznano tym najsłabszym merytorycznie. Nie wiem jeszcze, dlaczego pozostałe odrzucono, bo nie mamy kart ocen, ale na pewno były to względy formalne bądź horyzontalne – mówi ekspert w rozmowie z „Do Rzeczy".

ZAKORKOWANY INSTYTUT

Instytucje i osoby, których projekty zostały odrzucone, mogą się od tych decyzji odwołać, gdy dostaną już kartę ocen. Wtedy każdy wniosek rozpatrywać będzie nie trzech ekspertów, a pięciu. Biorąc pod uwagę liczbę odmownych decyzji, należy spodziewać się wielu odwołań. Narodowy Instytut Muzyki i Tańca to instytucja za mała i pozbawiona odpowiedniego doświadczenia, by sprawnie zajmować się programami z takimi budżetami. Należy się więc spodziewać, że procedury znów będą się przeciągać.

– Wszystko robione jest z opóźnieniem. W zeszłym roku dostaliśmy pieniądze w połowie listopada, a rozliczyć musieliśmy wszystko do końca grudnia. Proszę sobie wyobrazić, jakie to jest wyzwanie dla niedużych instytucji. To jest absolutne szaleństwo – ocenia rozmówczyni „Do Rzeczy". – Artyści, którzy w ramach dofinansowanych projektów występowali we wrześniu czy w październiku, dostawali pieniądze pod koniec listopada. Nie tak to miało wyglądać, to miało być wsparcie dla artystów – dodaje.

Dlaczego nie zrobiono tak, jak przy programach ministra kultury, że wnioski można przesyłać dwa tygodnie wcześniej, by jeszcze przed ich właściwym złożeniem mogły zostać ocenione pod względem formalnym? Po to, aby zwykłe niedopatrzenie, nieduży błąd formalny nie przekreślały dobrego projektu? Bo Unia nie pozwala? Bo jak zwykle zrobiono wszystko na łapu-capu? I kto tym razem zostanie za to... awansowany?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9920e5187b



Gramy dla Zwierząt!

– to hasło największej, ogólnopolskiej inicjatywy na rzecz zwierząt, która już za moment odbije się echem w całej Polsce!

Gramy dla bezdomnych psów, kotów, dla uratowanych koni i osłów, dla świń, krów, kur, lisów i dzikich zwierząt. Gramy, żeby cała Polska usłyszała ich głos. Bądź ich głosem razem z nami!

Inicjatywa ma charakter społeczny. Organizowana jest przez ludzi z wielu środowisk – dla wszystkich potrzebujących zwierząt. Siłami i zaangażowaniem miłośników zwierząt z całego kraju. W tym roku GRAMY w dużych miastach Polski: Warszawie, Wrocławiu, Łodzi, Trójmieście – Sopocie, Katowicach, Chorzowie oraz on-line – nie może zabraknąć i Ciebie!

Gramy dla sterylizacji – to przede wszystkim, ale też dla diagnostyki i leczenia.

Dodatkowo zbieramy karmę. Wspieramy różne gatunki, a to Wy głosujecie.

Chcemy przeciwdziałać bezdomności i cierpieniu zwierząt poprzez zmiany u podstaw oraz wspierać leczenie w ramach wspierania innych organizacji działających na rzecz zwierząt. Zebrane fundusze wspierają również największe schronisko dla koni na świecie, które Centaurus od 2006 r. prowadzi właśnie w Polsce.

Jeśli kochasz zwierzęta i chcesz wraz z nami tworzyć dla nich lepszy świat, to możesz to zrobić właśnie tu i właśnie teraz! A we wrześniu na finale być z nami fizycznie. Podczas finałów organizujemy spacery charytatywne z naszymi pupilami.

Idź na Walkathon! Bo cała Polska już 13 i 14 września idzie dla zwierząt! Inicjatywa chodzenia to część akcji GRAMY DLA ZWIERZĄT organizowanej przez Fundację Centaurus właśnie w połowie września. Fundusze zebrane podczas imprezy i walkathonów mają być przeznaczone również właśnie na sterylizację i leczenie zwierząt pod skrzydłami innych fundacji. W założeniu fundacji GRAMY DLA ZWIERZĄT ma mieć wymiar ogólnopolski i wspierać wszystkie zwierzaki, które tego potrzebują. Walkathony będą odbywać się w Warszawie, we Wrocławiu, w Trójmieście, Łodzi oraz Chorzowie. Cała Polska i miłośnicy zwierząt poza jej granicami będą mogli iść również wirtualnie – Centaurus udostępnia aplikację, gdzie można dołączyć i iść ze wszystkimi tam, gdzie się chce. Dystans do przejścia spacerem to 2 km. Całkowity zysk przekazany jest na cele charytatywne inicjatywy – czyli właśnie na zwierzęta. To pierwsza ogólnopolska edycja tej imprezy – Centaurus zapowiada jednak, że będzie kontynuował ją corocznie i zwiększał jej zasięgi z biegiem lat, aby sięgała wszystkich miast w Polsce i wspierała schroniska oraz program sterylizacji zwierząt.

Dołącz do największej ogólnopolskiej akcji dla zwierząt, idź na Walkathon i pomóż zbudować lepsze jutro dla zwierząt!

Wejdź na www.gramydlazwierzat.pl i zapisz się w swoim mieście lub dołącz wirtualnie!

Wielką Ogólnopolską Akcję Charytatywną Gramy dla Zwierząt możesz wspierać również poprzez wysłanie SMS-a o treści GRAM pod numer 74444

Cała Polska Gra dla Zwierząt!

SMS o treści GRAM na numer 74444 (koszt 4,92 zł z VAT), regulamin dostępny na stronie akcji www.gramydlazwierzat.pl



ARTYKUŁ SPONSOROWANY

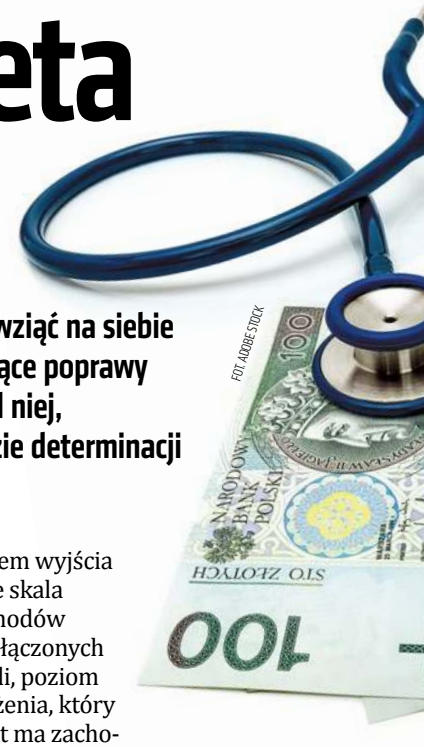
eprasa.pl 9920e5187b

Podpis zamiast weta



Piotr Ciompa

Spór jest o to, kto w oczach elektoratu ma wziąć na siebie odpowiedzialność za trudne decyzje dotyczące poprawy funkcjonowania szpitali. Rząd uchylił się od niej, obarczając nią samorządy. Dlatego nie będzie determinacji w samorządach, by realizować cele rządu



W pierwszych dniach sierpnia 2025 r. Sejm przegłosował nowelizację ustaw regulujących funkcjonowanie szpitali. Jej faktycznym celem nie jest jednak reforma fundamentów służby zdrowia – bo zapisy ustaw idą obok jej zasadniczych problemów – lecz spełnienie warunku, do którego się zobowiązał jeszcze rząd Mateusza Morawieckiego. Chodzi mianowicie o uruchomienie środków unijnych z KPO na ochronę służby zdrowia. Prezydent Karol Nawrocki nieoczekiwanie ustawę podpisał. I zastawił w ten sposób na rząd Donalda Tuska pułapkę, która może mieć ważny wkład w klęskę wyborczą obecnej koalicji rządowej w 2027 r.

Ustawodawca prawidłowo ocenia, że niekorzystną cechą obecnego systemu ochrony zdrowia są nadmierne wydatki na leczenie szpitalne w stosunku do nakładów na profilaktykę i ambulatoryjną opiekę specjalistyczną (poradnictwo), znacznie tańszą i efektywniejszą, jeśli podjętą zawczasu, opiekę zdrowotną. Aby przesunąć wydatki ze szpitali na poradnictwo, ustawodawca jako pożądany cel wyznacza zmniejszenie zasobów w szpitalnictwie, poprzez konsolidację. Jednakże dobrane narzędzia i zaproponowane ścieżki dojścia do tego celu wróżą niepowodzenie jego osiągnięcia.

RZĄD CZY SAMORZĄD?

Ustawodawca odpowiedzialnością za przeprowadzenie konsolidacji obarcza samorządowców. Sąsiednie powiaty (w tym miasta na prawach powiatu) mają dobrowolnie zakładać związki powiatów, które przejmowałyby prowadzenie szpitali i łączyły je w jedną funkcjonującą w kilku lokalizacjach placówkę, ale bez dublujących się oddziałów i jednostek wsparcia typu blok operacyjny, laboratorium, częściowo pracownia RTG itp. – dziś nie w pełni wykorzystywanych, a kosztownych.

Matką wszystkich błędów ustawodawcy jest brak realizmu w ocenie systemu opierającego zarządzanie siecią szpitali na powiatach. To odrębna dyskusja, czy powiat to autentyczna wspólnota wspólnot gminnych czy też twór w przeważającej części przypadków sztuczny. Faktem jest, że z budżetu szpitali finansowane są wydatki społeczne w postaci utrzymywania przerostów zatrudnienia. Szczególnie jaskrawo można dostrzec ten problem w powiatach, gdzie szpital należy do największych pracodawców. Ponadto starostowie mają tylko dwa istotne obszary, w których mogą kreatywnie zarządzać większymi budżetami – szpital oraz drogi i transport. Administracja szpitali często obsługuje swoimi etatami zaplecze polityczne samorządowców. Dlaczego mieliby oni dobrowolnie rezygnować z istotnej części swojej władzy?

Gdyby samorządowcy byli zdeterminowani do wzięcia spraw w swoje ręce, wiele szpitali byłoby już dawno połączonych. Ustawa ułatwi łączenia, ale to nieprawda, że dotychczasowe przepisy je uniemożliwiały. W Polsce było już kilka połączeń placówek. Jednym z poważniejszych z nich – połączeniem szpitala wojewódzkiego z miejskim – kierowałem osobiście. Niewielu samorządowców widzi w tym szansę dla pacjentów. Bardziej widzą w tym ryzyko dla siebie.

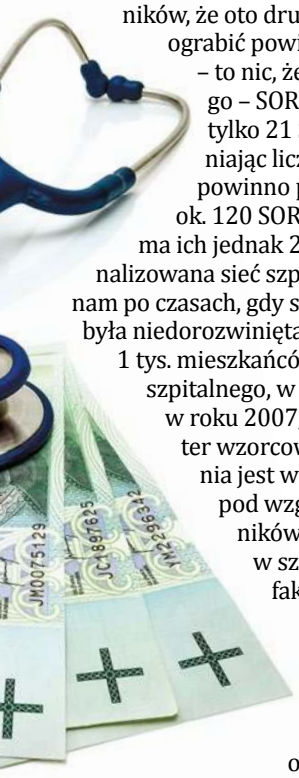
Spór jest o to, kto w oczach elektoratu ma wziąć na siebie odpowiedzialność za trudne decyzje. Rząd uchylił się od niej, obarczając nią samorządy. Dlatego nie będzie determinacji w samorządach, by realizować cele rządu. Sprawa rozbije się o żmudne negocjacje między dwoma lub więcej powiatami, dla których punktem wyjścia będzie skala przychodów z NFZ łączonych szpitali, poziom zadłużenia, który powiat ma zachować najatrakcyjniejsze oddziały, w tym kluczowe blok operacyjny i OIOM, lub w którym powiecie będzie zlokalizowana administracja szpitala, istotna dla zaplecza politycznego starostów.

PONAD PODZIAŁAMI?

Lokalne społeczności nie wiedzą – co jest winą ich liderów – że oddziały w lokalnych szpitalach z mniejszą praktyką i doświadczeniem są dla swoich pacjentów bardziej ryzykowne (np. dla położnictwa uważa się, że minimalna liczba porodów pozwalająca personelowi medycznemu utrzymywać praktykę na bezpiecznym poziomie to 400 porodów rocznie). Niestety, wolą mieć niedofinansowane oddziały szpitalne u siebie niż obietnice dobrego szpitala za miedzą. I jest to zrozumiałe. To efekt nieufności jednoczącej Polaków ponad podziałami, związanej z tyloma nieudanymi reformami i oddłużeniami szpitali.

eprasa.pl 9920e5187b

Bez porozumienia ponad podziałami politycznymi żadna reforma nie będzie możliwa, ponieważ nawet najtwardsi wyborcy partii Jarosława Kaczyńskiego czy ugrupowania Donalda Tuska dadzą wiarę demagogii partyjnej przeciwników, że oto druga strona chce ograbić powiat np. z własnego – to nic, że dziadowskiego – SOR. Dania posiada tylko 21 SOR, co uwzględniając liczbę ludności, powinno przekładać się na ok. 120 SOR w Polsce. Polska ma ich jednak 235. Nieracjonalizowana sieć szpitali pozostała nam po czasach, gdy sieć i jakość dróg była niedorozwinięta. W Polsce na 1 tys. mieszkańców jest 6,3 łóżka szpitalnego, w Danii po reformie w roku 2007, która ma charakter wzorcowy, 2,3 łóżka. Dania jest w czołówce krajów pod względem wskaźników przeżywalności w szpitalach i satysfakcji pacjenta.



WIERZYCIELE WEJDĄ DO GRY?

W czynnikach opóźniających konsolidację należy uwzględnić opór wierzycieli placówek szpitalnych. Wyobraźmy sobie wierzyciela, wobec którego zobowiązania ma szpital dobrze zarządzany, z poziomem zadłużenia „pod kontrolą", należący do samorządu również „zdrowego" finansowo. Szpital ten ma zostać skonsolidowany przez związek samorządów, którego pozostali członkowie są maksymalnie zadłużeni, a prowadzone przez nie szpitale posiadają znaczące zobowiązania wymagalne. Zabezpieczenie spłat wierzytelności wobec pierwszego szpitala znacząco się obniży. Owszem, ustawa dopuszcza pewną elastyczność uregulowania odpowiedzialności za zobowiązania w porozumieniu o połączeniu placówek lub powołującym związek samorządów, jednakże wierzyciele z pewnością będą chcieli uwzględnienia ich stanowiska w takich jak powyżej opisanych sytuacjach. Ustawodawca w nowym art. 67b ustawy o działalności leczniczej nie przewidział takiej ewentualności. Wierzyciele będą mieli interes prawny w skarżeniu najpierw do wojewody, następnie do sądu administracyjnego uchwał właściwych organów stanowiących jednostek samorządu terytorialnego, wraz z żądaniem ich zawieszenia. Niech tylko kilku wierzycieli łączonych szpitali będzie domagać się dopuszczenia do ustaleń odnośnie do losu ich wierzytelności, a już szybka konsolidacja oddali się znacząco. Ewentualna skarga do sądu wydłuży konsolidację nawet o kilka lat. Wśród wierzycieli do największych należą parabanki. Z nimi łatwych negocjacji nie będzie.

Partyjna logika podpowiadała utrącenie ustawy o działalności leczniczej i zablokowanie KPO. Prezydent postąpił jednak inaczej

PUŁAPKA NA TUSKA?

Wobec słabości ustawy jej nowelizacja z pewnością zasługiwała na prezydenckie weto. Ale prezydent pozwolił rządowi wziąć pełną odpowiedzialność za ochronę zdrowia. Ustawa jest „głupia", ale zasadniczo nieszkodliwa. A nawet wprowadza na marginesie kilka niewielkich zmian, które rozważano za rządów PiS. Zagrożenie prywatyzacją szpitali jest bardzo teoretyczne. W tej kadencji parlamentu, z uwagi na czasochłonność konsolidacji szpitali przez związki samorządów, a następnie samej prywatyzacji, jest ona nierealna. Tak więc ustawa, jeżeli wejdzie w życie, znaczących skutków bezpośrednich dla ochrony zdrowia nie spowoduje. Natomiast w wyniku trwających od dawna procesów „gnilnych" sieć szpitali będzie ulegała dalszemu rozregulowaniu i spadkowi efektywności, nie nadążając za zmianami potrzeb zdrowotnych (rynkiem). Za dwa lata, tuż przed wyborami parlamentarnymi, niekompetencja rządu objawi się w pełnej krasie. Zgodnie z ustawą ma wtedy nastąpić pierwsza ocena jej efektów. Z mierników oceny ustawionych pod zmniejszenie liczby szpitali żaden nie zostanie osiągnięty, a niektóre ulegną istotnemu pogorszeniu.

Partyjna logika podpowiadała utrącenie ustawy i zablokowanie KPO, by rząd przed wyborami nie miał sukcesu. Jednak zgodnie z unijnymi regułami KPO nie może być wydatkowane w zakresach, w których akurat polską ochronę zdrowia toczy największy kryzys, czyli bieżących kosztów utrzymania, kryzysu kadrowego, kolejek. Pozytywne skutki KPO dla pacjentów będą odłożone w czasie – w ciągu dwóch lat trapić ich będą te same bolączki co do tej pory, tylko w większej skali. Weto prezydenta nie miałoby dla ochrony zdrowia i pacjentów istotnych konsekwencji, zwłaszcza w perspektywie dwóch lat. Duża część środków zostanie zmarnowana, jak zawsze, gdy pojawia się ich nadmiar w strukturze, która nie jest na to przygotowana. Będzie to trudniejsze do spektakularnego pokazania, jak w przypadku KPO dla branży rekreacyjnej, ale prawie pewne, bo już do tej pory w ochronie zdrowia szastano skromnymi środkami na rozwój i inwestycje, np. w kardiologii. Wiele szpitali powiatowych można pod względem wyposażenia w aparaturę porównać do szczerbatego dziada z jednym zębem złotym, gdy pan starosta przed wyborami, wspierany przez „ambitnych" lekarzy, każe nabyć rezonans czy tomograf, których nie powstydziłyby się ośrodki akademickie. Tylko aparatury towarzyszącej i personelu, który potrafiłby z tych nabytków wycisnąć „pełną moc" dla pacjentów, szpitalowi często brakuje.

Tak więc Karol Nawrocki nie kosztem pacjentów mógł dać „szansę" Donaldowi Tuskowi na „reformę" szpitali. Wetując ustawę, prezydent nie odwróciłby uwiądu polskich szpitali, ale dałby rządowi alibi dla zbliżającej się katastrofy i powód do oskarżania prezydenta za jej spowodowowanie przez weto wobec najpiękniejszej reformy szpitalnictwa, jaka kiedykolwiek została przyjęta w Polsce.

Zaplanowana konsolidacja w skali kraju to proces ułomny, by nie powiedzieć fikcyjny, aby tylko stworzyć alibi dla uruchomienia środków z KPO. I to jest jedyny, ale dużej wagi argument merytoryczny za podpisaniem ustawy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest menedżerem prywatnej i publicznej służby zdrowia, w latach 2020–2024 był członkiem Rady NFZ.

eprasa.pl 9920e5187b



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska



Biznesmen Piotr Szczerek zabiera chłopcu czapkę, którą ten dostał od tenisisty Kamila Majchrzaka podczas US Open FOT. EUROSPORT

Bolesna dociekliwość internautów

Kamera smartfona działa niczym lupa, dzięki której internetowa społeczność, wcielająca się w rolę tysięcy detektywów, jest w stanie szybko ujawnić niemal każdą nieprawość

W związku z sytuacją, do której doszło podczas meczu Kamila Majchrzaka na US Open, chciałbym jednoznacznie przeprosić poszkodowanego chłopca, jego rodzinę, a także wszystkich kibiców i samego zawodnika. Popełniłem poważny błąd. W emocjach, w tłumie radości po zwycięstwie, byłem przekonany, że tenisista podaje czapkę w moim kierunku – dla moich synów, którzy prosili wcześniej o autografy" – tymi słowami rozpoczyna się oświadczenie wydane przez Piotra Szczerka, właściciela firmy produkującej kostkę brukową z Błaszek w województwie łódzkim. Tłumaczenia dotyczą afery, która obiegła świat lotem błyskawicy po tym, jak w sieci ktoś opublikował kilkunastosekundowe nagranie.

Po meczu Kamila Majchrzaka z Karenem Chaczanowem podczas wielkoszlemowego US Open polski zawodnik podszedł do kibiców, aby rozdać autografy. Postanowił wręczyć swoją czapkę ok. 10-letniemu chłopcu, jednak czapka została wyrwana z rąk dziecka właśnie przez Szczerka. Młody fan próbował odzyskać gadżet, ale mężczyzna zupełnie go zignorował. Internauci natychmiast rozpoczęli poszukiwania, które szybko zakończyło się zidentyfikowaniem odpowiedzialnego za „kradzież" czapki. Natychmiast wyszło na jaw, że przedsiębiorstwo jest jednym ze sponsorów Polskiego Związku Tenisowego.

WSTYD NA CAŁY ŚWIAT

Sprawą zainteresowały się posiadające milionowe zasięgi na portalu X konta anglojęzyczne. „Trzeba przyznać, że to był fantastyczny ruch marketingowy. Nie ma państwa na świecie, w którym nie można by usłyszeć o firmie i jej właścicielu. Pan Piotr Szczerek zaoszczędził miliony…" – ocenił ironicznie jeden z użytkowników. Artykuł sprawie poświęcił „New York Post". „Szef firmy z Polski Piotr Szczerek, który wyrwał chłopcu czapkę na US Open, w końcu przeprosił" – brzmi nagłówek. Francuski magazyn sportowy „L'Equipe" również zauważył temat: „Milioner Piotr Szczerek przeprasza po tym, jak ukradł dziecku czapkę Kamila Majchrzaka na US Open". Brytyjski „Daily Mail" przedstawił na swojej stronie internetowej całą historię ukradzionej czapki z dokładnymi stopklatkami i opisami. „The Independent" pisze z kolei o „viralowym wideo" i opisuje szczęśliwe zakończenie całej historii. „Majchrzak spotkał się z młodym kibicem po incydencie i udostępnił na swoim profilu na Instagramie nagranie, na którym widać, jak ściska i wręcza prezenty – w tym czapkę, która wyglądała podobnie do tej, którą niemal przekazał chłopcu w tłumie" – czytamy. Jeden z polskich internautów zauważa, że „Anna i Piotr Szczerkowie – bo o nich mowa – narobili nam wstydu na cały świat, gdyż poszuki-

eprasa.pl 9920e5187b

wały ich największe konta na X". W tym czasie przedsiębiorca przeżył prawdziwy „nalot" oburzonych internautów na stronę jego firmy. W sieci zaczęto wystawiać firmie Szczerka negatywne opinie, choć cała sprawa nie ma żadnego związku z jej działalnością. Po drodze internetowi detektywi dali się nabrać na kogoś podszywającego się pod milionera, jednak ostatecznie ukazało się oświadczenie. „Dziś wiem, że zrobiłem coś, co wyglądało jak świadome odebranie pamiątki dziecku. To nie była moja intencja, ale to nie zmienia faktu, że zraniłem chłopca i zawiodłem kibiców. Czapka została przekazana chłopcu, a przeprosiny rodzinie. Mam nadzieję, że chociaż częściowo naprawiłem wyrządzoną krzywdę. Chcę też jasno podkreślić: ani ja, ani moja żona, ani moi synowie nie komentowaliśmy tej sytuacji w mediach społecznościowych, a także na żadnym portalu. Nie korzystaliśmy z usług żadnej kancelarii prawnej w tym zakresie. Wszystkie rzekome oświadczenia pojawiające się w sieci nie są naszego autorstwa" – oznajmił łódzki przedsiębiorca.

Odnalezienie Piotra Szczerka, który nie jest postacią anonimową, zajęło internautom mniej niż godzinę. W przypadku „zwykłego Kowalskiego" mogłoby to zająć nieco dłużej, ale właściwie więcej niż pewne, że i tak okazałoby się efektywne.

W lipcu globalny rozgłos zyskała sprawa „pary z koncertu Coldplay". Koncertowy kamerzysta skierował obiektyw, z którego obraz wyświetlany był na wielkim telebimie na stadionie w amerykańskim Foxborough, na pewną parę, która obejmowała się w wyraźnie romantycznym geście. Gdy zakochani zorientowali się, że patrzą na nich tysiące (i nagrywają, co okazało się kluczowe), odskoczyli od siebie jak poparzeni. „Och, spójrz na tych dwoje. Albo mają romans, albo są po prostu bardzo nieśmiali" – skomentował frontman zespołu, Chris Martin. Bardzo szybko nagranie rozeszło się po sieci, a speszonych kochanków zidentyfikowano jako Andy'ego Byrona i Kristin Cabot. Byron był wtedy dyrektorem generalnym technologicznej firmy Astronomer z Nowego Jorku, a Cabot – szefową działu kadr. Problem w tym, że oboje pozostawali w związkach małżeńskich. Lawina ruszyła. Żona Byrona usunęła ze swoich mediów społecznościowych drugi człon nazwiska, odnoszący się do męża, a przyłapani na romansie stracili pracę. Niemal natychmiast stali się internetowym memem. Do dziś widzowie meczów czy koncertów, podczas których obecna jest tzw. kiss cam (kamera wyłapuje spośród publiczności pary i pokazuje je na wielkim ekranie, a reszta domaga się publicznego pocałunku), odgrywają scenkę z koncertu Coldplay. Motyw przyłapanych kochanków wykorzystywany jest w reklamach. „Chociaż sytuacja była kryzysowa, firma Astronomer – działająca w branży danych i analityki – zyskała nieoczekiwany rozgłos. Nowy CEO przyznał, że marka stała się rozpoznawalna na całym świecie, co może przełożyć się na nowe możliwości biznesowe" – zauważa portal CMG. O ile start-up zyskał rozpoznawalność, o tyle główni bohaterowie skandalu, przynajmniej na razie, unikają jakiegokolwiek rozgłosu.

O tym, że internautów trudno oszukać, nieraz przekonali się już także politycy, w tym Andrzej Duda i Rafał Trzaskowski

GRA W KOTKA I MYSZKĘ

Jednym z najbardziej spektakularnych śledztw internetowych, które rozpoczęły się po publikacji w sieci krótkiego nagrania, było to przedstawione w serialu dokumentalnym z 2019 r. „Odwal się od kotów: Polowanie na internetowego mordercę". Wszystko zaczęło się, gdy do sieci trafiło nagranie, na którym postać w bluzie z kapturem zabijała bezlitośnie dwa koty. Krótkie nagranie, na pierwszy rzut oka niedające żadnych wskazówek na temat autora, było początkiem akcji na ogromną skalę. „Grupa internetowych detektywów amatorów łączy siły, aby wytropić sprawcę. Rozpoczyna się niebezpieczna gra w kotka i myszkę, a każde kliknięcie zachęca niezrównoważonego prześladowcę do przesyłania jeszcze straszliwszych nagrań, aż w końcu udostępniony zostaje ostatni film. Tym razem ofiarą jest człowiek" – czytamy w opisie produkcji Netflixa. Dzięki zaangażowaniu grupki „detektywów" z Facebooka policji udało się ostatecznie pojmać sprawcę, którym okazał się Kanadyjczyk Luka Magnotta – człowiek o niezwykle mrocznej i skomplikowanej przeszłości.

O tym, że internautów trudno oszukać, nieraz przekonali się już także politycy. Podczas debaty przed wyborami prezydenckimi w roku 2020 w Końskich walczący o reelekcję Andrzej Duda odpowiadał na pytania od mieszkańców. Jedna z osób zadających pytania przedstawiła się jako mieszkanka gminy Końskie. Bardzo szybko internauci ustalili, że to kandydatka do rady powiatu z listy komitetu wspieranego przez Prawo i Sprawiedliwość. Bez wpadek nie obyło się u ówczesnego rywala Dudy, Rafała Trzaskowskiego. Kandydat KO i zarazem prezydent Warszawy spotkał się równolegle w Lesznie z dziennikarzami z 19 redakcji. Wśród nich był pracownik Biura Administracji i Spraw Obywatelskich warszawskiego ratusza. Niemałą konsternację wywołał też spot prezydenta stolicy wypuszczony na Wielkanoc w 2024 r. „Drodzy państwo, chciałem państwu złożyć najserdeczniejsze życzenia na Święta Wielkiej Nocy. Przede wszystkim dużo zdrowia, bo to jest najważniejsze" – mówił Rafał Trzaskowski, a obok, w kuchni, kręciła się jego żona. Internauci szybko ocenili, że rzekomo domowe nagranie musi być ustawką, ponieważ pomieszczenie wyglądało jak studio – świadczyć miał o tym m.in. brak pokręteł przy kuchence gazowej.

Teraz o dociekliwości (a w tym wypadku raczej nadgorliwości) detektywów amatorów z sieci przekonuje się też prezydent USA. Po tym, jak dostrzeżono na jego dłoni plamę z fluidu, będącą próbą zamaskowania czegoś, ruszyła fala spekulacji na temat stanu zdrowia Donalda Trumpa. Internauci nie zawsze jednak mają rację, ponieważ byli i tacy, którzy na tej podstawie i w kontekście kilkudniowej nieobecności polityka w mediach ogłosili jego… śmierć. Prezydent USA pojawił się jednak później publicznie, nie zdradzając żadnych oznak gorszej kondycji. Rzecznik Białego Domu Karoline Leavitt wyjaśniła, że siniak to efekt licznych uścisków dłoni, które Trump rozdaje jako „człowiek z ludu".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9920e5187b



Figura krasnala na tle archikatedry wrocławskiej FOT. ADOBE STOCK

Krasnaloza w natarciu



Monika Małkowska

Uliczne gadżety z brązu wyłaniają się z poziomu trotuaru. Ze swej natury są wesołkowate i kokietliwe, pozbawione intelektualnych ambicji. Zdaniem niektórych – sympatyczne. Wielu jednak uważa, że to lansowanie szmiry za publiczną mamonę. Hajs płynie do bardziej lub mniej znanych artystów, odlewników i montażystów

Polskę zainfekowała moda na turystyczne szlaki, po których prowadzą… nie, nie znaki, lecz antropomorfizowane zwierzątkostworki. Takie malutkie „coś", spowinowacone z postaciami z bajek, z urody podobne do chińskich pamiątkarskich ohydek. Rozlazły się po kraju, bo jak en vogue, to must have. To plaga podstępna, bo kurduple niby niewielkie, a mają moc. Są z brązu, korzeniami wrośnięte w podglebie. Bez koparki nie wyrwiesz. A i tak odrośnie. Bo jak wyeliminować kicz z kraju, gdzie nie obowiązują żadne estetyczne normy, a o wydatkach na artystyczno-promocyjne cele decydują dyletanci?

BEZPIECZNA FUCHA

Pieniądze najczęściej pochodzą z budżetu obywatelskiego. Wystarczy, żeby iluś tam radnych pomysł przegłosowało – i do dzieła! I oto mamy rozległą rodzinę paskud, które służą „uatrakcyjnianiu" najbardziej uczęszczanych traktów miast, miasteczek, kurortów. Ich drzewo genealogiczne nie jest jeszcze dokładnie rozpracowane, jednak z pewnością najgrubszy konar obsiadły wrocławskie krasnale. Stąd zjawisko zyskało miano krasnalozy. Uliczne gadżety z brązu wyłaniają się z poziomu trotuaru. Nie mają pomnikowego zadęcia, na ogół mierzą około pół metra lub mniej. Ze swej natury są wesołkowate i kokietliwe, pozbawione intelektualnych ambicji. Zdaniem niektórych – sympatyczne. Wielu jednak uważa, że to lansowanie szmiry za publiczną mamonę. Hajs płynie do bardziej lub mniej znanych artystów, odlewników i montażystów. To fucha rozwojowa, bo pomiędzy miastami zaczęła się rywalizacja: które wystawi więcej poczwarek i jakie wymyśli powody dla ich zaistnienia. Wzmożenie krasnalowej tendencji obserwujemy – cóż za zbieg okoliczności! – w ostatnich dwóch, trzech latach. Jednak trzeba być sprawiedliwym: kariera wizualnej szmiry w przestrzeni miejskiej zaczęła się zaraz po naszym wejściu do UE.

ZACZĘŁO SIĘ OD KRÓW

Na początek kupiliśmy ideę Parady Krów. W czerwcu 2005 r. w Warszawie pojawiła się pstrokata rogacizna, na wzór berlińskich United Buddy Bears. Miśki miały propagować stolicę Niemiec (niedźwiedź jest w herbie miasta), a zarazem promować ideę pokoju i tolerancji. Karkołomne połączenie, ale „The Art of Tolerance" okazał się wielkim sukcesem komercyjno-charytatywnym (też mistrzowski fikołek). W akcji wzięła udział międzynarodowa gromada artystów z ponad 145 krajów. Upiększone malarsko niedźwiedzie z pokojowo wzniesionymi przednimi łapami ruszyły w podróż dookoła świata w roku 2001 i jeszcze w 2024 r. kontynuowały jazdę po czterech kontynentach.

Wracając do naszych nie tyle baranów, ile krów – przez 90 dni blisko setka krasul pasła się na rogach stołecznych ulic, placach i przystankach. Projekt mocno trącił infantylizmem, ale nie bolał za bardzo, jako że był efemerydą. Niektóre krowie okazy były pomysłowo ozdobione i zmodyfikowane przez wziętych artystów (m.in. Edwarda Dwurnika, Andrzeja Dudzińskiego, Stasysa Eidrigeviciusa). Na zakończenie wypasu odbyła się aukcja, z której dochód trafił na cele dobroczynne. Co do krowiej proweniencji: pierwsza CowParade odbyła się w Zurychu w roku 1998 i zanim trafiła do Warszawy, przyjęła się w 20 miastach całego świata. Model zwierzęcia naturalnych rozmiarów stworzył Szwajcar Pascal Knapp; każda sztuka ważyła 60 kg, dla równowagi montowano ją na platformie o wadze 300 kg. I cieka-

eprasa.pl 9920e5187b

wostka: za wszystkie odlewy odpowiedzialny był polski producent ogrodowych krasnali, niejaki pan Henryk z Nowej Soli. Musiał słono zarobić.

KRASNOLUDKI ABSURDU

W stolicy Dolnego Śląska królują skrzaty podobne do tych ogrodowych, lecz odlane z brązu, uszlachetnione. Skąd się tam wzięły? Z… kontestacji politycznej lat 80. Były znakiem rozpoznawczym Pomarańczowej Alternatywy, wrocławskiego opozycyjnego ruchu, zaistniałego z inicjatywy Waldemara Fydrycha, który nadał sobie tytuł Majora. Dystans do dystynkcji podkreślał, zakładając komiczną krasnoludkową „szlafmycę". Pomarańczowa Alternatywa manifestowała sprzeciw wobec czerwonej władzy w groteskowo-ludycznej formie. Dzięki surrealistycznym happeningom (zawsze ze scenariuszem Majora) przedsiębranym od roku 1985 w najbardziej uczęszczanych punktach Wrocławia, potem także Warszawy, Łodzi i Lublina, pomarańczowa drużyna zyskała ogromną popularność. Jej malarskim znakiem rozpoznawczym stały się celowo nieudolne graffiti, przedstawiające krasnoludka. Major próbował zdyskontować krasnoludkowy rozgłos i wystartował w wyborach 4 czerwca 1989 r. do Senatu – co zakończyło się fiaskiem, podobnie jak kolejne jego próby wejścia do poważnej polityki.

Jednak zasługi pomarańczowego ruchu upamiętniono w roku 2001 pomnikiem z brązu, odsłoniętym, rzecz jasna, we Wrocławiu, w punkcie strategicznym dla dawnych zadym PA. Papa Krasnal autorstwa Olafa Brzeskiego to jedyna skrzatorzeźba o artystycznych walorach. Kilka lat potem gnomy jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać w mieście nad Odrą. Już w zupełnie innej plastycznej konwencji.

BUNT ZMONETYZOWANY

Wysyp zaczął się w roku 2005. Z pomysłem wystartował Tomasz Moczek, posiłkując się poetyką rodem z Disneyowskiej „Królewny Śnieżki i siedmiu krasnoludków". Baśniowe stworki spodobały się nie tylko dzieciarni, lecz także ich rodzicom. I oto dwie dekady temu dyrektor kreatywny agencji Wanilia dostrzegł potencjał komercyjny hobbitów. I poszło! W zależności od lokalizacji i indywidualnych skojarzeń krasnoludkom przypisano najrozmaitsze zadania, nadawano imiona jak z bajki. Mamy więc Wygodka na zakupach w Auchan, Wytrwałka przy szkole, Ślepaka i Głuchaka, przedstawicieli niepełnosprawnych krasnali, Wypłatnika przy banku BZ WBK. I tak dalej, pomysłowość ludzka napędzana chęcią zysku nie zna granic. Skrzaty mają wielu opiekunów – instytucje miejskie, partie polityczne, firmy o różnym profilu, lokale gastronomiczne, osoby prywatne – jako że okazały się znakomitym narzędziem marketingu. Organizacje miejskie są zasypywane pytaniami o autorów krasnali i koszty zamówienia kolejnych. Zainteresowani mogą znaleźć na stronach krasnalowych wytwórców konkrety. Na przykład pracownia Biały Kot tak się ogłasza: „Temat krasnali jest nam bliski od lat. Wykonujemy nie tylko projekty krasnali czy prototypy – ale nade wszystko hiperrealistyczne krasnale z gumy, ze sztucznego kamienia bądź brązu". W tym roku lilipucie plemię przekroczyło sztuk tysiąc – co jest rekordem w skali krajowej, może nawet światowej. Co znamienne: coraz bardziej rozbudowany Szlak Krasnali stał się większą turystyczną atrakcją niż zabytki Wrocławia.

WYŚCIG DURNOSTOJEK

Sukces malców znad Odry zainspirował inne miasta. Kraków wystartował ze smoczkami, znaczy ze zminiaturyzowanymi gadzinami, potomstwem tego, co zionie ogniem pod Wawelem. Tę rzeźbę Bronisława Chromego odsłonięto w roku 1972. Po półwieczu zwrócono się do Andrzeja Mleczki i Edwarda Lutczyna, znanych autorów satyrycznych rysunków o projekty smoczej progenitury. W ciągu ostatnich trzech lat wykluło się ponad 20 uczłowieczonych paskud. Noszą rozmaite stroje i trzymają w łapach różne narzędzia. Koncepcja rozlokowania stworów jest analogiczna do wrocławskiej: w pobliżu szpitala – Smok Lekarz; przy skwerze Olgi Jackowskiej – Smok Śpiewak; na placu Axentowicza – Smok Malarz; przy placu targowym – Smoczyca Przekupka; koło Muzeum Fotografii – Smok Fotograf. I tak dalej, niepotrzebnie wyliczać.

Z kolei w Lublinie za motyw przewodni lokalnego szlaku posłużył koziołek z herbu miasta. Ta sama zasada: solidny brąz do „lekkiej" formy, niewielkie rozmiary, karykaturalna forma. Onufry hejnalista dzierży trąbkę, Kazik inżynier podpiera się poziomicą, Staś lekarz ma stetoskop i nosi fartuch, Vetek lekarz weterynarii trzyma logotyp służb tej specjalności. Jedziemy dalej. W Elblągu pojawiły się miniaturowe Piekarczyki (m.in. Archeolog przy Muzeum Archeologiczno-Historycznym, Kleryk przy Ścieżce Kościelnej, Listonosz przy Poczcie Polskiej).

A co nad morzem? Krynicę Morską opanowały dziki. Jest Dzik Ratownik, Dzik Policjant i… Loszka Plażowiczka. Ta ostatnia wzbudziła kontrowersje: figurka kobiety w kostiumie kąpielowym i kapeluszu, spod którego wystaje charakterystyczny ryj. No troszkę nieelegancko…

Kołobrzeg szczyci się Marianami. To spersonifikowane mewy w rozmaitych ludzkich rolach. Jest Marian pływak, pirat, kapitan, koszykarz, a nawet wolontariusz WOŚP. Międzyzdroje użyły tego samego ptaka, lecz płci żeńskiej. Przewodniczką po turystycznym szlaku jest Mewcia Ewcia, raz jako piosenkarka, gdzie indziej jako reżyserka, to znów jako pianistka. I tak przemierzamy Polskę szlakiem kiczu.

ANTYBOHEMA

Na koniec – z innej mańki. Wśród wrocławskich krasnali jest Vincent, gnom przy sztalugach, z pędzlem w ręku, o fizjonomii zbliżonej do tej van Gogha. Szczególna ironia – słynny Holender ryzykował wszystko, żeby tylko realizować swoje malarskie wizje bez umizgów do establishmentu. Nie on jeden, większość paryskiej (i nie tylko paryskiej) bohemy dla twórczej niezależności gotowa była na wiele poświęceń. Niektórym z nich udawało się dożyć artystycznego i finansowego sukcesu; większość schodziła z tego świata w zapomnieniu i niedostatku. Pośmiertnie „odkrywano" ich dorobek, cmokano nad ich geniuszem, a życiorysy przerabiano na filmowe czy literackie fabuły.

Tymczasem autorzy szmirowatych figurek uprawiają po prostu intratny biznes, niemający nic wspólnego ze sztuką. Polska tonie pod tonami kiczu. Czy jest szansa dla prawdziwych twórców? Dysponenci budżetem obywatelskim ani prywatni sponsorzy na pewno ich nie wesprą. Wolą wydać kasę na smoki, krasnale, mewki, loszki i inne badziewie. Za aprobatą możnych, ku uciesze gawiedzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9920e5187b

Geniusz i biedak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Piotr Gociek

Istnieje w świecie piękno, istnieje coś większego od nas – zazdrosnych, ułomnych, grzesznych. Przypomina o tym najlepszy film Miloša Formana „Amadeusz" – znów na ekranach kin

Teoretycznie wystarczyłoby reklamować kinową repremierę „Amadeusza" (1984) hasłem „zdobywca ośmiu Oscarów", ale bądźmy szczerzy – „Slumdog. Milioner z ulicy" (2008) też tyle dostał, a jakoś nikt za nim nie tęskni. To nie warzywniak, nie da się porównywać sztuki na kilogramy, nawet jeśli są to kilogramy statuetek. Powiedzmy więc wprost: na ekrany kin powraca najlepszy film Miloša Formana, mistrza kina czeskiego i światowego.

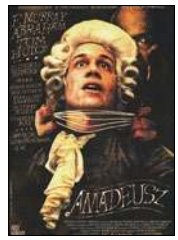
Zanim brutalne stłumienie Praskiej Wiosny uniemożliwiło mu powrót do kraju, zdążył nakręcić takie filmy jak „Czarny Piotruś" (1953), „Miłość blondynki" (1965) i „Pali się, moja panno" (1967). Gdy wraca się po latach do pierwszych osiągnięć twórców, których wyniósł środkowoeuropejski ferment lat 60., wyraźnie widać, że dwóch spośród nich było najbardziej utalentowanych: Miloš Forman i Jerzy Skolimowski.

Był też Forman jednym z nielicznych, którzy na emigracji zrobili prawdziwą karierę. „Odlot" (1971), „Lot nad kukułczym gniazdem" (1975) i „Hair" (1979) stały się integralną częścią historii amerykańskiego kina, od samego początku budowanego przecież przez imigrantów i wygnańców. W latach 90. było o nim głośno za sprawą filmów „Skandalista Larry Flynt" (1996) i „Człowiek z księżyca" (1999). Ale to „Amadeusz" jest moim zdaniem dokonaniem najwybitniejszym. Wszystko w tym przedsięwzięciu zagrało i sprawiło, że finalny efekt to coś dużo większego niż zwykła suma poszczególnych części.

Mówiąc lekko złośliwie, wielki sukces filmu nie powinien dziwić, bo świat pełen jest Salierich, a Mozartów w nim bardzo niewielu. Zatem postawienie w centrum opowieści osobnika tyleż zazdrosnego, co mało utalentowanego, za to przekonanego o swej wyjątkowości, dało wszystkim okazję do identyfikowania się z bohaterem na swoją miarę. Ale to tylko złośliwość; tak naprawdę, gdy wyjdziemy poza biografię Mozarta, poza zawiść Salieriego, poza fochy współczesnych im dyletantów, dostajemy coś unikatowego we współczesnym kinie: opowieść o tym, że istnieje w świecie niezaprzeczalne piękno, coś o wiele cudowniejszego niż my, maluczcy. Że nawet jeśli nasze życie było pełne uczynków lekkomyślnych (filmowy Mozart) czy zwyczajnie złych (filmowy Salieri), to pozostają ponad tym wszystkim niezwykłe, wszechogarniające dobro, cudowność, szczęście, które daje nam muzyka geniusza.

Mozart u Formana jest punkrockowcem swoich czasów, są zresztą nawet takie pojedyncze ujęcia, w których przechadza się po Wiedniu i obrzuca ulicę łobuzerskim wzrokiem niby jakiś Johnny Rotten z Sex Pistols. Tu okazuje się, że „Odlot" i „Hair" były doskonałym

eprasa.pl 9920e5187b



REŻ. MILOŠ FORMAN
„AMADEUSZ”
USA

przygotowaniem do historycznej opowieści przedstawiającej dzieje Mozarta jako coś w rodzaju kontrkulturowego buntu przeciw konwenansom epoki, przeciw szeregom bufonów w pudrowanych perukach. Tak, to mrugnięcie okiem na pewno wprowadziło widownię „Amadeusza” w dobry nastrój – wiem, co mówię, bo sam zdążyłem ten film obejrzeć, gdy po raz pierwszy gościł w kinach PRL w roku 1986 i w postaci Mozarta widziałem buntownika bez powodu, jakże bliskiego memu ówczesnemu stanowi ducha. Dziś zbuntowanym nastolatkiem już nie jestem i myślę: dałby dobry Bóg każdemu taki bunt jak kompozytorski talent Mozartowi. Pamiętam też zresztą, jak część krytyków wydziwiała w recenzjach, że Tom Hulce jako Mozart jest zbyt grubiański, zbyt amerykański, zbyt współczesny. Z kolei zachwyt nad F. Murrayem Abrahamem jako Salierim był powszechny.

MIAŻDŻĄCA PUENTA

Z obsadzeniem tego ostatniego wiąże się pyszna anegdota, którą opowiedział Forman w filmie dokumentalnym o kulisach powstania „Amadeusza” (dokument ten dostępny jest na osobnej płycie dwupłytowego, dostępnego w Polsce wydania DVD). Otóż przesłuchania aktorów do niemal wszystkich ról przeciągały się w nieskończoność, producent filmu Saul Zaentz wspominał o tysiącach kandydatów. Forman bardzo długo nie był zdecydowany, krążył wokół wybranych nazwisk, wahał się, znów wracał. Wreszcie zawęził grono potencjalnych kandydatów. I po którejś próbie rzekł Abrahamowi, że dobrze wypadł. Tamten zaś, czekając na prosty komunikat „dostałeś rolę”, zirytował się pespektywą dalszego oczekiwania i wziął robotę w innym filmie, a o swej irytacji i decyzji powiadomił reżysera. Forman powiedział wtedy producentowi: „Znaleźliśmy idealnego Salieriego. Ten facet jest przekonany, że jest wielkim aktorem i że zasługuje na więcej”.

Puenta dopisana po latach do tej historii jest dla F. Murraya Abrahama miażdżąca: jego filmografia liczy bardzo wiele tytułów, ale w żadnym innym filmie nawet nie zbliżył do intensywności i poziomu aktorskiej gry, które pokazał jako Salieri. Mógłby zatem zawołać: „Dałeś mi, Panie, talent. Ale dlaczego taki mały?”. Co oczywiście jest najbardziej salierowatą odzywką w dziejach, która nigdy nie trafiła do filmu i do sztuki Petera Schaffera, z której film Formana był wysnuty. Wysnuty i napisany na nowo, bo przez cztery miesiące Forman i Schaffer słuchali muzyki Mozarta i pisali od nowa scenariusz, zachowując tylko fragmenty oryginalnej sztuki, rozbudowując wątki, dopisując nowych bohaterów.

Mamy zatem osiągnięcie wspólne wybitnego reżysera, wybitnego dramatopisarza oraz – przede wszystkim – genialną muzykę Wolfganga Amadeusza Mozarta. Warto też zauważyć, że jest film „Amadeusz” wspólnym osiągnięciem kapitalistycznego Zachodu i socjalistycznego Wschodu, ale Wschód nie ma się z czego cieszyć. Podczas gdy Zachód dostarczył pieniądze, aktorów, ekipę i reżysera, Wschód zaoferował tanią siłę roboczą i nietknięte przez nowoczesność miejskie plenery. Bowiem fakt, że można było w wielu miejscach Pragi ustawić kamerę, sypnąć ziemię na ulicę i udawać, że to XVIII-wieczny Wiedeń, nie wypływał z nadzwyczajnej dbałości komunistów o przeszłość, tylko z nieudolności i niedoboru; z niedorozwoju charakteryzującego kraje tzw. demokracji ludowej. Tania siła robocza przydaje się natomiast bardzo, nie tylko w kinie – nie sądzę, by gdzieś na Zachodzie pozwolono, aby na jedno skinięcie reżysera z muzeum militariów wynoszono dziesiątki wielotonowych armat, żeby wnętrze przerobić na filmowy szpital dla obłąkanych. Polscy filmowcy z czasów PRL też dobrze wiedzą, że takiej masy tanich statystów jak w „Faraonie” nigdy nie dostaną w czasach gospodarki rynkowej.

Zwracam uwagę na tę kwestię nie po to, by skręcać w kierunku analizy porównawczej konkurujących ze sobą ustrojów, ale aby wskazać, że „Amadeusz” wydarzył się w takich, a nie innych, szczególnych okolicznościach, co sprawiło, że także od strony czysto realizacyjnej jest dokonaniem wyjątkowym. Do genialnej muzyki, świetnej obsady i wybitnego scenariusza dochodzą bowiem wykreowany na ulicach Pragi świat i wrażenie niezwykłego zanurzenia w historię – żadne efekty CGI i obrazki od sztucznej inteligencji dać tego nie mogą. Prawdziwe kino potrzebuje bowiem prawdziwego świata.

OPOWIEŚĆ O NAWRÓCENIU

Do wszystkich tych zalet dodałbym jeszcze jeden element niewymierny, wyjątkowy, unikatowy – to charakterystyczne dla Miloša Formana połączenie komizmu i tragizmu, które towarzyszy jego twórczości filmowej od samego początku. Długimi partiami zdawać się nawet może, że „Amadeusz” to komedia, jest w tej austriackiej opowieści brytyjskiego pisarza i czeskiego reżysera rodzaj specyficznie czeskiego humoru, wyrozumiałości dla ludzkich słabostek idącej w parze z bezlitosnym spojrzeniem na nas samych. W efekcie patrząc na bohaterów filmu – czy to Mozarta, czy Salieriego, czy Konstancję, żonę Mozarta (cudowna rola Elizabeth Berridge), albo cesarza Józefa II (Jeffrey Jones) – widzimy nie ludzi tej czy innej epoki, ale ludzi po prostu, jakbyśmy oglądali sztukę Szekspira, Moliera czy Fredry. Mógłbym więc mnożyć powody, dla których trzeba w kinach, na dużym ekranie, „Amadeusza” obejrzeć, za to nie znajduję ani jednego za tym, by tego nie robić.

Ważna uwaga – wersja, która wraca do kin, jest wersją odnowioną, cyfrowo odrestaurowaną (uroczysta repremiera miała miejsce w Hollywood w maju 2024 r.), ale odmienną od tej, którą być może posiadacie w domach na płytach DVD. Edycja home video zawierała bowiem wersję reżyserską, dłuższą o ok. 20 minut, przygotowaną w roku 2002. Uwielbiam wersje reżyserskie, ale tym razem podpowiem, że niczego specjalnego do doświadczeń widza nie wniosła. Na dużym ekranie obejrzymy za to ponownie wersję oryginalną, kinową; tę, która zachwyciła widzów i krytyków 40 lat temu. W pewnym sensie jest to także opowieść o nawróceniu: Salieri niczego nie kochał tak bardzo jak siebie i nikogo nie nienawidził tak bardzo jak Mozarta. Ale muzykę kochał jeszcze bardziej i przed mocą boskiego geniuszu się ostatecznie ukorzył. Dlatego jest jednym z tych antybohaterów, którym współczuć najłatwiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9920e5187b

Fantasy po polsku



Krzysztof Masłoń

Wszystko przez Piłsudskiego. Zaczytywał się w Słowackim, sprowadził prochy wierszoklety z Paryża do Krakowa i pochował na Wawelu, bo, jakoby, królom był równy. Jego niewydarzone sztuczydła – na czele z „Balladyną" – doprowadzają do rozpaczy kolejne roczniki naszej dziatwy, której każe się je czytać.

A przecież, jakże słusznie, obśmiał całą tę słowaczczyznę najmądrzejszy z mądrych, Witold Gombrowicz, pytając w „Ferdydurke": „Dlaczego w poezjach wielkiego poety, Juliusza Słowackiego, mieszka nieśmiertelne piękno, które zachwyt wzbudza?". Oczywiście żadnego zachwytu nie budzi, bo i nie może, a jeśli ktoś ma wątpliwości, to niech sięgnie po dwutomowe dzieło biografistki Gombrowicza – Klementyny Suchanow, dzielnego aktywiszcza politycznego, ozdoby Ogólnopolskiego Strajku Kobiet, literaturoznawczyni wsławionej choćby zniszczeniem drzwi do Trybunału Konstytucyjnego i miotaniem jaj w limuzyny kancelistów byłego prezydenta Dudy.

Dudę przywołuję w tym miejscu nie bez powodu. Otóż jedna z postaci „Balladyny", niejaki Grabiec, zamieniony w pewnym momencie w wierzbę i, niestety, odczarowany, tak o sobie mówi:

W naszym kościółku stały ogromne organy,
Mój tata grał na dudach; pięknie grywał pjany
Ale kiedy na trzeźwo, okropnie rzępolił;
Do tego był balwierzem i wieś całą golił,
Golił i grał na dudach, bo golił w sobotę,
Na dudach grał w niedzielę; a miał taką cnotę,
Że nie pił, kiedy golił, a pił, kiedy grywał.
I wszystko szło jak z płatka.
Wtem kogut zaśpiewał
I mój ojciec małżeństwem z żoną los zespolił.
Panna młoda wąs miała, ojciec wąs ogolił
I wszystko szło jak z płatka.
Lecz tu nowe cuda!
Żona grała na dudach, a tatuś był duda.

Duda był i Grabiec, „ojca wizerunek czysty", kochający „stary miodek" i „gorzonnę". Menel i tyle, jakich w historii kraju położonego nad Wisłą nigdy nie brakowało.

Brednia zatytułowana „Balladyna" miała być – jak pisał jej autor do Zygmunta Krasińskiego, innego, pożal się Boże, wieszcza – „tylko epizodem wielkiego poematu w rodzaju Ariosta, który ma się uwiązać z sześciu tragedii, czyli kronik dramatycznych". Na szczęście popełnić zdążył jeszcze tylko „Lillę Wenedę" i na tym swoją, jak ją nazywał, „fantastyczną legendę" o pradziejach Polski, rozgrywającą się „za czasów bajecznych", zakończył. Nawiasem mówiąc, w emigracyjnym Paryżu „Balladyna" doczekała się jednej, jedynej recenzji. Opublikował ją na łamach „Młodej Polski" Stanisław Ropelewski, a była ona – cytuję za „Słowackim. Encyklopedią" Jarosława Marka Rymkiewicza – „rodzajem złośliwego streszczenia – wynikało z niego w sposób oczywisty, że autor tragedii jest idiotą i grafomanem, który powinien zaprzestać działalności pisarskiej". Ale i Seweryn Goszczyński przyznawał, że „Balladyna", tak jak „Mazepa", jest – „kompletnie bez sensu", co znów podaję za Rymkiewiczem, skądinąd celnie nazwanym przez panią Nowacką, „ministrę" w rządzie Donalda I, „poetą smoleńskim".

Sensu w „Balladynie" nie znajdują ani uczniowie, ani ich światli nauczyciele, rzecz sprowadzając do tego, o czym śpiewa Skierka, sługa niejakiej Goplany kochającej się w pijaku Grabcu, który zostanie królem i zginie od noża masowej morderczyni, tytułowej bohaterki dramatu: „Matko, w lesie są maliny, / Niechaj idą w las dziewczyny. / Która więcej malin zbierze, / Tę za żonę pan wybierze". No i po co to całe zamieszanie? W Kauflandzie dwustugramowe opakowanie tych owoców, po 33-procentowej promocyjnej obniżce, kupić można za jedne 7,99 zł.

W udającym pra-Polskę kiepskim uniwersum Słowackiego trup ściele się gęsto: Balladyna zabija siostrę Alinę, Grabca i swego niemieckiego kochanka Kostryna, któremu wcześniej każe powiesić Pustelnika i z pomocą wojska uśmiercić swego męża Kirkora. Nie zapominamy także o mamusi zbrodniarki, którą wyrodna córka skazuje na tortury, zakończone śmiercią nieszczęsnej wdowy. Chcąc jakoś sfinalizować tę makabryczną historię, autor ekspediuje Goplanę w dalekie strony, dokąd ta odlatuje



Ilustracja do „Balladyny" – praca autorstwa Adama Setkowicza

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

z kluczem żurawi, a Balladynę uśmierca za pomocą pioruna. Na pioruny był Słowacki szczególnie uwrażliwiony. W końcu gromem (piorunem kulistym?) rażony został również jego ojczym, doktor Becu, paskudnie przedstawiony potem przez Mickiewicza w III części „Dziadów".

Zanim Kirkor wyzionie ducha, będzie roztaczał jakże ponure wizje polskiej rzeczywistości:

Sąsiad ziemię kata
Na pośmiewisko zwie Rusią Czerwoną.
Dotąd żyjącym pod Lecha koroną
Bóg dawał żniwo szczęścia niezasiane,
Lud żył szczęśliwy; dzisiaj niesłychane
Pomory, głody sypie Boża ręka.

I po co ten defetyzm? Mamy ciepłą wodę w kranie, paszport w szufladzie, flagę Unii Europejskiej w telewizorze, a niebawem już za oknem stać będzie wiatrak. Dajmy sobie spokój ze Słowackim, na wszelki wypadek pamiętając jedynie wniosek, jaki z „Balladyny" wysnuł Wojciech Młynarski:

Panna zła już ze dwora
Uciekła hen, gdzie Rzym, gdzie Krym,
W borze zaś szumi morał,
Że kto człekiem złym, człekiem złym.
Nóż mu jeden wystarczy, a
Uczciwemu potrzebne dwa,
Potrzebne dwa... ©℗

eprasa.pl 9920e5187b

REPUBLIKA

Trzy pierwsze poranne debaty polityczne w Telewizji Republika.
Istotne dla Polski tematy. Najważniejsi politycy i eksperci.
Na żywo w rozmowie z **Adrianem Klarenbachem**.



www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 9920e5187b



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

prime video

Towarzysze broni



★★★★★★

SEZON 2
„LISTA ŚMIERCI: MROCZNY WILK” („THE TERMINAL LIST: DARK WOLF”)
USA 2025

wyst. Chris Pratt, Taylor Kitsch,

O pierwszym sezonie serialu „Lista śmierci” pisałem w „Do Rzeczy” latem 2022 r. – że to oldskulowy thriller spiskowy w duchu powieści Roberta Ludluma. Sezon drugi jest oldskulowy jeszcze bardziej, co zawdzięczamy, jak sądzę, dostrzeżeniu, że publika w USA skręca w prawo. I w ten sposób prequel (bo akcja rozgrywa się w roku 2015) nie tylko ocieka testosteronem, lecz także sporo miejsca poświęca rozprawianiu się z wrogami Ameryki przez uzbrojonych po zęby wojaków.

Nie wszystkim się ten zwrot podoba, ale kiedy tylko przeczytałem w „Variety”, że serial jest imperialistyczny, maczystowski i usprawiedliwia amerykańską agresję, od razu wiedziałem, że będzie co oglądać. W końcu tymi samymi słowami w PRL próbowano nam obrzydzać rozrywkę zza Atlantyku. Cofamy się do roku 2015 i misji w Iraku; bohaterowie, których dalsze losy znamy z sezonu pierwszego, dzielą czas na niebezpieczne misje i szkolenie miejscowych żołnierzy, którym także nie w smak ekscesy islamistów. Tym razem na pierwszym planie mamy dzieje twardziela granego przez Taylora Kitscha, bo Chris Pratt pozostaje nieco w cieniu.

Po emocjonującym (a także krwawym i tragicznym) wstępie w Iraku dostajemy międzynarodowe łowy na terrorystów, którzy zamierzają wzbogacić uran na tyle, by można było wyprodukować bombę. Akcja skacze po miastach świata niczym w filmach o Bondzie, od Zurychu do Teheranu, od Tel Awiwu do Monachium. Tym, co spaja wszystkie wątki, jest głębokie przekonanie, że poza wszelkimi lojalnościami wobec kraju, demokracji i Zachodu w ogóle najważniejsza jest więź podstawowa: między towarzyszami broni. Męska lojalność, przyjaźń, wierność ponad wszystko – taką opowieść mógłby nakręcić Pasikowski, gdyby wierzył w dobro i zło, a nie w panświnizm i nihilizm.

Nie wszyscy dotrzymają słowa, niektórzy zejdą na manowce i bardziej zmartwi to widza niż fakt, że ścigani bandyci coraz zręczniej się wymykają pościgowi. Walczący obok żołnierz to brat najbliższy, cwaniaki w Waszyngtonie nie wiedzą, jak prowadzić prawdziwą wojnę, Iranowi nie wolno ufać, bo to zbiry, które złamią każde porozumienie – oto przesłanie, które rzadko ostatnio widywaliśmy w Hollywood. Zaczyna się to zmieniać. ©℗

GRA TYGODNIA: „GEARS OF WAR RELOADED”

I co oni najlepszego narobili?! Tyle lat mogliśmy się spokojnie kisić w swoich bańkach – pecetowcy sobie, konsolowcy (a tu kolejny podział na niebieskich, zielonych i czerwonych) sobie – i kłócić jak Silni Razem z sympatykami PiS, aż tu od jakiegoś czasu ekskluzywne tytuły z PlayStation wydawane są na PC, a teraz eksy Microsoftu lądują na konsolach Sony… Żarty na bok, pady w dłoń, bo to porządnie zrobiony remaster kultowego tytułu. Dobra optymalizacja i niezła oprawa audiowizualna przy zachowaniu ducha oryginału. Angażuje jak dawniej. Do boju, żołnierzu! ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:** akcji, TPP*
- ***Platforma:** XSX, PS5, PC*
- ***Producent, dystrybutor:** Microsoft Studios*

eprasa.pl 9920e5187b

Coś bardzo złego

KINO



★★★☆☆☆

REŻ. EVA VICTOR
„SORRY, BABY"
USA 2024

wyst. Eva Victor, Naomi Ackie, Lucas Hedges

Amerykański kampus to alternatywna rzeczywistość. Nie uświadczysz tam rasizmu, „mowy nienawiści", seksizmu lub – nie daj Boże – trumpizmu. Postępowa kadra hołubi mniejszości i wrogów „systemu", neguje dorobek Martwych Białych Mężczyzn. Profesor, przyjmując studenta/studentkę w swoim gabinecie, nigdy drzwi nie zamyka. W takich oto cieplarnianych warunkach kształci się przyszła intelektualna elita kraju. Prostolinijna Lydie i neurotyczna Agnes trochę narzekają, lecz w głębi duszy wiedzą, że złapały Pana Boga za nogi. Mieszkać w małym, białym domku, karmić się nadziejami na naukową karierę i wierzyć, że książki są ważniejsze od ludzi: każdy by tak chciał. Jak łatwo się domyślić, frendziary czeka zderzenie z rzeczywistością, w przypadku Agnes bardziej bolesne. Panna wpada w depresję, z której stara się ją wydobyć całe otoczenie, ze szczególnym uwzględnieniem Lydie tudzież sympatycznego sąsiada.

Trudne to zadanie, ponieważ Agnes należy do osób, które lubią celebrować nieszczęścia. Wiem, że narażę się na zarzut gruboskórności, jednak od kobiety zbliżającej się do trzydziestki można by oczekiwać nieco więcej hartu ducha. Tymczasem mijają miesiące, potem lata, a ona wciąż cierpi. Dodajmy, że sprawa wcale nie jest jednoznaczna. Łatwo oskarżyć kogoś o gwałt i molestowanie, trudniej to udowodnić. Zwłaszcza gdy domniemany seksualny drapieżnik sprawia wrażenie roztargnionego safanduły. Przychodzi do głowy straszna myśl: A może brak roztropności i odporności to wrodzone cechy Agnes?

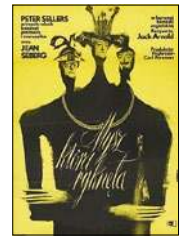
Z faktu, że Eva Victor stanęła po obu stronach kamery, nie należy wnosić, że się z tytułową bohaterką totalnie utożsamia. Poza tym „Sorry, Baby" trochę odstaje od genderowego schematu. Agnes deklaruje seksualne rozchwianie i brak instynktu macierzyńskiego, lecz widać, że towarzystwo kota jej nie wystarcza. Kobieca solidarność, zwana obecnie „siostrzeństwem", to fikcja. Na każdą damulkę, która wyżej ceni porozumienie dusz niż komunię ciał, przypada co najmniej jedna praktykująca odwieczną metodę kariery: przez łóżko.

Najzabawniejsza scena filmu rozgrywa się w sądzie. Wynika z niej, że każdy ma własną koncepcję sprawiedliwości. Co na to prawodawcy? ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

HUMOR BOMBASTYCZNY

tv

Jak wiadomo, najlepszym sposobem na wyjście z gospodarczej zapaści jest rozpętanie wojny. Najmniejsze państwo świata wysyła więc do Nowego Jorku 20-osobową armię uzbrojoną w łuki. Sukces inwazji zdumiewa rząd Jej Książęcej Mości. Stany Zjednoczone proszą o pokój. A wszystko to przez podrabiane wino. Komedia Jacka Arnolda ogrywa zimnowojenny fetysz – bombę, której wybuch może obrócić wniwecz kontynent. Co tu kryć, realizacja trąci myszką, a satyra na jankesów tudzież polityków cierpiących na kompleks Makiawela w obecnym stanie rzeczy wydaje się płaska jak Mazowsze. Obejrzałem, by uczcić 100. rocznicę urodzin Petera Sellersa. Feldmarszałek safanduła, premier intrygant i księżna (jak mniemam, wzorowana na brytyjskiej królowej Wiktorii) kradną show, zwłaszcza że gra ich jeden i ten sam aktor. Kapelusze z głów! ©℗



★★★☆☆☆

REŻ. JACK ARNOLD
„MYSZ, KTÓRA RYKNĘŁA"
WIELKA BRYTANIA
1959

wyst. Peter Sellers, Jean Seberg, William Hartnell

DO ZOBACZENIA

W ziemi Westerplatte



RADOSŁAW WOJTAS

GDZIE? ***Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku***
KIEDY? ***do 30 grudnia***

Systematyczne badania wykopaliskowe pola bitwy na Westerplatte są prowadzone dopiero od kilku lat. Kwestia wcześniejszych zaniedbań, jeśli chodzi o jedno z najważniejszych miejsc symboli, to osobny temat. Ziemia na Westerplatte wciąż kryje swoje tajemnice. W ubiegłym roku archeolodzy odkryli stanowisko armaty polowej użytej podczas obrony Wojskowej Składnicy Tranzytowej w 1939 r. W pozostałościach po dwóch jej schronach znaleziono ludzkie szkielety – szczątki jeńców cywilnych.

„O Westerplatte mówi się głównie w kontekście jego siedmiodniowej, bohaterskiej obrony. Celem nowej wystawy jest przybliżenie i utrwalenie w zbiorowej pamięci mniej znanej historii półwyspu – upamiętnienie polskich więźniów filii obozu Stutthof, którzy znajdowali się tu od września 1939 r. do czerwca 1941 r." – piszą kuratorzy wystawy „Ziemia nie gubi. Jeńcy cywilni na Westerplatte (1939–1941)".



FOT. MUZEUM II WOJNY ŚWIATOWEJ

Na ekspozycję składa się m.in. 30 oryginalnych przedmiotów osobistych pochodzących z wykopalisk. ©℗

eprasa.pl 9920e5187b



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Oczywiste oczywistości

Diabły i święci" Jeana-Baptiste'a Andrei to powieść o sieroctwie, o niezatartym wpływie, jaki wywiera na nas dzieciństwo, oczywiście o miłości, a wreszcie i o muzyce, która pomaga, ocala, a czasem staje się czystą esencją życia. Czego kwintesencją są sonaty Beethovena.



FOT. YONHAP/EPA/PAP

To muzykę Beethovena gra 69-letni bohater powieści w różnych miejscach publicznych, na lotniskach i dworcach, od pół wieku czekając na kobietę, w której zakochał się we wczesnej młodości w niezwykłych i jakże smutnych okolicznościach. Jako sierota (rodzice zginęli w katastrofie lotniczej) trafił bowiem do placówki niewiele różniącej się od rosyjskiej kolonii karnej, a kierowanej przez osobników, którzy – jak się zdaje – świetnie odnaleźliby się w rzeczywistości choćby Auschwitz. Tyle że jest to placówka kierowana przez „wielebnego" opata i jego prawą rękę, ewidentnego sadystę i dewianta. Gdzie na skargę, że jest się głodnym, usłyszeć można: „Nakarm się Słowem Bożym". A chłopca, który przebrał się za kobietę i pomalował sobie oczy węgielkiem, bo chciał wyglądać jak David Bowie, zamyka się na… 238 dni pobytu w miejscu zwanym Zapomnienie, „w ciemności rozjaśnionej tylko światłem sączącym się przez szparę pod drzwiami".

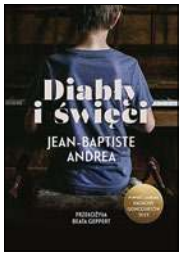
Bohaterowi przetrwać pomaga z konieczności wyimaginowana muzyka, a już później poznanie Róży uosabiającej inny świat, o którym zachował pamięć i za którym tęskni. To jej będzie wypatrywać „na wszystkich dworcach świata" – jak swego czasu pisał Leszek Aleksander Moczulski. I grać będzie muzykę stworzoną przez cierpiącego na postępującą głuchotę geniusza, który jego nauczycielowi, panu Rothenbergowi – jak powiadał – „ten wielki człowiek, Ludwig – mówił o nim po imieniu – uratował życie. Dzień po dniu Rothenberg grał jego 32 sonaty, nie używając instrumentu. Z palcami zawieszonymi w powietrzu, ze stopami w pyle Polski. Grał, żeby nie oszaleć". Mamy więc i wątek polski, może nie najważniejszy, ale nie do przeoczenia.

W ogóle oczywistych oczywistości nie brakuje nam tutaj. Między opatem i osieroconym Joe (bo przy tym imieniu chłopiec się upiera, choć „ojciec wielebny" nazywa go bardziej z francuska) dochodzi nawet do dysputy teologicznej, z której wynika, że Bóg jest głuchy jak pień i to kalectwo każe wybaczyć mu „nasze okaleczone dni i złamane serca". A Szatan? Joe nie żywi do niego sympatii, ale już współczucie – jak najbardziej, bo – jak wywodzi – „diabeł o nic nie prosił. Prawdę mówiąc, nie urodził się diabłem, tylko różowym niemowlęciem jak każdy. Może stracił rodziców, może wysłano go do sierocińca i tam stał się diabłem".

W tej sytuacji trudno się dziwić, że ulubioną piosenką małoletniego miłośnika Beethovena jest „Sympathy for the Devil" Rolling Stonesów. W końcu katastrofa, w której zginęli jego rodzice, miała miejsce w maju 1969 r., a płyta „Beggars Banquet", którą otwierała właśnie ta rzekoma refleksja Jaggera po lekturze „Mistrza i Małgorzaty", wyszła zaledwie pół roku wcześniej. No i coś jeszcze ważnego wydarzyło się w tamtym czasie. Amerykanie wylądowali na Księżycu, w rezultacie czego osamotniony, niemający nikogo bliskiego Joe układał listy do Michaela Collinsa, astronauty zdecydowanie mniej znanego od Edwina E. Aldrina juniora, nie mówiąc o Neilu A. Armstrongu. Usiłował też korespondować z popularną prezenterką radiową, Marie-Ange Roig z Sud Radio z Andory. Nie miał nikogo bliższego. Do Micka Jaggera nie pisał, nie prosił go o pomoc, powtarzał jedynie słowa:

Please allow me to introduce myself
I'm a man of wealth and taste
I've been around for long, long years
Stole many man's soul and faith.

Autor „Diabłów i świętych" urodził się w 1971 r. pod Paryżem, ale dorastał w Cannes, gdzie – z przerwami – pomieszkuje do dzisiaj. Nazwisko wyrobił sobie nie jako pisarz, lecz filmowiec. Z powodzeniem wyreżyserował kilka obrazów, do innych napisał scenariusze (m.in. ma na koncie horror „Droga śmierci" i czarną komedię „Big Nothing"). Jako powieściopisarz zadebiutował późno, bo w 2017 r., kiedy to ukazała się, od razu obsypana nagrodami, „Moja królowa". Najważniejszego wyróżnienia – Prix Goncourt – doczekała się dwa lata temu czwarta jego książka – „Czekając na nią", z oczywistościami na temat faszyzmu i feminizmu. „Diabły i święci" wydane były wcześniej, bo w 2021 r. Gdyby nie nagromadzenie oczywistości właśnie, byłaby powieścią bardzo dobrą. ©℗



★★★★★★

JEAN-BAPTISTE ANDREA „DIABŁY I ŚWIĘCI" ZNAK 2025

eprasa.pl 9920e5187b



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

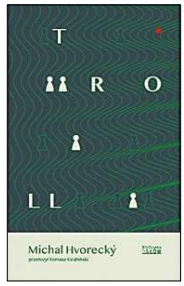
Księga strachów

Troll" to pełne pasji wystąpienie słowackiego pisarza przeciw patologii, która niszczy politykę i media, zwłaszcza internetowe. Trollowanie u Hvorecký'ego to zjawisko szersze i bardziej niebezpieczne niż w definicji, która mówi o złośliwym i celowym prowokowaniu kłótni w Internecie. Powieść słowackiego pisarza opisuje raczej wojnę informacyjną (właściwie: dezinformacyjną) prowadzoną profesjonalnie, za wielkie pieniądze, w konkretnych politycznych celach. To, że zatrudnia się do tego osobników lubujących się w produkowaniu informacyjnego błota, jest efektem, a nie celem.

Akcja rozgrywa się w niewielkim środkowoeuropejskim państwie przypominającym Słowację. Mamy przyszłość: kontynent rozpadł się na Twierdzę Europa i słabe kraje dawnej strefy wpływów Rosji. Sama Rosja występuje tu jako Imperium, które przeprowadziło dwie udane wojny: hybrydową i informacyjną, wskutek których znów rozdaje karty na terenie niegdyś podbitym. W Europie Środkowej ziścił się koszmar liberała: silni przywódcy zamieniają się w dyktatorów, bojówki biją działaczy LGBT, ruch antyszczepionkowy doprowadził do tego, że ludzie masowo umierają, hasła promujące religię, wartości i porządek są pretekstem do opresji. No i we wszystkim mieszają trolle zatrudniane przez Imperium.

Główni bohaterowie książki, niedobrana para outsiderów, zatrudniają się w ruskiej fabryce kłamstw, by zniszczyć ją od środka, to znaczy zdemaskować. Na razie muszą sami stać się mistrzami kłamstwa, by szefowie im zaufali. Znamy ten problem choćby z powieści „Matka noc" Vonneguta: jesteś tym, kogo udajesz, więc musisz bardzo uważać, kogo udajesz.

Kłopot z książką Hvorecký'ego polega na tym, że w wielu miejscach brzmi fałszywie, bo w swym liberalnym zapale piętnowania autorytaryzmu, putinizmu i fake newsów autor jest stronniczy. Na przykład koronnym dowodem na to, że ktoś jest ruskim trollem, ma być fakt, że nie podoba mu się niekontrolowana masowa migracja albo że nie chce, by agendą LGBT objęto dzieci. Pisarz wrzucił do jednego kotła wszystkie strachy współczesnego postępowca, nie zadając sobie trudu odsiania problemów realnych od czystego trollowania. Sam zatem jest trollem – wszak ich farmy odnoszą sukces, mieszając w odpowiednich proporcjach prawdę i fałsz. ©℗

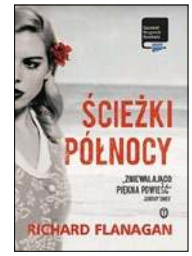


★★★☆☆☆

MICHAL HVORECKÝ „TROLL" BIBLIOTEKA SŁÓW 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Wznowienie znakomitej powieści australijskiego pisarza, epickiej opowieści o miłości i wojnie, o ocalaniu człowieczeństwa w piekle japońskiego obozu jenieckiego. Przekład: Maciej Świerkocki. Wersja serialowa w HBO Max.



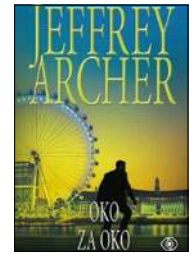
RICHARD FLANAGAN „ŚCIEŻKI PÓŁNOCY" CZARNE

O młodości, ale z namysłem, który zrozumieją jedynie dorośli. Troje przyjaciół, tajemnicza śmierć i pytanie: „Kim jesteśmy, kiedy jeszcze nie wiemy, kim jesteśmy?". Realizm plus fantastyka à la Bradbury czy Simmons.



CHRISTOPHER BARZAK „JEDNA WRONA SMUTEK WRÓŻY" ZYSK I S-KA

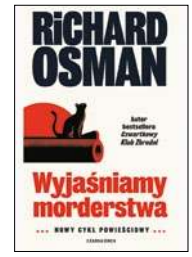
Biznes na broni wart miliardy, nieuczciwy partner, więzienie w Arabii Saudyjskiej, spisek łajdaków i rządu, morderstwa, agenci – co jeszcze może pójść nie tak? Siódmy tom serii o Williamie Warwicku. Czyta się.



JEFFREY ARCHER „OKO ZA OKO" REBIS

Pierwszy tom nowego cyklu autora serii „Czwartkowy Klub Zbrodni", której filmową wersję niedawno przedstawił Netflix. Tym razem do zagadek kryminalnych biorą się emerytowany policjant Steve Wheeler i jego synowa. ©℗

recenzuje Piotr Gociek



RICHARD OSMAN „WYJAŚNIAMY MORDERSTWA" CZARNA OWCA

KOMIKS TYGODNIA:
BYLE DO PONIEDZIAŁKU

Wznowienie godne uwagi – powieść graficzna, która jest adaptacją jednej z najzabawniejszych opowieści z „Dzienników gwiazdowych" – to ta, w której nieopodal Betelgezy nieustraszony podróżnik Ijon Tichy wpada w pętlę czasową (ważną rolę w wyjściu z opresji odegra cegła). Wzywając do pamiętania o dorobku Lema jako filozofa i krytyka, zapominamy czasem, jak wybornym był humorystą. ©℗

Piotr Gociek



JON J. MUTH „PODRÓŻ SIÓDMA" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2025

eprasa.pl 9920e5187b



Jan Fiedorczuk

Kadry decydują o wszystkim – mawiał towarzysz Stalin. Co jednak robić, gdy to właśnie kadr brakuje? Przed takim dylematem stanął Donald Tusk. Nawet gdyby premier chciał rządzić, to nie ma kim. Konsekwencje tych braków są dla stanu państwa dramatyczne



Krótka ławka

Minister Domański może nie wiedzieć, co się dzieje" – mówił jakiś czas temu Ryszard Petru, opisując chaos w resorcie finansów. Poseł Polski 2050 odniósł się w ten sposób do obstrukcji, która zapanowała w resorcie względem wszelkich rozwiązań mających na celu ograniczenie biurokracji. Swą wypowiedzią Petru nie tylko wbił szpilę ministrowi, lecz także wydaje się, że zarazem dotknął strukturalnego problemu, który faktycznie trawi ministerstwo, a szerzej – również cały obóz władzy. Sam Andrzej Domański wydaje się jednym z bardziej kompetentnych ministrów i nawet od osób nieprzychylnych KO można usłyszeć o nim całkiem pochlebne opinie. Nie zmienia to faktu, że szef resortu nieważne, jakby był kompetentny, musi być otoczony równie kompetentnym sztabem.

Wkrótce po przejęciu władzy rząd dokonał personalnych czystek w Ministerstwie Finansów i skarbówce, żegnając niektórych wieloletnich urzędników. Jeden z pracowników resortu przyznał mi niedawno, że po personalnych roszadach to właśnie nowa „góra", czyli otoczenie ministra, zaczęła generować najpoważniejsze problemy. Pierwszy większy kryzys miał pojawić się niemal od razu, gdy właśnie z kręgów decyzyjnych przyszło polecenie dotyczące wykonania jednego ze „100 konkretów" obiecanych przez Donalda Tuska w trakcie kampanii wyborczej. Chodziło o odkręcenie składki zdrowotnej wprowadzonej w ramach Polskiego Ładu. Odpowiadając na polecenie „góry", urzędnicy w ministerstwie wycenili, że jeżeli kierownictwo upiera się, by te zmiany dotknęły wszystkich obywateli, to koszty mogą sięgać nawet 90 mld zł. Taka kwota była oczywiście nierealna. Wokół „konkretu" miał zapanować chaos, pojawiały się kolejne i kolejne pomysły oraz warianty. Część pochodziła z nadania politycznego, część od urzędników. W końcu nowe kierownictwo resortu miało rozłożyć ręce i przekazać, że budżet sięga 5 mld zł, a sprawa ma być załatwiona w jakikolwiek sposób, byle można było powiedzieć, że zostało zrobione. Mój rozmówca konkludował, że „góra" sama nie wiedziała, czego oczekuje.

Zresztą Domańskiego krytykują już całkiem otwarcie politycy koalicji. Marek Sawicki stwierdził niedawno, że minister jest jedynie „figurantem", a realne decyzje podejmuje wiceminister Hanna Majszczyk. – Proszę mi przytoczyć trzy sukcesy ministra Domańskiego z ostatnich 19

eprasa.pl 9920e5187b



Andrzej Domański (na zdjęciu za Donaldem Tuskiem) wydaje się jednym z bardziej kompetentnych ministrów KO. Nie zmienia to faktu, że szef resortu nieważne, jakby był kompetentny, musi być otoczony równie kompetentnym sztabem FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Tuska

miesięcy. Ja sobie nie przypominam takich sukcesów – stwierdził Sawicki w rozmowie z Polskim Radiem 24.

KRÓTKA ŁAWKA

Sytuacja w Ministerstwie Finansów dobrze oddaje problem tzw. krótkiej ławki, który trawi cały rząd. Po przejęciu władzy koalicja centrolewu rozpoczęła „depisyzację" kolejnych sektorów państwa, lekką ręką pozbywając się nie tylko partyjnych nominatów, lecz także urzędników z wieloletnim stażem czy ekspertów, których jedyną winą było to, że podjęli się pracy dla państwa w czasie rządów PiS. Problem w tym, że na zwolnione miejsca konieczne jest znalezienie nowych chętnych. Kłopot z zarządzaniem krajem widać już nie tylko na poziomie menedżerskim czy urzędniczym, lecz także na stricte politycznym, gdzie ze względu na parlamentarną matematykę Donald Tusk został zmuszony do zawarcia koalicji oraz wielu personalnych kompromisów, a przez to – wypromowania osób, które nigdy nie powinny trafić na najwyższe urzędy w państwie.

Po przejęciu władzy koalicja centrolewu rozpoczęła „depisyzację" kolejnych sektorów państwa, lekką ręką pozbywając się urzędników z wieloletnim stażem i ekspertów

Dobrym przykładem tego, jak koalicyjne targi wpływają na styl rządzenia, jest resort spraw zagranicznych, w którym przed rekonstrukcją wszystkie partie z racji umowy koalicyjnej musiały dostać teki wiceministrów. Jednocześnie ich realny wpływ na dyplomację był po prostu zerowy. Dla przykładu: w kompetencjach Andrzeja Szejny z Nowej Lewicy (zdymisjonowanego w ramach niedawnej rekonstrukcji) znalazła się problematyka afrykańska i bliskowschodnia, a z kolei Annie Radwan-Röhrenschef z Polski 2050 przypadło w udziale nadzorowanie... „dialogu społecznego" w odniesieniu do polityki zagranicznej rządu.

Przejdźmy jednak dalej, gdyż struktura MSZ wygląda nawet dość racjonalnie na tle Ministerstwa Klimatu i Środowiska, gdzie prym wiedzie wiceminister Urszula Zielińska, której wypowiedzi (np. na temat konieczności likwidacji transportu rzecznego czy redukcji emisji dwutlenku węgla aż o 90 proc. do 2040 r.) nie bronią już nawet politycy z jej własnego obozu. Sama minister Paulina Hennig-Kloska zabłysła natomiast, wywołując pierwszy kryzys wizerunkowy jeszcze przed zaprzysiężeniem rządu (sprawa afery wiatrakowej). Tylko podczas rekonstrukcji żadna z pań nie pożegnała się ze stanowiskami, które je ewidentnie przerastały.

Ale pójdźmy dalej, gdyż naprawdę ciekawie robi się, gdy spojrzymy na postać Dariusza Wieczorka, który swoją misję na stanowisku ministra nauki zakończył przed kilkoma miesiącami w atmosferze skandalu. Zanim jednak do tego doszło, udało mu się wejść w spór ze znaczną częścią środowisk akademickich, która – przyznawali to nawet dziennikarze Onetu w „Stanie Wyjątkowym" – zaczęli tęsknić za Przemysławem Czarnkiem. To właśnie za kariery Wieczorka doszło niemal do zniszczenia spółki IDEAS NCBR, najważniejszej polskiej instytucji zajmującej się sztuczną inteligencją, gdy zmieniono dotychczasowego prezesa, cieszącego się szacunkiem w środowisku naukowców, prof. Piotra Sankowskiego (m.in. zaliczanego przez Uniwersytet Stanforda do 2 proc. najlepszych naukowców na świecie) na dr. hab. Grzegorza Borowika, w związku z czym sześciu czołowych naukowców, w tym prof. Marta Kwiatkowska z Uniwersytetu Oksfordzkiego i prof. Aleksander Mądry z MIT, zrezygnowało z zasiadania w radzie naukowej IDEAS NCBR, a 30 laureatów grantów Europejskiej Rady do spraw Badań Naukowych wystosowało apel do premiera o przywrócenie prof. Sankowskiego na stanowisko.

NIE MA KTO RZĄDZIĆ

To oczywiście niejedyna taka historia. W zeszłym roku była dyrektor jednego z instytutów Sieci Badawczej Łukasiewicz, dr hab. inż. Alicja Bachmatiuk, która wróciła do Polski, by wspierać rodzimą naukę, udzieliła głośnego wywiadu „Gazecie Wrocławskiej", w którym przyznała, że wywierano na nią naciski, by powołała na swojego zastępcę polityka Bartłomieja Ciążyńskiego (następnie wiceministra sprawiedliwości). „Jakieś dziwne osoby bez kwalifikacji pojawiają się na stanowiskach dyrektorskich, np. w Łodzi były policjant zostaje szefem do spraw wdrożeniowych. Jakie on ma kompetencje? Wiele z tych nowych osób jest czynnymi politykami, prezes SBŁ Cichocki też jest politykiem, dodatkowo jest adiunktem w SGH i pracował w NIK. Politycy są

eprasa.pl 9920e5187b

zupełnie bezkarni i robią, co chcą. Szkoda tylko, że dzieje się to kosztem badań naukowych" – stwierdzała.

Dominika Długosz z „Newsweeka" podzieliła się przed wyborami anegdotą, którą usłyszała od osoby pracującej w jednej ze spółek Skarbu Państwa. Jej rozmówca stwierdził, że „na korytarzach słychać jedno – niech ten PiS wróci, bo będzie można normalnie pracować". I nawet jeżeli weźmiemy pod uwagę, że w państwowych instytucjach jest nadal sporo nominatów z nadania poprzedniej władzy, którzy powrotu ekipy Kaczyńskiego mogą oczekiwać również z czysto osobistych powodów, to nie zmienia to faktu, że model funkcjonowania państwa, który zaproponował centrolew po przejęciu władzy, jest dysfunkcyjny. Kolejny przykład – niedawno tygodnik „Wprost", powołując się na swych rozmówców z koalicji, opisywał, że „w spółkach Skarbu Państwa panują bezwład i inercja", a szeregowi pracownicy Orlenu mają ponoć tęsknić za czasami Daniela Obajtka, co nieoficjalnie przyznają nawet politycy KO.

Ekipa rządząca „nie dowozi" swoich obietnic, gdyż po prostu nie ma kim ich zrealizować. Nie jest przypadkiem, że od dwóch lat rząd nie wdrożył właściwie żadnej większej reformy. Za każdym razem pada usprawiedliwienie – w spółkach i instytucjach panuje bezład, gdyż PiS-owcy je obsiedli; agenda obyczajowa (ważna dla lewicy) musi czekać, ponieważ PSL się nie zgadza; rozliczanie PiS (kluczowe dla elektoratu PO) idzie jak krew z nosa, gdyż prezydent zawetuje wszelkie ustawy w tym kierunku. PSL i Polska 2050 nie mogą wdrożyć swoich postulatów (takich jak biogaz rolniczy i asystencja osobista) z powodu blokady Domańskiego. Potknięciom władzy wszyscy są winni, tylko nie sama władza.

TUSK SAM WYCIĄŁ NAJLEPSZYCH

Moglibyśmy tak krok po kroku przejść przez kolejne ministerstwa, ale problem dotyczy nie tylko resortów, lecz także całej kadry politycznej, która – szczególnie w młodszym pokoleniu – składa się w znacznej części z dyletantów. Dowiodły tego choćby przedstawienia związane z sejmowymi komisjami, gdy politycy koalicji rządzącej po prostu nie potrafili zapanować nad zgromadzonym materiałem, świadkami, a w końcu politykami PiS, z Jarosławem Kaczyńskim na czele. Do historii przejdzie scenka, gdy komisja do spraw Pegasusa pospiesznie zamyka obrady, by przypadkiem nie natknąć się na (wezwanego przez nią na świadka!) Zbigniewa Ziobrę.

Przecież Donald Tusk nie wsadził specjalnie Sroki i Zembaczyńskiego do komisji, żeby ich ośmieszyć, tylko po prostu nie miał nikogo lepszego na ich miejsca

Przecież Donald Tusk nie wsadził specjalnie Sroki i Zembaczyńskiego do komisji, żeby ich ośmieszyć, tylko po prostu nie miał nikogo lepszego na ich miejsca. Platforma Obywatelska była stopniowo przez lata wyjaławiana – najpierw przez samego Donalda Tuska, który na drodze do monowładzy wyciął z partii co bardziej autonomicznych polityków, a następnie podczas długich ośmiu lat opozycji, gdy PO okopała się we własnej bańce, nie dopuszczając żadnych głosów krytycznych i hodując „Silnych Razem" wśród własnych posłów.

Dużo o stanie kadr centrolewu mówi fakt, że gdy centrum dowodzenia państwa zawiodło w trakcie powodzi, to jedyne, co przyszło Donaldowi Tuskowi do głowy, to szukanie ratunku u europosła Marcina Kierwińskiego, którego specjalnie ściągnięto do kraju z Brukseli. I teraz, po roku od tych wydarzeń, okazuje się, że państwo nie wyciągnęło żadnych wniosków, gdyż po ostatnich ulewach część Polski znowu została zalana. Znamiennie brzmiały słowa burmistrza gminy Otmuchów Damiana Nowakowskiego, który kilka tygodni temu wskazywał, że przez ostatnie miesiące, mimo powracających próśb i ostrzeżeń, Wody Polskie ignorowały zagrożenia związane z zepsutą infrastrukturą przeciwpowodziową.

Podobne przykłady można mnożyć bez końca. I tak np. polska prezydencja w Unii Europejskiej mogła być świetną okazją choćby i do partyjnej propagandy. Prezydencja została jednak zaprzepaszczona nie dlatego, że Tuskowi na niej nie zależało, tylko dlatego, że premier nie może być we wszystkich miejscach naraz. Nie da się jednocześnie kierować rządem, robić za jego rzecznika, sterować partią, negocjować z koalicjantami, rozliczać PiS i jeszcze angażować się w politykę międzynarodową. Na tym polega słabość ustrojów, które cedują wszelkie prerogatywy w ręce jednostki – człowiek, nieważne, jak zdolny, nie jest w stanie na własnych plecach dźwigać całego państwa.

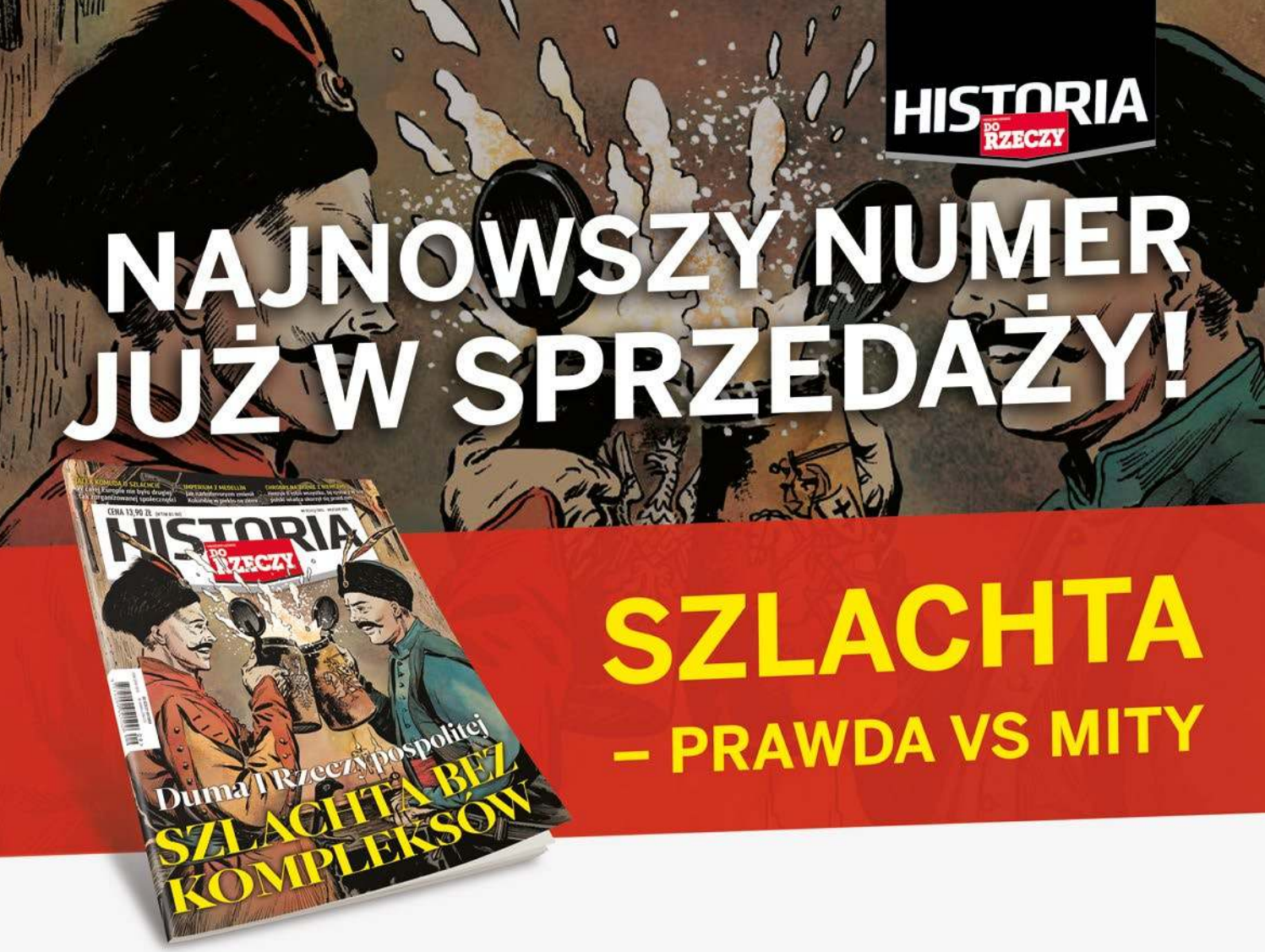
OUTSOURCING PAŃSTWA

Kilka miesięcy temu na łamach „Dziennika Gazety Prawnej" w podobnym tonie pisał dr Marcin Kędzierski, który wskazywał na fakt, że nowy rząd nie potrafił pozyskać kadry menedżerskiej. Nie wystarczy bowiem pomysł na reformę, ale konieczne są zastępy urzędników, którzy ją wdrożą. Jako przykład Kędzierski podał kwestię programu „Rodzina 500+", który jakkolwiek sam w sobie prosty, to przeprowadzany był na ogromną skalę, przez co konieczne było posiadanie wykwalifikowanych pracowników średniego szczebla administracji, którzy będą na tyle kompetentni, że udźwignią reformę. Dzisiaj brak takich kadr powoduje, że nawet gdyby rząd wyszedł z jakąś wielką inicjatywą, to nie miałby jej kto realizować.

Kędzierski wskazywał m.in. na niskie płace w administracji, które przekładają się na ucieczkę co zdolniejszych pracowników do sektora prywatnego. Paradoks polega na tym, że w końcu sam rząd zaczął szukać pomocy w sektorze prywatnym. Jakże znamienna była scena, gdy oto premier Donald Tusk niby przypadkiem w tłumie wypatrzył Rafała Brzoskę, z którego postanowił zrobić swojego prywatnego Elona Muska i któremu powierzył misję „deregulacji" polskiej gospodarki (100 ustaw miało wejść w życie do końca maja). Tak naprawdę było to przecież niemal bliźniacze powtórzenie schematu z czasu powodzi, gdy to Donald Tusk, po tym, jak już cały aparat państwa rozjechał się, nie radząc sobie z kryzysem, zaczął pomocy szukać u… Jerzego Owsiaka. Najwyraźniej w obliczu braku zdolnych do zarządzania państwem kadr – partyjnych, urzędniczych i menedżerskich – konieczny stał się outsourcing samego państwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9920e5187b



NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

SZLACHTA – PRAWDA VS MITY

Jacek Komuda o dumie Rzeczypospolitej – Stan szlachecki stworzył podstawy współczesnej kultury polskiej. Czy mamy herby czy nie – wszyscy jesteśmy duchowymi potomkami obywateli, którzy założyli dawną Rzeczpospolitą

Białe imperium z Medellín – Zabójstwo polityczne, które właśnie wstrząsnęło Kolumbią, przypomniało jej obywatelom o terrorze, który lata temu rozpętał w ich ojczyźnie Pablo Escobar

„Trupie główki" idą w ogień – Dywizja SS-Totenkopf uchodziła za najbardziej fanatyczną i zarazem najlepszą jednostkę w niemieckich siłach zbrojnych

Błyskawice i „jajka" – Żołnierze AK walczący w Warszawie dokonywali prawdziwych cudów, by zdobyć uzbrojenie i naboje. Czasem, na skutek niemieckich błędów, w ich ręce wpadały prawdziwe „skarby"

Rzeki krwi i atramentu – Zdobycie przez Mongołów Bagdadu było największą tragedią w dziejach islamu

Na rogu Piotrkowskiej i Tuwima – Po aferze z „Konduktem" Salon wyklął Bohdana Drozdowskiego. Odtąd jego książki z rzadka doczekiwały się recenzji, milczano nawet o tych tytułach, które osiągały sukces czytelniczy

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 9920e5187b

Ile znaczą słowa polityka?



Romuald Kmiecik

W Polsce, jeżeli minister po złożeniu przysięgi na wierność Konstytucji i prawom Rzeczypospolitej oświadczy, że nie zamierza praw tych przestrzegać i będzie stosował prawo według swojego widzimisię, tak jak on je rozumie, to nie grozi mu dymisja ani odpowiedzialność karna za przestępstwo



FOT. ADOBE STOCK

Przysięga Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, w przeszłości postrzegana przez opinię publiczną jako uroczysta, lecz mało istotna „formalność", podczas niedawnych wyborów nabrała nieoczekiwanie wyjątkowego znaczenia. Pomysł niedopuszczenia prezydenta elekta do złożenia przysięgi przed Zgromadzeniem Narodowym, graniczący niemal z karalnym przygotowaniem do zbrodni zamachu na organ konstytucyjny (art. 128 § 1 i § 2 Kodeksu karnego), wywołał niepokój i poważne napięcia społeczne. W odróżnieniu od tych państw, w których prawo traktuje zarówno przysięgę, jak i krzywoprzysięstwo z całą powagą, polskie prawo karne nie przewiduje w ogóle odpowiedzialności karnej za krzywoprzysięstwo funkcjonariuszy publicznych.

DODATKOWY POWÓD DYMISJI

Tymczasem wielu funkcjonariuszy obejmujących urzędy w administracji rządowej lub w wymiarze sprawiedliwości składa przysięgę warunkującą objęcie urzędu ministra, sędziego lub prokuratora. Trudno stwierdzić, jak długo o niej pamiętają. Prawo przewiduje jedynie odpowiedzialność karną dla świadków, biegłych i tłumaczy za fałszywe zeznania, opinie i tłumaczenia (art. 233 k.k.), co bywa w potocznym języku nazywane „krzywoprzysięstwem". Niezbyt ściśle, ponieważ „przysięga" składana przez świadków nie jest przysięgą, lecz przyrzeczeniem, że składane zeznania będą prawdziwe. W przeciwieństwie do przysięgi składanej przez świadków przed sądem w okresie międzywojennym przyrzeczenie pozbawione jest elementów sakralnych. W II Rzeczypospolitej, stosownie do przepisów procesowych i rozporządzenia Prezydenta RP z 1928 r., rota przysięgi świadka rozpoczynała się od słów: „Przysięgam Bogu Wszechmogącemu i Wszechwiedzącemu, że będę mówił szczerą prawdę". Świadek chrześcijanin przysięgał przed krzyżem (krucyfiks znajdował się w sali sądowej), świadek wyznania mojżeszowego przysięgał, trzymając rękę na drugiej księdze Tory, świadek wyznający islam przysięgał Bogu „przed świętym Jego Koranem". Jeszcze inaczej przysięgali świadkowie należący do związków wyznaniowych mennonitów, ewangelików, baptystów, Adwentystów Dnia Siódmego. Tylko świadkowie deklarujący bezwyznaniowość przyrzekali wówczas według takiej roty, która obecnie obowiązuje wszystkich obywateli Rzeczypospolitej Polskiej występujących w postępowaniach sądowych w charakterze świadków.

Według Konstytucji RP przysięgę przed objęciem urzędu składa obecnie nie tylko prezydent elekt, lecz także premier i członkowie Rady Ministrów, a także posłowie i senatorowie. Według ustaw zwykłych odpowiednikiem przysięgi są także „ślubowania", składane przez innych funkcjonariuszy publicznych (sędziów, prokuratorów). W Konstytucji RP i niektórych ustawach ostał się jedynie skromny ślad po dawnej przysiędze sakralnej w postaci dopuszczalnego, ale nieobowiązkowego zwrotu: „Tak mi dopomóż Bóg". Jeżeli przysięgający funkcjonariusz zwrot ten pominie, to przysięga jest w pełni skuteczna, choć wówczas nie bardzo wiadomo, do kogo ta przysięga jest skierowana – czy do państwa, narodu czy do Prezydenta RP – w przypadku ministra albo może do sądu lub publiczności zgro-

eprasa.pl 9920e5187b

madzonej na sali rozpraw – w przypadku przyrzekającego świadka lub biegłego.

ROLA TRYBUNAŁU STANU

Premier lub minister, obejmując urząd, przysięga stosownie do wymagań Konstytucji RP, że „dochowa wierności Konstytucji i innym prawom Rzeczypospolitej Polskiej". Jest to rodzaj przysięgi lojalności i wierności wobec prawa, odpowiednik angielskiej przysięgi posłuszeństwa, którą urzędnicy Korony brytyjskiej, a także każdy z kilkudziesięciu tysięcy sędziów pokoju składa wobec monarchy i jego przyszłych sukcesorów. W Polsce, jeżeli minister po złożeniu przysięgi na wierność Konstytucji i prawom Rzeczypospolitej oświadczy, że nie zamierza praw tych przestrzegać i będzie stosował prawo według swojego widzimisię, tak jak on je rozumie, mając za nic wierność wobec konstytucji i praw, to nic się nie dzieje, nie grozi mu dymisja ani odpowiedzialność karna za przestępstwo o charakterze krzywoprzysięstwa. Teoretycznie mógłby odpowiadać przed Trybunałem Stanu za delikt konstytucyjny, wiadomo jednak, że jest to odpowiedzialność raczej iluzoryczna.

W prawie angielskim fałszywa przysięga funkcjonariusza państwowego powoduje taką samą odpowiedzialność karną, jaka grozi świadkowi za krzywoprzysięstwo (perjury)

W prawie angielskim fałszywa przysięga funkcjonariusza państwowego powoduje taką samą odpowiedzialność karną, jaka grozi świadkowi za krzywoprzysięstwo (perjury). Od czasu Elżbiety I Wielkiej przepisy dotyczące przysięgi i krzywoprzysięstwa uległy licznym zmianom ustawowym. Obecnie krzywoprzysięstwo nie jest zbrodnią, lecz występkiem (misdemeanor). Jednak chyba nie zdarzyło się dotychczas, aby np. sędzia pokoju, niezależnie od tego, czy jest prawnikiem (magistrate) czy przedstawicielem innego zawodu, po złożeniu przysięgi królowi oświadczył, że będzie stosował prawo powszechne (common law) lub ustawy (statute law) według swojego widzimisię. Utraciłby urząd i poniósłby odpowiedzialność karną, chyba że obrona udowodniłaby przed sądem jego niepoczytalność (w procesie angielskim, inaczej niż w procesie polskim, ciężar udowodnienia niepoczytalności spoczywa na oskarżonym, a oskarżyciel nie musi udowadniać poczytalności oskarżonego, zapewne zgodnie ze słusznym skądinąd domniemaniem poczytalności).

Wydaje się celowe, aby w przyszłej konstytucji uzupełniono przepis przewidujący powody dymisji Rady Ministrów i poszczególnych ministrów (art. 162 Konstytucji RP) o dodatkowy powód dymisji, którym byłoby krzywoprzysięstwo. Niedotrzymanie przysięgi wobec Konstytucji i praw Rzeczypospolitej oraz spowodowaną tym utratę zaufania mógłby stwierdzić Trybunał Stanu na wniosek Prezydenta RP poza zwykłą procedurą przewidzianą dla odpowiedzialności konstytucyjnej.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest profesorem nauk prawnych.

REKLAMA



eprasa.pl 9920e5187b



Imigranci na moście Hohenzollernów w Kolonii FOT. ARNULF HETTRICH/IMAGEBROKER/FORUM

Nieuchronna szariatyzacja Europy



Paweł Chmielewski

Prawodawstwo na Starym Kontynencie jest ukształtowane przez cywilizację chrześcijańską i rewolucję oświeceniową. Powoli zaczyna ujawniać się jeszcze nowy czynnik – islamski szariat

Wir schaffen das". Niemiecka kanclerz Angela Merkel tymi słowami otworzyła w sierpniu 2015 r. granice RFN na milionową migrację z krajów islamskich. Szefowa CDU przekonywała swoich obywateli, że jej naród jest tak potężny i bogaty, iż przy odrobinie wysiłku poradzi sobie z gigantyczną falą przybyszów. Dziesięć lat później jak na dłoni widać, że to się nie udało. Z muzułmańskimi współmieszkańcami nie radzą sobie ani Niemcy, ani inne europejskie kraje. Liczba problemów jest wprost gigantyczna – od ekstremalnego wzrostu przestępczości do olbrzymiego obciążenia budżetowego wydatkami na socjal. W tym krótkim tekście chciałbym jednak skupić się na innym wątku, mianowicie na powolnym przenikaniu do życia publicznego Europejczyków elementów islamskiego prawa, czyli szariatu.

Wszystko wskazuje bowiem na to, że z racji na wykładniczo rosnący odsetek wyznawców Allaha w wielu państwach unijnych ten problem będzie cały czas narastał. Polska wydaje się być od niego wolna, ale tylko czekać, aż to się zmieni: najgorsza w całej Unii Europejskiej demografia już zaczęła skłaniać naszych polityków do niekontrolowanego wpuszczania islamskich imigrantów zarobkowych, a problem braku rąk do pracy będzie się przecież tylko zaostrzać. Prędzej czy później muzułmanie również w naszym kraju będą chcieli żyć tak, jak imamowie im przykazali. Tak dzieje się już w innych krajach.

Na przykład w Austrii. W połowie sierpnia austriacką opinią publiczną wstrząsnął wyrok sądu w Wiedniu dotyczący prawa szariatu. Dwaj muzułmańscy przedsiębiorcy zawarli prywatną umowę, zgodnie z którą w razie powstania sporów poddadzą się ocenie islamskiego sądu arbitrażowego. Tak też się stało. Sąd nakazał jednemu z nich zapłatę 320 tys. euro. Muzułmanin nie zgodził się z wyrokiem, uznając, że szariat został źle zinterpretowany i wyrok narusza prawo obowiązujące w Austrii. Skierował rzecz do sądu w Wiedniu, ale ten uznał, że problemu nie ma – prawo szariatu może być podstawą orzekania w sporach prywatnych, więc mężczyzna musi zapłacić.

Kilka austriackich partii politycznych uznało tę decyzję za skandaliczną, sugerując, że doprowadzi do umocnienia tzw. społeczeństwa równoległego – sytuacji, w której muzułmanie żyją wprawdzie w Austrii, ale według swoich własnych zasad. Obrońcy wyroku twierdzą, że sąd miał związane ręce: austriackie prawo dopuszcza, by strony swobodnie wybierały prawo w umowach arbitrażowych. Dotyczy to również szariatu.

ZGODA NA WIELOŻEŃSTWO

Sprawa z Wiednia nie jest bynajmniej odosobnionym przykładem. Sądy w Niemczech regularnie uznają za legalne małżeństwa, które muzułmanie zawarli poza granicami RFN właśnie na podstawie prawa szariatu. Nawet jeżeli jedną ze stron była osoba nieletnia. Nie tak dawno szeroko dyskutowana była decyzja sądu w Berlinie dotycząca związku dwojga obywateli Syrii. 19-latek i 14-latka udali się we wspólną podróż po nowe życie do RFN. Przejeżdżając przez Turcję, mieli zawrzeć przed imamem szariackie małżeństwo. Kiedy trafili do Niemiec, po pewnym czasie zażądali jego uznania przez władze. Sąd się zgodził. Wskazał, że żona skończyła w tym czasie 17. rok życia i deklaruje wolę kontynuacji małżeństwa.

Coraz większe trudności sprawia też praktyka wielożeństwa. Niemieckie sądy uznają wprawdzie związki poligamiczne za niewiążące, ale urzędnicy zajmujący

eprasa.pl 9920e5187b

się imigracją wychodzą niekiedy z innego założenia. Znane są przypadki, w których muzułmańscy mężczyźni żyjący w Niemczech uzyskali zgodę na sprowadzenie do kraju zarówno swojej pierwszej żony, jak i drugiej. Oficjalnie szariackiej poligamii więc nie ma, ale w poszczególnych przypadkach – proszę bardzo.

Islamskie reguły coraz częściej dotykają też niemuzułmanów, np. w szkołach. W jednej z placówek w Gelsenkirchen w Nadrenii Północnej-Westfalii od początku roku szkolnego 2025/2026 nie będzie już normalnego jedzenia. Szkoła całkowicie przestawia się na żywność halal. Wcześniej to samo zrobiła szkoła w Ottersweier w Badenii-Wirtembergii. Te dwa przypadki to teoretycznie skrajność, ale niemieckie media informują, że po cichu robią tak również inne szkoły. Zwłaszcza w Zagłębiu Ruhry systematycznie spada zapotrzebowanie na wieprzowinę. Skoro muzułmańskich uczniów jest dużo, to postawienie na halal oznacza oszczędność i wygodę.

Sytuacja żywieniowa zaostrza się co roku w okresie ramadanu. Uczniowie islamscy nie jedzą wówczas przez cały dzień nic, co utrudnia im normalne funkcjonowanie. W przypadku znacznego odsetka muzułmanów w danej klasie oznacza to faktyczną dezorganizację porządku lekcyjnego. Dodatkowo islamscy uczniowie manifestują rozdrażnienie, widząc, że ich nieislamscy koledzy nie przestrzegają postu w czasie ramadanu, co prowokuje napięcia i kłótnie. Nauczyciele w Niemczech i Austrii skarżą się na to od lat, ale rozwiązania nie ma. Ramadan to ramadan – ma swoje prawa.

Szariatyzacja przestrzeni publicznej nie dotyczy oczywiście tylko krajów niemieckojęzycznych. Islamskie sądy arbitrażowe, które tak rozdrażniły Austriaków, od wielu lat funkcjonują w Wielkiej Brytanii. Według brytyjskich mediów swoistą plagą stały się też szariackie małżeństwa, które nie są zgłaszane do krajowych urzędów cywilnych; niemal całkowicie pozbawiają kobiety ochrony prawnej gwarantowanej przez brytyjskie ustawodawstwo. Ostrzej z wpływami szariatu starają się walczyć Francuzi. Już w 2011 r. zakazali muzułmankom noszenia burek i od lat starają się przymusić muzułmańskie sklepy spożywcze do oferowania w asortymencie również wieprzowiny.

W Niemczech, we Francji czy w Wielkiej Brytanii lwia część uprawnionych do głosów wyznawców Allaha popiera ugrupowania lewicowe i otrzymuje za to konkretne obietnice

Można próbować, ale długoterminowo takie wysiłki wydają się skazane na porażkę. Młode pokolenia muzułmanów w Europie nie chcą zgodzić się na dominację świeckiego prawodawstwa. Oczekują, że będą mogli żyć zgodnie z szariatem i w ten sposób kształtować rzeczywistość społeczną. Zgodnie ze studium przeprowadzonym w 2024 r. przez Kryminologiczny Instytut Badawczy w Dolnej Saksonii w Niemczech prawie 70 proc. islamskich uczniów uznaje wyższość prawa muzułmańskiego nad prawem niemieckim. Blisko połowa sądzi, że RFN powinna zostać przekształcona w islamskie państwo wyznaniowe (sic!). Takie same postawy są rozpowszechnione wśród młodych mahometan we Francji. Według badania instytutu Ifop z 2020 r. aż 74 proc. takich osób poniżej 25. roku życia uznaje wyższość praw islamskich nad prawami francuskimi. Ta sama pracownia trzy lata później zapytała muzułmanów o ich ocenę laickości. Wśród młodych krytycznie postrzega ją prawie 80 proc., uznając za instrument dyskryminowania muzułmanów.

NIE DRAŻNIĆ KRZYŻAMI

To islamska młodzież jest tymczasem w coraz większej mierze „przyszłością" Europy. Kilka tygodni temu były premier Izraela Naftali Bennett – notabene dobrze znany z antypolonizmu – wezwał władze swojego kraju do wzmacniania relacji gospodarczych z krajami innymi niż europejskie. Bennett obawia się, że te staną się wkrótce nazbyt islamskie i jako takie – wrogie wobec Izraela. Przytoczył konkretne dane dotyczące odsetka muzułmańskich uczniów w wielu największych miastach Europy. Wyglądało to następująco: Bruksela – 52 proc.; Amsterdam – 43 proc., Wiedeń – 41 proc., Londyn – 37,5 proc.; Sztokholm – 35 proc.; Paryż – 29 proc.; Kopenhaga – 28 proc.; Berlin – 23 proc. W kilku przypadkach dane są nieco zawyżone, ale w innych – jak najbardziej adekwatne. Co więcej, lista jest bardzo ograniczona, bo nie obejmuje wielu silnie zislamizowanych miast Europy, jak choćby brytyjskie Birmingham (ok. 30 proc. mieszkańców to muzułmanie) czy niemiecki Frankfurt (15 proc.).

Nie da się ukryć, że „młoda Europa" staje się muzułmańska. Z biegiem czasu musi to mieć coraz większe znaczenie również dla polityki i stanowienia prawa. Politycy, którzy starają się dziś ograniczać zakres oddziaływania islamskich reguł na prawo państwowe, napotkają poważny opór społeczny. W demokracji nie można całkowicie ignorować głosu wyborców, zwłaszcza w kwestiach, które są łatwo weryfikowalne, a do takich należą przepisy o burkach, halal czy szariackich małżeństwach. Socjalistyczni politycy już dziś biorą to pod uwagę i rzeczywiście skutecznie przyciągają muzułmańskich wyborców. W Niemczech, we Francji czy w Wielkiej Brytanii lwia część uprawnionych do głosów wyznawców Allaha popiera ugrupowania lewicowe i otrzymuje za to konkretne obietnice, np. żelazne poparcie dla katastrofalnej w skutkach polityki „łączenia rodzin" czy konsekwentną walkę z obecnością symboli chrześcijańskich w przestrzeni publicznej. W XVIII w. Wolter sugerował, że wpuszczenie do Francji muzułmanów pomogłoby w politycznej walce z dominacją Kościoła. Lewica piecze w ten sposób dwie pieczenie na jednym ogniu.

Można zatem z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że europejskie prawodawstwo w najbliższych dziesięcioleciach będzie pod coraz silniejszym wpływem islamu. Do dziś śmiejemy się z rozporządzenia Komisji Europejskiej o krzywiźnie bananów. Być może kiedyś będziemy wspominać ze swoistą nostalgią takie problemy, kiedy zapadać będą rozstrzygnięcia o prawidłowym sposobie upuszczania krwi ze zwierząt, „przyzwoitym" ubiorze w przestrzeni publicznej albo maksymalnej wielkości krzyży na kościołach, tak by symbol męki Chrystusa nie drażnił zanadto islamskiej większości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 9920e5187b



Robert Mazurek (po prawej) w rozmowie w Kanale Zero z posłanką Lewicy Anną Marią Żukowską oraz prezesem Naczelnej Rady Łowieckiej Marcinem Możdżonkiem FOT. KANAŁ ZERO/YOUTUBE

Dziki, aborcja i zabójstwo



Anna Mandrela

W przyrodzie zwierzęta się nawzajem zjadają, a w bajkach żyją ze sobą w zgodzie i naradzają się, jak się obronić przed „złymi" ludźmi. Z kolei media i nauczyciele przedstawiają dzieciom aborcję jako coś normalnego – jako prawo kobiet, o które należy zabiegać

Czasami rozmowa, która miała dotyczyć tematów bieżących, nagle przeradza się w dyskusję filozoficzną. Tak się stało w trakcie programu w Kanale Zero, podczas którego Robert Mazurek rozmawiał z Marcinem Możdżonkiem i Anną Marią Żukowską.

Do tej pory w sieci pojawia się wiele memów i komentarzy odnoszących się do tej rozmowy. Debata dotyczyła głośnego w ostatnim czasie tematu myślistwa. W połowie sierpnia, podczas polowania w Młyniskach na Lubelszczyźnie, myśliwy śmiertelnie postrzelił człowieka. Takie tragiczne wydarzenia zawsze wywołują medialną dyskusję na temat obowiązkowych badań dla myśliwych.

Jednak debata w Kanale Zero zeszła na tory ideologiczne, co po raz kolejny pokazało paradoks lewicowych przekonań: walczy się o życie zwierząt, jednocześnie promując zabijanie nienarodzonych dzieci. W odpowiedzi na uwagi posłanki Lewicy, która w pewnym momencie zaczęła całkowicie krytykować ideę myślistwa, Możdżonek, który jest prezesem Naczelnej Rady Łowieckiej, tłumaczył, że gwałtowny wzrost liczby dzików zaczął stanowić problem i w związku z tym powstały rozporządzenia o tym, aby redukować ich populację. „Zabijać" podkreśliła Żukowska, której nie spodobało się słowo „redukować" użyte w tym kontekście.

„Tak, zabijać. Na tym właśnie polega redukcja" – odpowiedział Możdżonek. „No to nazwijmy rzeczy po imieniu" – kontynuowała posłanka Lewicy. „Aborcja – czy to również jest zabójstwo?" – zapytał nieoczekiwanie redaktor Mazurek. „To jest usunięcie płodu. Płód jest oczywiście organizmem żywym i nie jest płodem słonia, jeżeli znajduje się w organizmie człowieka. To jest oczywiste" – odrzekła nieco zmieszana Żukowska. „Tylko pytam. W takim razie nazywajmy rzeczy po imieniu" – spuentował Mazurek.

Na te słowa posłanka Lewicy nie znalazła już odpowiedzi. Rozmowa pokazała, że kobieta, która walczy o zakaz mordowania małych ptaszków, promuje równocześnie zabijanie nienarodzonych dzieci. Żukowska w swoich wpisach na platformie X występowała w obronie Gi-

eprasa.pl 9920e5187b

zeli Jagielskiej z Oleśnicy, która dokonała aborcji w dziewiątym miesiącu ciąży. Posłanka Lewicy uważa, że podobne działania powinny być możliwe w przypadku dzieci z zespołem Downa.

Na szczęście coraz więcej Polaków widzi absurdalność takich poglądów. Podobne paradoksy pojawiały się w przestrzeni medialnej, gdy Maja Ostaszewska, popierająca aborcję, sprzeciwiała się zabijaniu karpi na Wigilię lub gdy piosenkarka Natalia Przybysz, która jest weganką i aktywistką na rzecz praw zwierząt, przyznała, że zdecydowała poddać się aborcji z powodu zbyt małego mieszkania.

PALENIE WDÓW ŻYWCEM

Potrafimy jeszcze dostrzec absurdalność takich przekonań, gdyż w naszej cywilizacji przez wieki patrzyliśmy na życie człowieka i zwierzęcia poprzez pojęcia i zasady, które ukształtowała filozofia katolicka. Sprawy zupełnie inaczej mają się na Wschodzie, gdzie od stuleci dominował hinduizm lub buddyzm. W Indiach znajdziemy miasta (Rishikesh, Puszkar), w których panuje całkowity zakaz spożywania mięsa. Konstytucja Indii nakłada na władze państwowe obowiązek ochrony krów i zapobieganie ich ubojowi. Jednocześnie dokonuje się tam ok. 15 mln aborcji rocznie. Większość z nich to aborcje selektywne – zabija się dziewczynki, które są postrzegane jako obciążenie dla rodziny. Dopiero w połowie XIX w. w Indiach zdelegalizowano rytuał „sati" polegający na paleniu wdowy żywcem wraz ze zwłokami jej męża na stosie pogrzebowym – mimo to praktyka jest sporadycznie stosowana aż do dziś.

To, jak rozumiemy człowieka, duszę ludzką i śmierć, prowadzi nas do określonych poglądów i wniosków. Jeśli nie zdefiniujemy podstawowych pojęć, to możemy pewnego dnia obudzić się w świecie, w którym tak jak w Indiach zabicie krowy jest większą zbrodnią niż zabicie nienarodzonego dziecka. Niektórzy ze zdumieniem zauważają, że podobne przekonania zaczynają mieć znaczenie na Zachodzie. Wystarczy spojrzeć na silne lobby proaborcyjne, a z drugiej strony na Agendę C40, która zakłada znaczne ograniczenie spożycia mięsa.

W polskich szkołach dzieci nie uczą się filozofii ani logiki. Młodzi ludzie nie prowadzą dyskusji dotyczących fundamentalnych pojęć, takich jak: życie, śmierć, dusza, zabójstwo. Lekcje religii są prowadzone w duchu dialogu międzyreligijnego, bez podkreślania fundamentalnych różnic pomiędzy cywilizacjami. Starałam się wykazać te różnice w książce „Kościół katolicki wobec buddyzmu", a pisząc ją, dostrzegłam, jak wielu Polaków być może całkowicie nieświadomie przyjmuje idee charakterystyczne dla wierzeń Wschodu. Pod koniec XIX w. i na początku XX w. Towarzystwo Teozoficzne przeniosło niektóre elementy hinduizmu i buddyzmu do Stanów Zjednoczonych i Europy.

W historii rezygnacja z zabijania i spożywania mięsa często wiązała się z przyjęciem wiary w reinkarnację. Koncepcję, według której dusza po śmierci wędruje i przyjmuje nowe ciało ludzkie lub zwierzęce, znajdujemy nie tylko w wierzeniach Wschodu, ale także u pitagorejczyków oraz w ruchu New Age. Co ciekawe, badania przeprowadzone w 2022 r. na grupie polskich studentów uważających się za katolików pokazały, że aż 30 proc. z nich uznaje wiarę w reinkarnację! Wynika to, moim zdaniem, z zupełnego braku zaznajomienia tych młodych ludzi z filozofią św. Tomasza z Akwinu, który wykazywał, że wiara w reinkarnację jest nie do pogodzenia z katolicką wizją człowieka, wedle której konkretna dusza jest przypisana do konkretnego ciała. Jest to również związane z wiarą w zmartwychwstanie ciał. Według zwolenników reinkarnacji obecne wcielenia mają być karą lub nagrodą za poprzednie życie, którego jednak dusza nie jest sobie w stanie przypomnieć. Według doktryny katolickiej narodziny nie są karą, a człowiek, przychodząc na świat, zaczyna uczyć się i zdobywać wiedzę. Ciało, zdaniem Akwinaty, nie jest karą ani więzieniem.

W Indiach zabicie krowy jest większą zbrodnią niż zabicie nienarodzonego dziecka. Podobne przekonania zaczynają mieć znaczenie na Zachodzie

Na gruncie wiary w reinkarnację uważa się, że spożywając mięso, człowiek może zjeść jednego ze swoich przodków, co prowadzi do wniosku, że jedzenie mięsa jest czymś złym. Według św. Tomasza z Akwinu zabijanie zwierząt w celu zdobywania pożywienia nie jest grzechem ani haniebnym czynem: „Nie jest rzeczą samą przez się złą posługiwać się rzeczami odpowiednio do tego, na co są przeznaczone. Rośliny istnieją zaś dla zwierząt, pewne zwierzęta dla drugich, a wszystkie dla człowieka, jak wynika z tego, co powiedzieliśmy powyżej. Używanie roślin lub mięsa zwierząt, czy to jako pożywienia, czy w innym celu pożytecznym dla człowieka, nie jest więc grzechem samo przez się".

FUNDAMENTALNE RÓŻNICE

Oczywiście nie oznacza to, że zwierzę nic nie czuje i że nie mamy wobec niego żadnej odpowiedzialności – szczególnie wtedy, gdy je hodujemy. Jak twierdzi św. Tomasz z Akwinu, rośliny posiadają duszę wegetatywną, zwierzęta duszę wegetatywną i zmysłową, a ludzie – duszę wegetatywną, zmysłową i rozumną. Właśnie ze względu na nieśmiertelną duszę życie człowieka nie jest tym samym, co życie zwierzęcia. Chociaż zwierzę czuje ból, to nie ponosi odpowiedzialności za swoje czyny, a zwierzęca dusza po śmierci nie trafi do nieba lub do piekła. Coraz mniej katolików ma świadomość tych fundamentalnych różnic pomiędzy filozofią katolicką a wierzeniami Wschodu.

Oprócz tego subtelnego przyjęcia wschodnich wierzeń przekonanie o szczególnych prawach, które należą się zwierzętom, pojawia się w bajkach dla dzieci, które nieraz prezentują zupełnie fałszywy obraz świata. W przyrodzie zwierzęta się nawzajem zjadają, a w bajkach żyją ze sobą w zgodzie i i naradzają się, jak się obronić przed „złymi" ludźmi. Ludzie mają coraz mniej kontaktu z przyrodą, a przyzwyczajeni do kupowania mięsa w sklepie nie zastanawiają się, skąd ono pochodzi. Z kolei media i nauczyciele przedstawiają im aborcję jako coś normalnego – jako prawo kobiet, o które należy zabiegać. Warto zatem trochę się zastanowić, zdefiniować podstawowe pojęcia i nazwać rzeczy po imieniu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9920e5187b

Wielka wojna o małą kiełbaskę





Piotr Semka z Mühlhausen

Tylko w Niemczech rywalizacja o to, gdzie znajduje się najstarsza udokumentowana smażalnia kiełbas, może wywołać tyle emocji

Bratwurststreit – spór o smażoną kiełbaskę – rozgrzał niemieckie media w wakacyjny czas. Złośliwi kpią, że w RFN zamiast używać określenia „medialny sezon ogórkowy", powinno się od teraz mówić „medialny sezon kiełbaskowy". Żarty żartami, ale w żadnym innym kraju rywalizacja o to, gdzie znajduje się najstarsza udokumentowana smażalnia kiełbas, nie wywołałaby tylu emocji. Ale tu są Niemcy. Dla naszych sąsiadów zza Odry skwierczący, pachnący węglowym dymem przysmak to ważny element tożsamości i regionalnej dumy. A gdy jeszcze w sporze zejdą się Turyngia z Bawarią, to może być gorąco. Nie tylko od rozgrzanych węgli.

DUMA BAWARÓW

Do niedawna wszystko wydawało się jasne. Za najstarszy, działający nieprzerwanie od ponad 500 lat lokal z kiełbaskową specjalizacją uznawano smażalnię Wurstkuchl na Thundorferstrasse w bawarskiej Ratyzbonie. Jak zawsze wybór odpowiedniego punktu decydował i decyduje do dziś o wzięciu lokalu wśród klientów. A Wustkuchl usytuowano u wejścia na most Kamienny nad Dunajem, czyli w miejscu, którego nie da się ominąć, idąc na ratyzbońską starówkę.

Gospodarze Wurstkuchl (Kiełbasiarnia) chętnie wpadają w historyczny patos. „Tam, gdzie ratyzbońscy kamieniarze i dokerzy zajadali się już w średniowieczu, wiele pozostało niezmienione do dziś: otwarty grill węglowy, domowe kiełbaski z czystej szynki wieprzowej, kiszona kapusta z miejscowej piwnicy oraz słynna musztarda Wurstkuchl, przygotowywana według historycznego przepisu Elsy Schricker" – przechwala się portal kultowego miejsca.

Smażalnia w obecnym budyneczku funkcjonuje od ponad 500 lat, ale poprzednik tej budowli istniał jeszcze wcześniej. I znów oddajmy głos właścicielom kiełbaskarni: „Mówi się, że Wurstkuchl służył jako biuro budowlane i warsztat dla robotników budowlanych mostu Kamiennego (od 1135 do ok. 1146 r.), kamieniarzy, a także dokerów obsługujących żeglugę na Dunaju. Nowy budynek, który istnieje do dziś, został wzniesiony w 1651 r." – kontynuuje strona internetowa. „W XIX w. specjalizacja w kiełbaskach stała się główną domeną tego przybytku".

TURYNGIA KONTRATAKUJE

Bawarskie pieczone białe kiełbaski – te ratyzbońskie i te z Norymbergi – miały zawsze ambitnego rywala: turyngeńskiego bratwursta. Miłośnicy wieprzowego specjału z Erfurtu, Mühlhausen czy Arnstadt zawsze po cichu podejrzewali, że ich tradycje kiełbaskowe są równie stare, jeśli nie znacznie starsze. Po cichu, bo żaden lokal z tak długą tradycją historyczną, jak ten z Ratyzbony, w Turyngii do dziś nie przetrwał.

Prastarym lokalem mieszkańcy Turyngii nie dysponowali, ale najstarszą pisaną wzmianką o turyngeńskim przysmaku – już tak. W 2000 r. odkryto, że w kronice klasztoru Najświętszej Panny Marii w turyngeńskim Arnstadt, pod datą 20 stycznia 1404 r., zanotowano następujący wydatek: „Jeden grosz na zakup jelit do bratwurstów". Zapis dotyczył kosztów przygotowań do ostatniego świniobicia w klasztornej kuchni przed rozpoczęciem postu. Historycy podejrzewają, że zapis był dziełem ręki przeora Johanna von Sieblebena, który osobiście rejestrował wydatki klasztoru.

eprasa.pl 9920e5187b



Tradycyjny niemiecki bratwurst z musztardą w bułce pszennej

FOT. ADOBE STOCK

Turyngia uniosła się dumą. Zmniejszono historyczny dystans wobec Bawarów, którzy pysznią się zapisem o bratwurstach z norymberskiej kroniki z 1313 r.

Ale w tym roku przyszedł czas na kolejny sztych w prestiżowym pojedynku. Dziennik „Die Welt" z 27 sierpnia br. donosił: „Badacze z Erfurtu twierdzą, że znaleźli najstarszy jak dotąd dowód istnienia stoiska z kiełbaskami. »Dokument z 1269 roku wspomina o chacie i brytfannie na słynnym Krämerbrücke – moście Kupców« – ogłosili Martin Sladeczek, kierownik projektu »Światowego Dziedzictwa« w stolicy Turyngii, i Karl Heinemeyer, emerytowany historyk. Dokument został odkryty przypadkowo podczas badań nad historią mostu. Czy historia kiełbasek bratwurst wymaga teraz napisania na nowo?".

Media w Turyngii szybko nagłośniły ustalenia panów Sladeczka i Heinemayera. W wypadku smażalni Wurstkuchl w Ratyzbonie – pierwsza udokumentowana wzmianka o szefie kuchni w tym miejscu pochodzi z 1378 r., czyli 109 lat później niż w Erfurcie.

Według Thomasa Mäuera z Niemieckiego Muzeum Bratwursta w Mühlhausen trzeba zachować jednak umiar: „Uważam za bardzo śmiałe wnioskowanie, że skoro na moście była chata z kratą do grillowania, to można orzec jednoznacznie, że smażono tam bratwursty". Dlatego jego zdaniem historii nie trzeba przepisywać.

W rzeczywistości dokument, który miał rejestrować dzierżawę mostu Kupców w Erfurcie, nie wspomina, co tam gotowano. Ale, jak mówi Sladeczek: „Wiemy, co jedzono w średniowieczu: kiełbasy i pieczone mięso". Dowód z 1404 r. był przypadkowym odkryciem. Bratwursty prawdopodobnie istniały znacznie wcześniej. Podkreśla jednak: „Nie przyjechaliśmy tu, by prowadzić lokalną wojnę patriotyczną. Wciąż do końca nie wiemy, co pieczono i sprzedawano na moście w przeszłości".

Ale miłośnicy chwały turyngeńskiej kiełbaski wiedzą swoje. Wskazują na ściany jednego ze średniowiecznych budynków na moście, na miejsce, w którym są ślady po wspornikach. To tam, na zewnątrz lokalu, wmontowany mógł być kiełbaskowy ruszt.

A co w ratyzbońskim Wurstkuchl mówią o odkryciu w Erfurcie? Według „Die Welt" stali bywalcy lokalu wzruszają ramionami. „Szczerze mówiąc, wcale nam to nie przeszkadza. Zresztą nie zależy nam tak strasznie na tym tytule najstarszej kiełbaskarni" – mówi jej właścicielka Alexandra Meier. Jest dumna, że jej rodzina produkuje kiełbasy i że goście przychodzą tu głównie ze względu na jakość produktów. „Nie sądzę, żeby ludzie powiedzieli: już tam nie pójdę, bo okazuje się, że to dopiero druga najstarsza restauracja bratwurstów".

W 2000 r. odkryto, że w kronice klasztoru Najświętszej Panny Marii w turyngeńskim Arnstadt, pod datą 20 stycznia 1404 r., zanotowano następujący wydatek: „Jeden grosz na zakup jelit do bratwurstów"

RARYTAS Z BIAŁĄ SKÓRKĄ

„Pieczona kiełbaska to klasyk fast foodów na całym świecie. Ale w wypadku turyngeńskiego bratwursta to aromat dymu z otwartego ognia na węglach czyni kiełbaskę oryginalnym turyngeńskim bratwurstem". W tych słowach berlińczyka, znanego reportera Heinricha Jaeneckego, wyczuć można nabożny stosunek wschodnich Niemców do tego specjału.

eprasa.pl 9920e5187b



Do niedawna za najstarszy, działający nieprzerwanie od ponad 500 lat lokal z kiełbaskową specjalizacją uznawano smażalnię Wurstkuchl na Thundorferstrasse w bawarskiej Ratyzbonie FOT. WURSTKUCHL.DE

Dymiący ruszt z napisem „thuringer bratwurst" przyciąga na każdym jarmarku tłumy miłośników mięsnego specjału. I trzeba przyznać, że Turyngia dba, by regionalny przysmak nie zszedł na psy w postaci marnych podróbek. We wspomnianym już muzeum bratwursta w Mühlhausen dowiaduję się, jak pilnie chroniona jest sława turyńskiego specjału.

Aby dany produkt mógł nosić swe szlachetne miano, musi spełniać bardzo wyśrubowane normy. Od 6 stycznia 2004 r. nazwa „Thuringer Rostbratwurst" została zarejestrowana ze ściśle określonymi cechami jako chronione oznaczenie geograficzne. Pierwotnie, aby móc używać tej nazwy, co najmniej 51 proc. użytych surowców musiało pochodzić z Turyngii. Warunek ten został zniesiony w 2012 r. na wniosek Niemiec, co opublikowano w Dzienniku Urzędowym Unii Europejskiej 22 października 2011 r. Jako powód tego ustępstwa podano, że „jakość lub renoma turyngeńskiej kiełbasy Rostbratwurst nie zależy od pochodzenia surowców, lecz opiera się na umiejętnościach i doświadczeniu turyngeńskiego rzeźnika oraz tradycyjnych recepturach".

Jak głosi specyfikacja Federalnego Urzędu Rolnictwa z 27 lipca 2016 r.: „Masa zmielonego mięsa musi mieć drobną strukturę o maksymalnej wielkości cząstek nie większych niż 3 mm. Mięso pakowane musi być w wąską naturalną osłonkę wieprzową lub baranią. Każdy kawałek ma być o długości co najmniej 15 cm i wadze od 100 g do 150 g".

Kiełbaska musi być dość cienka i dość chuda. Zawartość tłuszczu nie może przekraczać 25 proc. masy – w innych kiełbaskach stanowi on niekiedy do 60 proc. wagi. W jej skład wchodzi jedynie wieprzowina – najlepiej z policzka wieprzowego, bez domieszki innych rodzajów mięsa. Dopuszczalne jest tylko dodanie pewnej mniejszościowej ilości wołowiny. Dozwolone jest też dodawanie tylko ściśle określonej listy przypraw: soli, pieprzu, majeranku, zmielonego kminku i czosnku.

Najpoważniejszym rywalem thuringer bratwurst jest pieczona kiełbaska norymberska, czyli nürnberger rotbratwurst. Jest ona znacznie cieńsza, krótsza i pod skórką widać gołym okiem sporo majeranku. Kiełbaska ma taką samą drobnoziarnistą strukturę o grubości 3 mm, ale nadziewa się ją do osłonek o średnicy 15 mm. Waży od 20 do 25 g każda i ma od 7 do 9 cm długości. Zazwyczaj spożywa się ją jako trzy kiełbaski w bułce, dwanaście (tuzin) lub sześć (pół tuzina). Często podaje się je z zasmażaną kapustą z kminkiem, dawniej koniecznie podawaną na blaszanym talerzu.

Także nazwy jak „Original Nürnberger Rostbratwurst" lub „Nürnberg Bratwurst" są chronione przez Komisję Europejską jako oznaczenie geograficzne. Zasłużyć na to miano mogą wyłącznie kiełbaski produkowane w Norymberdze, z równie ściśle określoną recepturą zatwierdzoną oficjalnie18 marca 1998 r. uchwałą Komisji Norymberskiej do spraw Prawa, Gospodarki i Pracy.

W Norymberdze ten specjał produkują cztery duże licencjonowane fabryki kiełbas i parę prywatnych masarni działających na potrzeby kilku sklepów mięsnych z wieloletnią tradycją. Najsłynniejsze norymberskie restauracje serwujące bratwursty to szynk Zum Gulden Stern, działający nieprzerwanie od 1419 r., oraz karczmy Goldenes Posthorn i Bratwurstglöcklein – także lokale o wielowiekowej tradycji.



Turyngeńskie bratwursty mają w Niemczech bogatą literaturę

Norymberga nie pozostała też bierna wobec utworzenia w Turyngii kiełbasianego muzeum w Mühlhausen.

Od listopada 2021 r. na norymberskim pchlim targu działa analogiczne muzeum, które na powierzchni ok. 100 mkw. oferuje podróż przez ok. 700 lat historii kulturowej norymberskich bratwurstów, w tym: ich korzenie z czasów późnego średniowiecza, mity i legendy, sławiąc kunszt norymberskich rzeźników.

Zmiany etniczne w Niemczech wpływają oczywiście na rynek kiełbasek. Na rynku pojawiają się łudząco podobne do turyngeńskich i norymberskich, specjalne białe bratwursty dla muzułmanów, produkowane z mięsa drobiowego (kurczak zmieszany z indykiem). Posiadają one religijne gwarancje halal. Nie mogą one jednak nosić zastrzeżonych nazw „Thuringer" lub „Nürnberger Rostbratwurst". Bo prastary, germański przysmak w oryginalnej wersji musi być z wieprzowiny.

Jak mawia się za Odrą – „ze świni wszystko jest dobre". W tej sprawie nawet niemiecka poprawność polityczna musi pokornie schylić głowę.

Zmiany etniczne w Niemczech wpływają oczywiście na rynek kiełbasek. Na rynku pojawiają się łudząco podobne do turyngeńskich i norymberskich specjalne białe bratwursty dla muzułmanów, produkowane z mięsa drobiowego

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9920e5187b



KOMUCHOŻERCA

Propagitka o Katyniu

LESZEK ŻEBROWSKI

Propaganda jest sferą, którą komuniści od początku swego zaistnienia opanowali prawie do perfekcji. Na tę dziedzinę nigdy nie żałowali sił i środków, doskonale zdawali sobie bowiem sprawę, że skuteczna propaganda była „droższa od pieniędzy". Zresztą na wielu płaszczyznach zmagamy się z nią do dziś, fałszywy obraz przeszłości jest bowiem bardzo wżarty w naszą świadomość. Na przykład okupacja Polski przez Związek Sowiecki (1939–1941) była trzy razy krótsza niż niemiecka, ponadto dotyczyła głównie ziem, które po wojnie do Polski już nie wróciły (poza Białostocczyzną). Stosunkowo łatwe było zatem jej przedstawianie jako mniej znaczącego epizodu. A przecież były to cztery wielkie fale depopulacji zaboru sowieckiego, setki tysięcy Polaków siedziały w aresztach i więzieniach – większość z nich uratowała dopiero agresja niemiecka po 22 czerwca 1941 r., gdy Niemcy podbili w ten sposób całość terytorium II RP.

Po wejściu Armii Czerwonej na ziemie polskie nocą z 3 na 4 stycznia 1944 r. Sowieci zaczęli przedstawiać te wydarzenia jako… „wyzwolenie". Faktycznie, było to wyzwolenie spod jednej okupacji i natychmiastowe przejście w drugą. Aby taki przekaz utrwalić, musiała zadziałać ideologiczna i polityczna propaganda. Był to proceder długofalowy, bo tylko to gwarantowało jego względną skuteczność. Nie było wówczas jeszcze tematów tabu, nawet Katyń nie był przemilczany! Choć dziś jest to dziwne (starsze roczniki, wyhodowane już w PRL, jeszcze co nieco pamiętają), ale sprawie Katynia rodzima komuna poświęcała od początku stosunkowo wiele miejsca. Dopiero później nastała ścisła cenzura prewencyjna i samo słowo „Katyń" miało odejść w niepamięć.

Ale początki były inne. Oto broszura, wydana w czerwonych okładkach (tak!) z marca 1945 r., która wyszła drukiem w Poznaniu (tuż po jego zajęciu przez Sowietów), tego zagadnienia nie pomijała. Wprost przeciwnie. Był to zbiór artykułów, które ukazały się jeszcze podczas wojny w prasie sowieckiej, „polskiej" (w Sowietach) i zagranicznej. Tak – „polieznych", czyli pożytecznych idiotów, nie brakowało nawet tam.

Do najważniejszych autorów tego zbioru należeli: wyjątkowi koryfeusze ówczesnej propagandy komunistycznej – płk Wanda Wasilewska, która stopień wojskowy otrzymała od samego Stalina, mjr Jerzy Borejsza (Nioma Goldberg), który w prawdziwym polskim wojsku nie służył. Był on szefem całej propagandy Polski Ludowej, jest on słusznie uznawany za jej dyktatora. Ponadto zaistnieli tam fałszywi świadkowie Katynia oraz „korespondenci prasy zagranicznej": Jerome Davies, Edmund Stevens i Alexander Werth. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Groźne uroki dziennikarstwa

SŁAWOMIR KOPER

W maju 1926 r. Józef Piłsudski obalił legalne władze RP, wprowadzając system autorytarny. Od tej pory nic nie mogło się w kraju wydarzyć bez zgody Marszałka. Zachowano podstawowe instytucje demokratyczne, legalnie wychodziła prasa opozycyjna, działał (lub przynajmniej usiłował działać) Sejm, ale coraz większą rolę odgrywało wojsko wierne Piłsudskiemu. Oficerowie czasami używali brutalnych metod wobec przeciwników politycznych, czego efektem był napad i skatowanie endeckiego posła Jerzego Zdziechowskiego w jego własnym mieszkaniu. Trzykrotnie pobity został znany publicysta endecki Adolf Nowaczyński (na skutek ostatniego napadu stracił oko), a inną ofiarą piłsudczyków był Tadeusz Dołęga-Mostowicz.

Dziennikarz interesował się sprawami niewygodnymi dla sanacji i po kilku ostrych artykułach zwolennicy Piłsudskiego zasugerowali zmianę tematyki. Dołęga-Mostowicz nie ugiął się pod presją, wobec czego 8 września 1927 r. powracającemu do domu publicyście zajechał drogę samochód. Dołęga-Mostowicz został porwany, pobity do nieprzytomności i wrzucony do glinianki pod Łomiankami. Uratował go jakiś rolnik. Publicysta trafił do szpitala.

Nazajutrz wszystkie dzienniki rozpisywały się o wydarzeniu, Dołęga-Mostowicz otrzymał dziesiątki kwiatów i listów od swoich wielbicieli oraz słowa uznania od opozycyjnych polityków. Jego popularność sięgnęła zenitu, a chociaż Piłsudski zarządził oficjalne śledztwo, to napastników nigdy nie odnaleziono.

Na swój sposób bandyci osiągnęli cel. Dołęga-Mostowicz stracił zdrowie (do końca życia chorował na serce) i powoli wycofał się z działalności dziennikarskiej. Pisał coraz mniej artykułów, koncentrując się na pracy literackiej. Ale ostatnie słowo miało należeć do niego. Jego druga powieść przyniosła oszałamiający sukces. „Kariera Nikodema Dyzmy" łączyła w sobie sensacyjny wątek, niedyskrecje z życia sfer polityczno-finansowych oraz satyrę obyczajową. Powieść drukowano na łamach dziennika „ABC" w latach 1930–1931 i spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem czytelników. Kolejne numery pisma wykupywano do ostatniego egzemplarza, a dodatkową reklamę przyniosły interwencje cenzury, które natychmiast zwiększały nakład pisma.

Cenzura miała powody, aby interesować się „Karierą Nikodem Dyzmy". Oprócz ostrej satyry na polityków sanacyjnych Dołęga-Mostowicz ukazał służalczą rolę policji na usługach prominentów. Być może niejednemu z polityków sanacyjnych przychodziło wówczas do głowy, że mniej niebezpieczny był Dołęga-Mostowicz jako dziennikarz niż jako autor bestsselerowych powieści… ©℗

eprasa.pl 9920e5187b



Tomasz Zbigniew Zapert

Wywiad rzeka Aleksandra Kaczorowskiego z Maciejem Radziwiłłem stanowi antidotum na coraz śmielej się panoszącą ludową historię Polski. Oby skuteczne



Trąby w herbie

U progu III Rzeczypospolitej niemałą sensację wydawniczą wzbudziła monumentalna praca Marka Millera zatytułowana „Arystokracja". Renomowany reporter zawarł w niej wspomnienia 16 reprezentantów siedmiu polskich rodów arystokratycznych, którzy w roku 1945 zostali wywiezieni przez Sowietów do łagru w Krasnogorsku. Czy książka „Radziwiłł. Aleksander Kaczorowski rozmawia z Maciejem Radziwiłłem", w bardzo – jak zawsze – wysmakowanym opracowaniu graficznym Andrzeja Bareckiego, wywoła podobny rezonans? Z pewnością jest warta lektury. Wielozagadnieniową konwersację podzielono na dziewięć rozdziałów.

HRABIOWIE KOPERTOWI

„Moim zdaniem niechęć Polaków do arystokracji ma znacznie głębsze korzenie" – powiada potomek (12. pokolenie!) Mikołaja Czarnego, kanclerza wielkiego litewskiego, który otrzymał tytuł książęcy z rąk cesarza Karola V Habsburga w 1547 r. – To zadawniony resentyment postszlacheckiej inteligencji w stosunku do arystokracji, który zaczął się w pierwszej połowie XIX w., nasilając się po powstaniu styczniowym". Gros magnaterii przeciwstawia się bowiem tej rebelii: „Sądzili, że poprzez legalne działania więcej można zrobić dla polskości, niż knując spiski i przygotowując kolejne powstania".

Do pognębienia resentymentu przyczyniły się też heroldie. „To urzędy powstałe już po rozbiorach Polski prowadzące rejestr szlachty i pilnujące, by nikt nie używał bezpodstawnie tytułów arystokratycznych. Od tej pory to biurokraci decydowali o tym, czy ktoś rzeczywiście ma tytuł szlachecki. W dawnej Rzeczypospolitej takiego urzędu nie było, więc często dochodziło do oszustw, podszywania się przez rodziny szlacheckie, które dorobiły się pieniędzy albo pochodziły z klas niższych, albo drobnej szlachty, jak przodkowie prezydenta Bronisława Komorowskiego. […] była to wprawdzie rodzina szlachecka, ale niemająca nic wspólnego z Komorowskimi, herbu Korczak, mieli inny herb. Przodkowie pana prezydenta zmienili sobie herb, żeby się pod tą bogatszą rodzinę, mówiąc kolokwialnie, podczepić" – wyjaśnia książę Radziwiłł, skądinąd niechętny, by tak się doń zwracać.

Ale nie była to jedyna metoda zyskania nobilitacji.

„Inna polegała na tym, że wysyłało się korespondencję do kancelarii jednego z zaborczych cesarzy i podpisywało list z użyciem tytułu hrabiowskiego. Urzędnik kancelarii zwykle nie sprawdzał, czy adresat naprawdę ma prawo do tytułu, i adresował kopertę z literkami „hr". W ten sposób powstawali tzw. kopertowi hrabiowie".

DO MAJĄTKU PRZEZ OŻENEK

Osoby błękitnej krwi nierzadko więcej różniło, niż łączyło, niemniej „umiejętność tolerowania odmiennych poglądów politycznych przez innych członków rodzinny to jedna z najcenniejszych rzeczy, których człowiek uczy się w rodzinie arystokratycznej. […] nigdy nie rozumiałem, jak można obrażać się na kogoś za jego poglądy" – przypomina Radziwiłł, konkludując ten wątek tak: „Niestety dzisiaj wielu ludzi woli żyć w tak zwanych bańkach. Nie są zdolni do koegzystencji z osobami o innych poglądach". Czy zatem gdyby w III RP politykę uprawiała wyłącznie magnateria, byłoby inaczej? Myślę, że wątpię. Tym bardziej że za sprawą kolejnych zawieruch wojennych, a zwłaszcza rządów komuny pozostały jej u nas resztki.

Gałąź rodziny indagowanego podupadła u schyłku XVIII stulecia: „Potem było już lepiej, chociaż nie wszyscy przedstawiciele tej części rodu doszli do większych fortun. Ciekawym przypadkiem był stryj mego pradziada Macieja, Konstanty, który ożenił się z Louis Blanc, córką założyciela i współwłaściciela kasyna w Monte Carlo. Inny stryj ożenił się z córką bogatych hodowców bydła na Kubie. Natomiast brat Macieja, Albert, z córką właściciela kopalni srebra w Meksyku".

Pod względem majątkowym arystokratów niekiedy wiele dzieliło: „To zresztą jeden z błędów, które popełniają twórcy tak zwanej ludowej historii Polski. Uważają, że w dawnej Rzeczypospolitej były dwie klasy: chłopi i szlachta. A to było znacznie bardziej złożone, ta hierarchia i rozwarstwienie majątkowe"

eprasa.pl 9920e5187b



Aleksander Kaczorowski (z lewej) i Maciej Radziwiłł

FOT. WYDAWNICTWO ISKRY/YOUTUBE

– powiada Maciej Radziwiłł, puentując: „Śmieszy mnie, że część przedstawicieli tego nurtu uważa, że fakt istnienia pańszczyzny kształtuje współczesne relacje społeczne w Polsce. Chodzi o rzekomo wysoki stopień paternalizmu i autorytaryzmu w naszym społeczeństwie".

KSIĘŻYC W NOWIU

Jeszcze bardziej chyba oburza go inna teza reprezentantów tej myśli (?) historycznej, głosząca, że Ukraina była… polską kolonią: „W krajach zachodnich mamy teraz wielki ruch ekspiacji za niewolnictwo i kolonializm. Niektórzy intelektualiści polscy postanowili wpisać Polskę do klubu bijących się w piersi. Chłopi pańszczyźniani zostali zrównani z niewolnikami, a unia polsko-litewska, w wyniku której do Korony przystąpiły ziemie obecnej Ukrainy, to według nich polski kolonializm".

Pionier światłych, niczym księżyc w nowiu, teorii krajowej ludowości Adam Leszczyński dowodzi, że w historiografii w ogóle nie ma kryterium prawdy – przypomina Radziwiłł. I kontruje: „Konieczna jest jednak wola dążenia do niej, a zwłaszcza rzetelność badań. Tymczasem twórcy historii ludowej zbierają przykłady patologii dawnego systemu i na tej podstawie – prostą metodą indukcji – uznają, iż skoro coś się zdarzyło raz, to znaczy, że było powszechne […]. Podobno powstało już ponad dwadzieścia dzieł tego gatunku. To teksty, których autorzy siadają do pracy z gotową tezą. Obawiam się, że to przejaw wielkiego kryzysu polskiej humanistyki, która niczego nie bada, a stara się za wszelką cenę wpisać w trendy zachodniej kultury. To czysta ideologia w historycznym przebraniu".

Ostatni arystokrata uwięziony w PRL (za działalność w drugim obiegu wydawniczym) opowiada też o swym zaangażowaniu w solidarnościową konspirę. Pierwsze zadanie, które otrzymał w podziemnej poligrafii, dotyczyło zdobycia worków po… papierze toaletowym. „Doskonale nadawały się do transportu wydrukowanych stron w formacie A4. Idealnie wchodziło tam bodaj osiem ryz papieru […]. Zrobione były z kilku warstw, bardzo mocne. Wszyscy polowali na papier toaletowy, a ja na worki, które oczywiście, za drobną opłatą, kierownicy sklepów chętnie mi sprzedawali »na lewo«". W drukarskie rzemiosło wprowadzali go rutynowani fachowcy: Andrzej Górski, Emil Broniarek oraz Tadeusz Markiewicz. A do wpadki ekipy doprowadził brat tego pierwszego, Jerzy – TW „Kaktus", jak wyszło na jaw po latach.

Indoktrynację polityczną Radziwiłł poznał już w czasach szkolnych: „Z propagandą w sprawach międzynarodowych radziłem sobie […] w sposób dość naiwny i prymitywny. Wszystko, co wzbudzało sympatię »Trybuny Ludu«, budziło mój szczery wstręt. Za to każdy najgorszy reżim, każdy najkrwawszy dyktator z Ameryki Łacińskiej, budził moją sympatię. Cieszyłem się z każdego puczu, który obalał jakiś »postępowy«, lewicujący rząd. Martwił mnie każdy amerykański samolot strącony w Wietnamie. Wściekały dobre notowania partii lewicowych we Francji czy Włoszech. Wszystko zgodnie z zasadą, że wróg mojego wroga jest moim przyjacielem".

RADA KAPITANA PIOTROWSKIEGO

Po krótkiej przygodzie z arabistyką na Uniwersytecie Warszawskim trafił na wydział socjologii, w latach 80. o silnie konserwatywno-religijnym profilu, co wynikało „z doświadczenia komunizmu i naiwności w jego ocenie demonstrowanej przez zachodnią lewicę. Naiwność takich intelektualistów w ocenie Związku Sowieckiego i innych krajów bloku wschodniego powodowała, że uważaliśmy ich za idiotów i w konsekwencji mało nas interesowało, co mają do powiedzenia na inne tematy. Powszechne było przekonanie, że ateizm w swojej radykalnej formie był jednym z korzeni totalitaryzmu […]. Tym bardziej nie rozumieliśmy wielu księży z Ameryki Łacińskiej, którzy byli zwolennikami bliskiej marksizmowi teologii wyzwolenia. Uznawaliśmy, że ustrój państw tego regionu może nie być sprawiedliwy, ale byliśmy przekonani, iż marksiści i ich chrześcijańscy sojusznicy doprowadzą do jeszcze większej biedy i zniewolenia, […] patrząc na to, co się stało, choćby w Wenezueli, mieliśmy chyba sporo racji".

W czasie studiów odwiedził kiedyś koleżankę, kolporterkę książek bezdebitowych: „Ledwo chwilę porozmawialiśmy przy herbacie, jak zadzwonił dzwonek do drzwi. Znajoma poszła otworzyć, do pokoju wszedł wysoki mężczyzna. Czekaliśmy jeszcze na kogoś, facet miał wyciągniętą rękę, więc pomyślałem, że chce się ze mną przywitać. Już chciałem odruchowo wyciągnąć ku niemu dłoń, gdy zorientowałem się, iż gość trzyma niewielki pistolet, wycelowany wprost we mnie. To był kapitan SB Grzegorz Piotrowski […], skojarzyłem go rok później, gdy w telewizji pokazali twarze morderców księdza Jerzego Popiełuszki. Do mieszkania weszli też Waldemar Chmielewski i Leszek Pękala […]. Esbecy postanowili przeprowadzić rewizję i poprosili, żebym został w charakterze świadka. Oczywiście była to propozycja nie do odrzucenia. Znaleźli kilka przedmiotów, które miały związek z nielegalną działalnością gospodyni […]. Kpt. Piotrowski pouczył mnie jeszcze, bym nie zajmował się działalnością antysocjalistyczną, i mogłem pójść do domu".



„RADZIWIŁŁ. ALEKSANDER KACZOROWSKI ROZMAWIA Z MACIEJEM RADZIWIŁŁEM"
ISKRY 2025

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9920e5187b



Trump robi porządki



Jacek Przybylski

Statystyki zabitych i rannych od pocisków w niektórych miastach USA od lat mrożą krew w żyłach. Donald Trump nazwał niedawno Chicago „światową stolicą morderstw" i chce wysłać na jego ulice żołnierzy Gwardii Narodowej. Wcześniej zaprowadził porządek w Los Angeles i w Waszyngtonie. A to nie koniec. Prezydent rozważa wysłanie wojska do Baltimore, Nowego Jorku, Nowego Orleanu, Portland, Seattle i San Francisco

Czy wiecie, że w ten weekend w Chicago zostały postrzelone 72 osoby? Wstyd mi, że to mówię w obecności prezydenta Polski. Jedenaście osób zginęło – oznajmił Donald Trump, gdy w środę odwiedził go w Białym Domu prezydent Karol Nawrocki. – W ciągu trzech tygodni zabitych zostało niemal 35 osób – dodał amerykański prezydent. – Chicago jest zdecydowanie najgorszym i najniebezpieczniejszym miastem na świecie – mówił dzień wcześniej Trump podczas konferencji prasowej z amerykańskimi dziennikarzami w Gabinecie Owalnym, jasno deklarując, że zamierza wysłać Gwardię Narodową do Miasta Wielkich Ramion i zaprowadzić w nim wreszcie porządek.

I chociaż prezydent USA nieco ubarwił policyjne dane, to sytuacja bezpieczeństwa w wielu amerykańskich miastach i tak nie wygląda różowo. Wystarczy rzucić okiem na statystyki z weekendów w okolicach dwóch tegorocznych amerykańskich świąt w Chicago. 2 września 2025 r.: długi weekend przy okazji Święta Pracy (Labour Day), w co najmniej 37 różnych strzelaninach zginęło osiem osób w wieku od 14 do 48 lat, a kolejnych 51 osób zostało rannych od pocisków. Inna ważna data – 4 lipca 2025 r., czyli obchody Dnia Niepodległości: co najmniej 44 osoby postrzelone, w tym sześć śmiertelnie.

JAK DOŻYĆ CZTERDZIESTKI?

Problem zauważają nawet te media, które trudno oskarżyć o przychylność Donaldowi Trumpowi. Telewizja CNN pokazała w ostatnich dniach reportaż, którego bohaterem był Cedric Hawkins. Postawny mężczyzna w wieku 44 lat z niepokojem patrzy na swoją metrykę. – Tylko jeden członek mojej rodziny dożył czterdziestki – zauważa były członek chicagowskich gangów, a obecnie pracownik grupy antyprzemocowej Chicago CRED, który w różnych strzelaninach stracił dziewięciu krewnych.

eprasa.pl 9920e5187b



Na polecenie prezydenta żołnierze strzegą bezpieczeństwa m.in. w centrum Waszyngtonu

FOT. J. SCOTT APPLEWHITE/AP/EAST NEWS

W wielu dzielnicach Chicago dzieci nie tylko nie mogą bawić się na zewnątrz, lecz także muszą uważać wewnątrz domu. Aby stać się ofiarą bezprawia, nie trzeba bowiem nawet wychodzić na ulicę. Można spokojnie czytać książkę w salonie lub jeść kolację przy kuchennym stole, a i tak zostać przypadkowo postrzelonym. Według relacji ABC News podczas świątecznego weekendu, o którym wspominał Donald Trump, postrzelona została m.in. 17-latka, która siedziała spokojnie we własnym domu, gdy nagle szybę rozbił pocisk, który następnie trafił ją w ramię. W ten sam weekend ranny w nogę został też 31-latek, który przypadkowo znalazł się w ogniu krzyżowym między dwoma uzbrojonymi mężczyznami strzelającymi do siebie z dwóch samochodów. Kolejne dwie osoby zostały postrzelone, gdy spokojnie jechały ulicą i akurat przecięły autem tor lecących pocisków.

Według Gun Violence Archive tylko w 2024 r. w USA doszło do ponad 0,5 tys. masowych strzelanin, a od kul zginęło łącznie 16 725 osób, w tym 250 dzieci w wieku do 11 lat. Do początku września obecnego roku w USA odnotowano niemal 300 masowych strzelanin, zastrzelonych zostało łącznie ponad 10 tys. osób, w tym 162 dzieci w wieku do 11 lat.

WALKI NA ULICACH I... W SĄDACH

Donald Trump w czerwcu skierował już na ulice Los Angeles 4 tys. żołnierzy Gwardii Narodowej i 700 żołnierzy piechoty morskiej, gdzie wojsko służyło do ochrony podczas gwałtownych zamieszek, które wybuchły w odpowiedzi na zarządzone przez prezydenta masowe deportacje nielegalnych imigrantów. Jeszcze w lipcu Pentagon poinformował o zakończeniu operacji i wycofaniu oddziałów z ulic z Miasta Aniołów. Władze Kalifornii pozwały jednak administrację prezydenta, kwestionując przed sądem legalność decyzji Trumpa o wysłaniu do Los Angeles wojsk piechoty morskiej i przesunięciu 4 tys. żołnierzy kalifornijskiej Gwardii Narodowej pod rozkazy władz federalnych. Oskarżyciele skarżyli się na to, że ruch gospodarza Białego Domu zagroził suwerenności Kalifornii, a także naraził stan na niepotrzebne wydatki. Z kolei obrońcy przekonywali, że prezydent miał pełne prawo podjąć taką decyzję, aby chronić zdrowie i życie agentów federalnych oraz federalne mienie.

Sąd Okręgowy w San Francisco orzekł w ubiegłym tygodniu, że decyzja o wysłaniu żołnierzy do Los Angeles, aby zaprowadzili porządek na ulicach po wybuchu zamieszek, była sprzeczna z prawem. Zdaniem sędziego decyzja Trumpa pogwałciła bowiem ustawę Posse Comitatus z 1878 r. zabraniającą wojskom federalnym pełnienia funkcji cywilnych organów ścigania z wyjątkiem sytuacji jasno określonych w prawie: a więc rebelii oraz powstań.

„Oskarżeni systematycznie wykorzystywali uzbrojonych żołnierzy (których tożsamość często była ukryta pod ochronnym pancerzem) i pojazdy wojskowe do tworzenia obwodów ochronnych i blokad ruchu, kontroli tłumu i do demonstrowania w różny sposób obecności wojska w Los Angeles i okolicach" – napisał sędzia w 52-stronicowym uzasadnieniu do wyroku. W tym samym orzeczeniu sędzia nie kazał jednak – co chętnie pomijają w relacjach liberalne media – wycofania do baz 300 pozostałych żołnierzy chroniących budynki federalne. Nakazał jedynie prezydenckiej administracji, aby zaprzestała używania ich „do egzekwowania prawa".

Wyrok nie jest prawomocny. Wcześniej ten sam sędzia, powołany jeszcze przez Billa Clintona Charles Breyer, wydał nakaz wstrzymania rozmieszczania oddziałów wojskowych na ulicach Los Angeles, który został następnie częściowo zmieniony przez sąd apelacyjny. „Po raz kolejny awanturniczy sędzia próbuje uzurpować sobie prawa naczelnego dowódcy sił zbrojnych do ochrony amerykańskich miast przed przemocą i zniszczeniem" – oznajmiła po tym wyroku rzeczniczka Białego Domu Anna Kelly. To jasny sygnał, że w tej sprawie administracja Trumpa również odwoła się do wyższej instancji.

Mimo protestów lewicowych aktywistów sprzeciwiających się „faszystowskiemu przejęciu Waszyngtonu" i „wojskowej okupacji" w połowie sierpnia prezydent USA wydał rozkaz użycia 2,2 tys. żołnierzy Gwardii Narodowej oraz kilkuset agentów federalnych do zaprowadzenia porządku w amerykańskiej stolicy. Cele żołnierzy: walka z przestępczością, nielegalną imigracją oraz bezdomnością. Donald Trump przekonuje, że choć w Waszyngtonie jeszcze trzy tygodnie temu było „tak samo albo gorzej" niż w Chicago, to już teraz „ludzie mówią, że to w pełni bezpieczna strefa". Według Białego Domu od 7 sierpnia – gdy na ulice stolicy wysłano dodatkowe jednostki – dokonano ok. 1,8 tys. aresztowań. Nieoficjalnie mówi się jednak, że co najmniej połowa z nich dotyczyła zatrzymań nielegalnych imigrantów. W ramach misji „upiększania" Waszyngtonu żołnierze rozmieszczeni przez Trumpa wysprzątali również ze śmieci parki w okolicach najważniejszych turystycznych obiektów w amerykańskiej stolicy (zebrali ponad 0,5 tys. worków).

GUBERNATORZY KONTRA PREZYDENT

Wielu lewicowych aktywistów przekonuje, że gdyby pieniądze wydane na rozmieszczenie żołnierzy na ulicach wydać na poprawę sytuacji życiowej mieszkańców dzielnic najbardziej zagrożonych

eprasa.pl 9920e5187b

przestępczością, to efekt byłby dużo lepszy. Mimo rozbuchanej przestępczości w różnych amerykańskich miastach również gubernatorzy z Partii Demokratycznej są przeciwni rozmieszczaniu żołnierzy w aglomeracjach, których mieszkańcy mają dość gangsterskich porachunków na ulicach. Wśród opozycyjnych polityków, którzy nie chcą, by na ich terenie porządek zaprowadzał amerykański prezydent, są zarówno gubernator stanu Illinois J.B. Pritzker, jak i burmistrz Chicago Brandon Johnson. Obaj ostro protestują, gdy tylko prezydent Donald Trump zapowiada publicznie wysłanie na pomoc w walce z przestępczością agentów federalnych i żołnierzy Gwardii Narodowej.

– Pritzker pilnie potrzebuje pomocy, tylko jeszcze o tym nie wie. Szybko rozwiążę problem przestępczości, tak jak zrobiłem to w Waszyngtonie. Chicago znów będzie bezpieczne, i to wkrótce – obiecywał przed kamerami gospodarz Białego Domu.

– Nie, nie zadzwonię do prezydenta z prośbą o wysłanie wojska do Chicago. Dałem to już jasno wcześniej do zrozumienia – oznajmił w odpowiedzi Pritzker, który pojawił się na konferencji prasowej z burmistrzem Chicago Brandonem Johnsonem. Pochodzący z Kalifornii 60-letni J.B. Pritzker, miliarder i członek Partii Demokratycznej, wie, że prawdopodobnie nigdy nie będzie lepszego momentu, aby zaistnieć na ogólnokrajowej scenie politycznej. Zapowiadane przez Trumpa użycie Gwardii Narodowej określa więc publicznie jako „bezprecedensowe", „nieuzasadnione", „nielegalne", „niekonstytucyjne" i „nieamerykańskie".

ZABÓJSTWA, GWAŁTY, GRABIEŻE

Z kolei Brandon Johnson – czyli burmistrz miasta, w którym tak łatwo zarobić kulkę – oznajmił, że wysłanie Gwardii Narodowej do Chicago może „zaostrzyć napięcia między mieszkańcami a stróżami prawa". Po krwawym weekendzie w swoim mieście Johnson podpisał rozporządzenie wykonawcze zawierające wytyczne i dyrektywy dla miejskich urzędników, wzywające ich do powstrzymania się od współpracy z rządem federalnym. Zarówno Johnson, jak i gubernator Pritzker chwalą się przed kamerami „historycznymi sukcesami w walce z przestępczością". I wskazują, że choć w ubiegłym roku w Chicago było nieco poniżej 600 zabójstw, to w tym roku jak dotąd było ich „zaledwie" 274.

Według statystyk miejskich urzędników liczba morderstw spadła o 30 proc. w porównaniu z rokiem 2024, a liczba strzelanin zmalała o niemal 40 proc. I chociaż oficjalnie jest „najbezpieczniej od dekady", to trzeba jednak zauważyć, że mimo oficjalnego spadku przestępczości i tak w Chicago postrzelonych zostało ponad 1,2 tys. osób, a co najmniej 274 straciły życie. Pod tym względem Chicago wypada gorzej niż Nowy Jork i Los Angeles (chociaż obie te metropolie mają więcej mieszkańców niż Wietrzne Miasto). Jednocześnie nawet według oficjalnych statystyk liczba gwałtów od 2020 r. wzrosła o 27 proc., a napadów – o 17 proc. Wielu mieszkańców wprost mówi jednak, że lepszy obraz w oficjalnych statystykach to nie efekt działań władz, lecz tego, że wielu zdarzeń – zwłaszcza w północnej części Chicago – w ogóle się już nie zgłasza na policję.

Administracja Donalda Trumpa ma dość „postępowej" polityki łagodnego traktowania przestępców

Konsekwentnie przeciwko wysyłaniu wojskowego wsparcia przez Trumpa opowiada się również gubernator Kalifornii. Żaden prezydent nie jest królem – nawet Trump – i żaden prezydent nie może deptać władzy stanu do tego, aby chronić swoich obywateli – ogłosił Gavin Newsom w reakcji na przytoczony wyżej werdykt sędziego z San Francisco. Wystarczy jednak wpisać w wyszukiwarkę słowa „Newsom" i „strzelanina", aby zobaczyć, czy gubernator dobrze wywiązuje się z obowiązków chronienia swoich ludzi. „Kalifornia: strzelanina na festiwalu kulinarnym", „Strzelanina w Monterey Park", „Kalifornia spłynęła krwią. Kolejna strzelanina w stanie" – to tylko przykłady polskojęzycznych tytułów.

Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", wojsko nie zostało jeszcze rozmieszczone na ulicach Chicago. Wątpliwe jest jednak to, aby Donald Trump przejął się utyskiwaniem lewaków i odstąpił od planów zaprowadzania porządku w kolejnych amerykańskich miastach. – Oni opowiadają się przeciwko walce z przestępczością. Walczą z nami – zauważył amerykański prezydent, odnosząc się do oporu „niekompetentnego gubernatora" stanu Illinois, który nie chce pomocy rządu federalnego.

WIĘKSZOŚĆ AMERYKANÓW NIE CHCE ARMII NA ULICACH

Według najnowszego sondażu Yahoo! i YouGov tylko 37 proc. Amerykanów jest za tym, aby Trump wysłał żołnierzy do kolejnych dużych miast. Przeciwnego zdania jest 53 proc. ankietowanych.

Mimo to obecny gospodarz Białego Domu rozważa wysłanie wojska nie tylko do Chicago, lecz także do Baltimore, Nowego Jorku, Nowego Orleanu, Seattle, San Francisco oraz do Portland w stanie Oregon. – To mój obowiązek. To nie jest kwestia polityczna – przekonuje prezydent, choć – na co zwracają uwagę politycy Partii Demokratycznej i przychylne jej media – Trump wojsko chce wysyłać akurat do miast zarządzanych przez demokratów.

Cóż ma jednak zrobić prezydent, skoro – jak pokazuje choćby raport Fundacji Heritage – „postępowa" polityka łagodnego traktowania przestępców doprowadziła do wzrostu liczby morderstw nawet w miastach, w których, choć są położone w tradycyjnie republikańskich stanach, władzę pełnią demokraci? Takim miastem jest np. Nowy Orlean. W tym przypadku pomocy Donalda Trumpa w zaprowadzeniu porządku chciałby gubernator Luizjany Jeff Landry. Demokraci z Nowego Orleanu ostro jednak protestują. „Wprowadzenie wojsk do Nowego Orleanu jest niepotrzebnym pokazem siły, mającym na celu znalezienie rozwiązania problemu, który nie istnieje" – przekonywał członek Rady Miasta Nowego Orleanu Jean-Paul Morrell.

Te argumenty odpierają lokalni konserwatyści, którzy chwalą pozytywne efekty użycia wojska np. w Waszyngtonie. „Mieszkańcy Nowego Orleanu i miliony turystów, którzy tu przyjeżdżają, zasługują na taki sam poziom bezpieczeństwa" – oświadczył kongresmen Steve Scalise, którego okręg obejmuje konserwatywne dzielnice w pobliżu Nowego Orleanu.

Spór w Luizjanie – i w innych miejscach – prawdopodobnie rozstrzygnąć będzie musiał Sąd Najwyższy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9920e5187b

Między arbitrażem a utratą wpływów



Krystian Kamiński

Ostatnie napięcia w relacjach Rosji z Azerbejdżanem unaoczniły narastające trudności Moskwy w utrzymaniu wpływów na Kaukazie Południowym

Zacznijmy od tego, że w wymiarze historycznym Rosja obecna była na południowym Kaukazie od 1828 r., kiedy po zwycięstwie nad Imperium Perskim osiągnęła rzekę Araks, zajmując terytorium obecnej Armenii i resztę terytorium obecnego Azerbejdżanu. Klęska w pierwszej wojnie światowej zarówno Imperium Rosyjskiego, jak i osmańskiego, rewolucja i wojna domowa w Imperium Rosyjskim stworzyły krótkie okno dla niepodległościowych prób, zakończonych do 1921 r. włączeniem w skład systemu sowieckiego, od 1922 r. skonsolidowanego jako ZSRS.

OJCIEC NARODU Z RODOWODEM W KGB

Sowietyzacji nie należy postrzegać w kategoriach starego rosyjskiego imperializmu pomalowanego czerwoną farbą. W istocie bolszewizm miał na Kaukazie wielu zwolenników, okres niepodległości okazał się trudnym czasem krwawych walk etnicznych, a w ZSRS, inaczej niż w dawnym Imperium Rosyjskim, etnosom kaukaskim pozostawiono fasadę podmiotowości administracyjnej w postaci republik różnego szczebla. Na poziomie polityki kulturalnej i językowej otrzymały one pewne narzędzia konserwowania tożsamości narodowej (szczególnie uprzywilejowana była pod tym względem Gruzińska SRS – miejsce pochodzenia Stalina), dlatego rozpad ZSRS w tym regionie był niemal eksplozją – błyskawiczną i pełną etnicznych napięć. Dawni pierwsi sekretarze, zawsze pochodzący z miejscowych etnosów, z łatwością przedzierzgnęli się w budowniczych niepodległych państw.

Jednym z nich był Hejdar Alijew, który rozpoczął służbę w strukturach bezpieczeństwa podległych NKWD w 1941 r., by potem piąć się po szczeblach hierarchii bezpieki w swojej republice, szkolić się w Moskwie i Leningradzie, zaliczyć zadania oficera wywiadu w kilku ambasadach, by przejść do bezpośredniej działalności politycznej. Alijew został pierwszym sekretarzem KC Komunistycznej Partii Azerbejdżanu w latach 1969–1982, a potem trafił do samego Centrum – został członkiem Biura Politycznego KPZR (1982–1987) – kilkunastoosobowej grupy rządzącej Związkiem Sowieckim. W okresie rozkładu czerwonego imperium Alijew okopał się w rodzinnej eksklawie nachiczewańskiej (kawałek Azerbejdżanu oddzielony od głównego jego terytorium armeńską prowincją Sjunik), skąd wrócił triumfalnie do Baku w 1993 r., obejmując władzę po okresie kompletnego chaosu, który kosztował jego rodaków przegraną wojnę z Ormianami o Górski Karabach.

Doświadczenie wyniesione ze służb bezpieczeństwa Alijew przekuł w fundament autorytarnego systemu władzy. System władzy był tak skonsolidowany, że w 2003 r., mimo śmiertelnej choroby serca, Alijew nawet z łóżka szpitalnego w USA zdołał przekazać społeczeństwu, że wycofuje się z wyborów prezydenckich na rzecz syna – Ilhama – i wzywa do głosowania na niego. Tak wysoki poziom konsolidacji władzy w ręku jednostki i brak miejsca dla opozycyjnych sił politycznych czy mediów jest jedną z przyczyn tego, że możliwości wpływu Rosji w Azerbejdżanie były mniejsze niż w Gruzji czy Armenii.

ZWYCIĘSKIE ZAKOŃCZENIE WOJNY KARABASKIEJ

Drugim czynnikiem była zasobność Azerbejdżanu w ropę naftową i gaz ziemny. Kaukaskie państwo posiada zasoby gazu oceniane na 2 bln m sześc. Potwierdzone zasoby ropy naftowej to 1,9 mld ton. W 2024 r. na przemysł wydobywczy przypadało 64,3 proc. całej produkcji przemysłowej Azerbejdżanu. W 2022 r. na ropę i gaz przypadało 92 proc. wartości całości azerbejdżańskiego eksportu. Co ważne, Baku jest połączone z rynkiem europejskim Gazociągiem Południowo-kaukaskim (SCP), który przez terytorium Gruzji przesyła surowiec do granicy z Turcją, skąd – za pośrednictwem Gazociągu Transanatolijskiego (TANAP) – dociera ona do Unii Europejskiej. Zgodnie z niedawnym porozumieniem z Komisją Europejską Azerbejdżan ma dostarczać do UE po 20 mld m sześc. gazu rocznie, co jednak może się okazać dla kraju

eprasa.pl 9920e5187b

sporym wyzwaniem, ze względu na inne zobowiązania. Szczególnie surowcowa bonanza pierwszej dekady XXI w. zamieniła budżet Azerbejdżanu w machinę finansową umożliwiającą intensywne zbrojenia. Już na progu kolejnej dekady same wydatki wojskowe przekraczały wartość całego budżetu Armenii.

Dopiero na tym tle powinniśmy rozpatrywać to, co działo się w ostatnich latach. Przełomem okazało się zajęcie przez Azerbejdżan Górskiego Karabachu i rejonów wokół niego, zniszczenie panującej nad tym obszarem, de iure częścią azerbejdżańskiego terytorium, rozwiązanie funkcjonującej tam nieuznawanej Republiki Arcachu zamieszkanej przez Ormian. Wpływy Rosji przez trzy dekady wynikały z wygodnej pozycji arbitra w tym konflikcie. Jeszcze po pierwszej zwycięskiej kampanii Azerbejdżan (tak, to bardziej prawidłowe wyrażenie niż „Azerów" – kalka z angielszczyzny nielubiana przez samych zainteresowanych), po której w ręku Ormian pozostały już tylko dwie trzecie ścisłego terytorium Republiki Arcachu, Rosja zdołała przeforsować wprowadzenie na jej terytorium swojego kontyngentu pokojowego. Jednak po znaczącym zaangażowaniu Rosji w wojnę na Ukrainie Azerbejdżanie nie zamierzali oglądać się i na ten kontyngent. We wrześniu 2023 r. przypuścili szturm na resztkę Arcachu, a przy okazji jego zniszczenia zginęło pięciu żołnierzy rosyjskiego kontyngentu.

KALKULACJE MAŁE I DUŻE

Rosja przez lata godziła się z podmiotową polityką Azerbejdżanu, traktując relacje z nim pakietowo, jako część agendy stosunków z Turcją – potencjalnym rywalem, którego uważa zarazem za perspektywicznego partnera w znacznie ważniejszej dla niej rywalizacji z USA i ich sprzymierzeńcami. Dlatego, a później także ze względu na koncentrację sił na wojnie z Ukrainą, nie interweniowała znacząco, gdy Alijew przeszedł od przywrócenia kontroli Baku nad Górskim Karabachem do kwestionowania międzynarodowo uznanych granic Armenii właściwej. Ostrzały artyleryjskie jej terytorium i rajdy na pograniczu kosztujące życie ormiańskich żołnierzy, do których dochodziło szczególnie w latach 2021–2023, były naruszaniem suwerenności formalnego sojusznika Rosji.

Poza wyżej wspomnianą kalkulacją z najwyższego poziomu geopolitycznego Moskwa chciała też ukarać premiera Armenii Nikola Paszyniana za dystansowanie się od niej i próby prozachodniego zwrotu. Jednak nie przyniosło to Rosjanom oczekiwanych skutków. Apetyty i asertywność polityczna w Azerbejdżanie tylko rosły, a Paszynian idzie już na, wyglądającą na desperacką, próbę uzyskania gwarancji bezpieczeństwa od Zachodu i pacyfikacji relacji z panturecką osią Baku-Ankara za cenę ustępstw. Nadzieje Władimira Putina na zarządzanie Kaukazem Południowym w ramach stabilnego partnerstwa z Recepem Tayyipem Erdoğanem się nie ziściły. Turcja wykorzystuje Azerbejdżan jako taran swoich interesów, a sam Alijew nie ma nic przeciwko temu, ponieważ uznaje swoje interesy za zbieżne z agendą turecką. Panturecka oś forsuje te interesy.

Możliwe zatem, że nadchodzi era, w której Moskwa będzie musiała przedefiniować swoje ambicje na Kaukazie – rezygnując z roli dominatora, a próbując odnaleźć się jako jeden z wielu uczestników gry regionalnej

UDERZENIE W DIASPORĘ

W tym kontekście konflikt był kwestią czasu. W grudniu 2024 r. rosyjska obrona przeciwpowietrzna uszkodziła nad Czeczenią samolot azerbejdżańskich linii. Choć był to najpewniej ostrzał przypadkowy (w momencie ukraińskiego ataku dronowego na Czeczenię), to samolot, nie mogąc lądować w Rosji, rozbił się już po drugiej stronie Morza Kaspijskiego, na wybrzeżu Kazachstanu. Zginęło 38 pasażerów z 67. Rosja, osobiście Putin, przeprosiła za incydent, ale przez sfery polityczne i media Azerbejdżanu przetoczyła się gniewna reakcja, tym bardziej że w Rosji nikt nie został pociągnięty do odpowiedzialności za tragiczne wydarzenie. Relacje zostały poważnie zakwaszone.

27 czerwca w Jekaterynburgu zatrzymano ponad 50 członków diaspory azerskiej. Dwóch obywateli pochodzenia azerskiego – Zijaddin i Husajn Safarow – zmarło, a kilku innych trafiło do szpitala. Rosjanie twierdzą, że Safarowie zmarli na serce. Wydali ciała stronie azerbejdżańskiej. Jej komisja lekarska orzekła śmierć na skutek bicia. Prokuratura Generalna Azerbejdżanu wszczęła postępowanie karne z paragrafu mówiącego o „zabójstwie z premedytacją i ze szczególnym okrucieństwem dwóch osób".

Na reakcję nie trzeba było długo czekać. 30 czerwca azerska policja przeprowadziła nalot na biuro rosyjskiej państwowej agencji Sputnik w Baku. 1 lipca zatrzymano kolejne z osób pracujących dla tej samej redakcji. Powód – nielegalne prowadzenie działalności medialnej. 3 lipca sąd zwolnił pięć osób posiadających obywatelstwo Azerbejdżanu, zakazując im opuszczania terytorium państwa, natomiast dwóch przyjezdnych z Rosji pozostawiono w areszcie. Pojawiły się oskarżenia o to, że w istocie są agentami Federalnej Służby Bezpieczeństwa.

1 lipca w Azerbejdżanie aresztowano jeszcze jedną grupę Rosjan, jako podejrzanych o przemyt narkotyków z Iranu i handel nimi przez Internet. Mieli to być 40-letni przedsiębiorca Anton Draczow, który w Baku prowadził pralnię chemiczną, 30-letni Dmitrija Bezugłyj – były informatyk Yandexu i Vkontakte, który emigrował z Rosji w 2022 r. z obawy przed mobilizacją do wojska – oraz przybyły niedawno do Baku Aleksandr Bajsero. Azerbejdżańscy funkcjonariusze nagrali, jak poddają zatrzymanych upokarzającej mustrze. Zatrzymani Rosjanie mieli widoczne siniaki na twarzach i ubraniach oraz ślady krwi.

Moskwa odpowiedziała zatrzymaniami prominentnych przedstawicieli azerbejdżańskiej diaspory. Ostatnio – Elzana Ibragimowa. Choć mieszkał w Rosji od trzech dekad i miał powiązania z gubernatorem obwodu moskiewskiego, to został 4 lipca ekspresowo pozbawiony obywatelstwa Rosji i deportowany do ojczyzny. Wskazuje to na lewary, których Moskwa może użyć w celu uderzenia w Azerbejdżan.

eprasa.pl 9920e5187b



Hejdar Alijew, I sekretarz KC Komunistycznej Partii Azerbejdżanu w latach 1969–1982, prezydent Azerbejdżanu w latach 1993–2003

FOT. DOMENA PUBLICZNA

W Rosji żyje co najmniej pół miliona etnicznych Azerbejdżan i znacznie więcej imigrantów z kaukaskiego państwa nieuchwytnych w rosyjskim spisie ludności. Jest to diaspora hermetyczna, solidarna, zhierarchizowana, która w rosyjskich metropoliach i niektórych regionach odgrywa poważną rolę w handlu detalicznym – nie tylko jako kramarze, lecz także właściciele wielkich targowisk. Nietrudno się domyślić, że pozycja ta była utwierdzana w trudnych latach 90. i w związku z tym rosyjscy Azerbejdżanie wytworzyli swoją przestępczość zorganizowaną. Zarazem liderzy diaspory umiejętnie nawiązywali przez lata relacje z władzami lokalnymi i regionalnymi.

Bracia Safarow wywodzili się właśnie z takich mętnych kręgów. Podejrzani byli o zabójstwa z latach 2001 i 2011. Nie przesądzając o ich winie, byli to ludzie z „błatnych" sfer. Zarazem dziwny zbieg okoliczności, że sprawy sprzed dekad wracają właśnie teraz – jak na zamówienie polityczne. Jeśli rosyjskie władze będą kontynuować proceder wyłapywania i deportowania gangsterów i biznesmenów podejrzanego autoramentu na większą skalę, to może to stworzyć problem dla władz Azerbejdżanu.

Jego władze jednak na razie manifestują swoją twardość. Miesiąc temu Alijew udzielił wywiadu znanemu ukraińskiemu dziennikarzowi Dmytrowi Gordonowi, radząc Ukraińcom, by „nigdy nie godzić się z okupacją". Przez mniej oficjalne rosyjskie kanały informacyjne przetoczyła się fala spekulacji o możliwym konflikcie zbrojnym z Azerbejdżanem.

Jeszcze ostrzejsza i bardziej intensywna narracja przeciw Rosji była upowszechniana w azerbejdżańskich mediach. Rosjan oskarżano o imperializm i brak szacunku historycznego.

PRZEKOMBINOWANIE

Cały rozwój wydarzeń wskazuje, że rosyjska próba jednoczesnej gry na kilku frontach (partnerstwa z Turcją, wpływów w Azerbejdżanie, kontroli nad Armenią) nie okazała się skuteczna. Każdy z kierunków zaczyna żyć własnym życiem – i to nie po myśli Kremla. Poza jednym. Tylko bezpośrednio sąsiadująca z Rosją Gruzja zmieniła kurs na bardziej pojednawczy i obliczony na uwzględnianie rosyjskich interesów. O jej wadze stanowi jednak fakt, że to jej terytorium jest dla azerbejdżańskich surowców pierwszą bramą do rynku europejskiego.

Czy Moskwa jest w stanie skompensować geopolityczne straty bardziej wyrafinowaną grą dyplomatyczną i regionalnym pragmatyzmem? Rosja uporczywie trzymała się polityki arbitra i brokera, rozgrywającego, w dystansie do wszystkich stron ich stanowiska i między nimi forsująca swoje interesy. Takie rekomendacje zarysował Timofiej Bordaczow z Klubu Wałdajskiego w emblematycznych już tekście „Ostatnie imperium i jego sąsiedzi" z 2021 r. Powstaje pytanie, czy taka skrajnie unilateralna polityka Rosji, kompromitująca wielostronne formaty, które od dekad animowała (w przypadku polityki kaukaskiej szczególnie Organizację Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym), przyniesie powodzenie wobec osi panturecckiej, a szerzej – wobec ciągle jeszcze działającego blokowo Zachodu.

Rosja miała wcześniej skuteczne lewary zarówno na Turcję, jak i na Azerbejdżan – utrzymując silną pozycję w Syrii, współpracując z Ankarą w trójstronnym formacie astańskim (z udziałem Iranu), a także rozgrywając konflikt karabaski w roli dominującego arbitra. Dziś jednak te instrumenty straciły na znaczeniu. W Syrii Baszara al-Asada już nie ma, nie istnieje już Republika Arcachu, a Iran – wypychany z przestrzeni wpływów przez izraelskie kampanie militarne i operacje specjalne – znalazł się w defensywie. Tymczasem Azerbejdżan zacieśnia współpracę z Izraelem, który odegrał znaczącą rolę w sukcesie militarnym Baku.

Antagonizm armeńsko-azerbejdżański nie ograniczał się do kwestii karabaskiej. Począwszy od 2021 r., żołnierze Baku zaczęli wkraczać na uznawane międzynarodowo terytorium Armenii, dochodziło do ostrzałów przez granicę, która notabene do tej pory nie jest w pełni delimitowana. Daje to Moskwie pole do gry. Na razie jednak Donald Trump próbuje uzyskać w nim przewagę.

WEJŚCIE TRUMPA

Odprawił on na Kaukaz swojego wysłannika do wszystkiego Steve'a Witkoffa, a efektem tej misji było „porozumienie" z 10 sierpnia podpisane w Waszyngtonie przez gospodarza, prezydenta Azerbejdżanu Ilhama Alijewa i premiera Armenii Nikoła Paszyniana. Choć dokument w istocie jest bardziej memorandum intencyjnym niż traktatem, to intencje te wiodą ku radykalnemu osłabieniu pozycji Moskwy, zakładając m.in. całkowite wykluczenie z granicy armeńsko-azerbejdżańskiej jakichkolwiek sił stron trzecich. Do tej pory strzegli jej m.in. rosyjscy strażnicy podlegający FSB.

W dodatku Trump dąży do objęcia przez amerykański podmiot praktycznej kontroli nad magistralą transportu towarów, energii, informacji, która ma połączyć główne terytorium Azerbejdżanu z jego nachiczewańską eksklawą przez południowoarmeński region Sjunik. Nie tylko dawałoby to Waszyngtonowi jeszcze bardziej efektywne narzędzie kontrolowanie relacji armeńsko-azerbejdżańskich i relacji obu państw z Turcją, jako kolejnym aktorze żywotnie zainteresowanym w korzystaniu z tej magistrali. Zarazem taki korytarz zarządzany przez Amerykanów przeciąłby w poprzek południkowy szlak komunikacji lądowej przez Kaukaz ważny dla relacji rosyjsko-irańskich.

W takiej konfiguracji Rosji coraz trudniej utrzymać pozycję arbitra i gwaranta bezpieczeństwa. Możliwe więc, że nadchodzi era, w której Moskwa będzie musiała przedefiniować swoje ambicje na Kaukazie – rezygnując z roli dominatora, a próbując odnaleźć się jako jeden z wielu uczestników gry regionalnej. Pytanie tylko, czy rosyjskie elity polityczne są gotowe na taką zmianę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9920e5187b



Maciej Pieczyński

Kto zastrzelił Parubija

Zabójca znanego polityka twierdzi, że chciał się zemścić na władzach w Kijowie. Wszystko wskazuje jednak na to, że działał na zlecenie Rosjan, którzy obiecali w zamian wydanie ciała poległego syna. Zamach na byłego przewodniczącego Rady Najwyżej Ukrainy to kolejna nad Dnieprem egzekucja wykonana przez Ukraińca, ale najprawdopodobniej na zlecenie Kremla



Ceremonia pogrzebowa Andrija Parubija w archikatedralnym soborze św. Jura we Lwowie, 30 sierpnia 2025 r.

FOT. OLEKSANDR MAGULA/AFP/EAST NEWS

W ostatnią sobotę sierpnia znany ukraiński polityk Andrij Parubij został zastrzelony pod własnym domem we Lwowie. Wracał z siłowni. Zabójca podjechał pod dom ofiary rowerem elektrycznym. Udawał dostawcę jedzenia. Oddał siedem strzałów w plecy polityka. Parubij zmarł, zanim jeszcze przyjechała karetka pogotowia. Już w nocy z niedzieli na poniedziałek Wołodymyr Zełenski poinformował o zatrzymaniu sprawcy. Jest nim 52-letni mieszkaniec Lwowa Mychajło Scelnikow. Przyznał się do winy.

Syn Scelnikowa walczył na froncie. W 2023 r. zaginął bez wieści pod Bachmutem. Informacji na temat jego losu ojciec szukał w rosyjskich mediach społecznościowych. Tak wszedł w kontakt z kremlowskimi służbami. W zamian za wykonanie egzekucji na Parubiju Rosjanie obiecali zwrot ciała poległego syna. Taką wersję wydarzeń, powołując się na swoje źródła, podało Radio Swoboda. Scelnikow już 2 września stanął przed sądem. Jeszcze przed rozprawą otwarcie rozmawiał z dziennikarzami. Potwierdził, że zabił. Potwierdził również, że chce odnaleźć ciało swojego poległego syna. Dlatego ma nadzieję, że zostanie wymieniony na ukraińskich jeńców i trafi do Rosji. Jednocześnie zaprzeczył wersji o współpracy z kremlowskimi służbami. „To moja osobista zemsta na ukraińskiej władzy" – mówił. Na celną uwagę jednego z dziennikarzy, że przecież zastrzelony polityk był działaczem opozycji, Scelnikow nie zareagował. Na pytanie, dlaczego akurat Parubij, odpowiedział: „Parubij był obok. Gdyby był Pietia, byłby Pietia". Zabójca sam więc sobie zaprzeczał. Albo chodziło o zemstę (nie wiadomo za co – tego Scelnikow nie uściślił) na ukraińskiej władzy (której Parubij nie był przedstawicielem), albo o zabicie jakiegokolwiek Ukraińca (i tak „przypadkiem" się złożyło, że zginął znany polityk). Nie ma oczywiście sensu wierzyć podejrzanemu na słowo – jeśli rzeczywiście podjął współpracę z rosyjskimi służbami, żeby odzyskać ciało syna, to trudno sobie wyobrazić, że zaryzykowałby wydanie swoich mocodawców.

LEGENDA UKRAIŃSKIEJ POLITYKI

Sam Scelnikow przez 19 lat zajmował się biznesem. Ma długi podatkowe i dwie byłe żony. Pierwsza z nich – zarazem matka poległego syna – przemówiła w dniu rozprawy. W rozmowie z portalem Obozrevatel oskarżyła byłego męża o to, że jest winny śmierci dwóch osób, bo doprowadził do śmierci ich dziecka. Kiedy dziennikarze zadzwonili do drugiej żony zabójcy, miała ponoć odmówić komentarza w taki sposób: „Teraz nie jestem gotowa. Idę na pogrzeb Andrija Parubija. Nie chcę komentować. Później, jednym słowem".

Parubij był legendą ukraińskiej polityki, a zarazem jednym z liderów neobanderowskiego nacjonalizmu i bezkrytycznym orędownikiem kultu OUN-UPA. Nigdy nie potępił ludobójstwa wołyńskiego. Rocznik 1971. Urodził się w Czerwonohradzie w obwodzie lwowskim. Pochodził z rodziny o typowych dla Galicji korzeniach i doświadczeniach. Jego dziadek służył w wojskach hetmana Pawła Skoropadskiego, później brał udział w walkach z Polakami o Lwów. Stryjowie Parubija zaciągnęli się do UPA, za co cała rodzina trafiła na Syberię. W 1991 r. Parubij wraz z Ołehem Tiahnybokiem zakładał Narodowo-Socjalistyczną Partię Ukrainy (od 2004 r. Wszechukraińskie Zjednoczenie Swoboda). Podczas pomarańczowej rewolucji był komendantem Domu Ukraińskiego w Kijowie. Od 2007 r. czterokrotnie zdobywał mandat deputowanego do Rady Najwyższej, za każdym razem startując z list innej partii. Był parlamentarzystą m.in. Batkiwszczyny Julii Tymoszenko. Zginął jako deputowany do parlamentu z ramienia Solidarności Europejskiej Petra Poroszenki. W 2010 r. bronił na forum międzynarodowym decyzji ówczesnego prezydenta Wiktora Juszczenki o przyznaniu Stepanowi Banderze tytułu Bohatera Ukrainy. Podczas rewolucji godności był koordynatorem kijowskiego euromajdanu. Gdy Janukowycz uciekł z kraju, Parubij

eprasa.pl 9920e5187b

kierował akcją przejęcia budynków rządowych. Po zwycięstwie rewolucji przez kilka miesięcy był szefem Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony. W latach 2016–2019 pełnił funkcję przewodniczącego Rady Najwyższej.

Wróćmy do samego zamachu. Wiadomo na pewno, że za spust pociągnął Ukrainiec, który chciał od Rosjan odzyskać ciało syna poległego na froncie. Można oczywiście spekulować, czy nie był to wyrok wykonany w ramach wewnętrznych porachunków w świecie ukraińskiej polityki. Jest to jednak wersja mało prawdopodobna. Parubij szczyt kariery miał za sobą. W ostatnich latach niewiele znaczył, choć miał legendarne nazwisko. Zełenski nie mógł traktować go jako poważnego rywala – Parubij nie był nawet brany pod uwagę w sondażach zaufania czy poparcia dla polityków. Jako legenda obu majdanów i zadeklarowany ukraiński nacjonalista mógł być raczej celem dla Kremla.

Szczególnie że nie jest to pierwszy przypadek po 24 lutego 2022 r., gdy na Ukrainie ginie w zamachu działacz, funkcjonariusz państwowy albo polityk zasłużony na froncie walki z rosyjskimi wpływami. Niecałe dwa miesiące temu, również w biały dzień, również pod własnym domem, tyle że w Kijowie, zastrzelony został pułkownik SBU Iwan Woronycz. „Ukraińska Prawda" opublikowała nagranie wideo, na którym widać, jak zamaskowany sprawca podbiega do wychodzącego z bloku oficera i oddaje z bliska pięć strzałów z pistoletu z tłumikiem. Dosłownie w tym samym momencie po drugiej stronie wąskiej ulicy przechodzi młoda kobieta. Na widok egzekucji zaczyna uciekać. Sprawca po chwili również biegnie – w tym samym kierunku. Pułkownik Woronycz zginął na miejscu. Według oficjalnej wersji został zabity na rozkaz Moskwy. Trzy dni później SBU przeprowadziła operację specjalną, likwidując agentów rosyjskich, którzy stali za zamachem. Do oficjalnych komunikatów służb, szczególnie w kraju prowadzącym wojnę, należy podchodzić ostrożnie. O ile jednak Parubij był jedynie symbolem antyrosyjskiego oporu, bez realnego wpływu na bieżącą sytuację, o tyle Woronycz bardzo konkretnie dał się we znaki Moskwie. Rosjanie mieli go za co zabić. Rocznik 1974. W służbach od roku 1998. Kierował tzw. V Dyrekcją w SBU, wspieraną technicznie przez amerykańską CIA komórką odpowiedzialną za operacje specjalne. W tym za zamachy na przywódców separatystycznych, takich jak Arsen Pawłow ps. Motorola. Jak informował „New York Times", zastrzelony oficer odegrał kluczową rolę w ataku Ukraińców na obwód kurski. Były funkcjonariusz SBU Roman Czerwinski napisał w mediach społecznościowych, że Woronycz „stwarzał Rosjanom wiele kłopotów" i dlatego musiał zginąć. Rzeczywiście trzeba przyznać, że o ile na froncie regularnych działań wojennych agresor powoli, ale jednak posuwa się naprzód, o tyle na froncie działalności dywersyjnej Kijów dotychczas bił Moskwę na głowę. Po 24 lutego 2022 r. to Ukraińcom udawało się częściej atakować Rosjan na ich tyłach niż odwrotnie. Kijów rękami SBU czy HUR (Główny Zarząd Wywiadu) likwidował zdrajców Ukrainy i ważnych rosyjskich oficerów daleko za linią frontu. Tymczasem służby Moskwy wydawały się dość nieudolne. Jeśli rzeczywiście (a w zasadzie wszystko na to wskazuje) to Rosjanie zabili Woronycza, to był to jeden z niewielu, za to bardzo istotny i spektakularny sukces kremlowskich służb.

ODMAWIANIE PATRIOTYZMU

W marcu 2025 r. w jednym z odeskich parków zginął od kuli znany ukraiński działacz nacjonalistyczny Demjan Hanuł. Już kilka godzin później policja zatrzymała podejrzanego – 46-letniego dezertera Serhija Szałajewa, który odbywał służbę w obwodzie odeskim, wyszedł na przepustkę i nie wrócił do jednostki. Jak wynika z ustaleń śledztwa, zdezerterował specjalnie po to, żeby zyskać czas na przygotowanie zamachu. Śledczy wzięli pod uwagę trzy wersje: zabójstwo na zlecenie, zorganizowane przez rosyjskie służby specjalne, egzekucję z powodu działalności społecznej zabitego oraz osobiste porachunki. Ostatni wariant uznano od razu za najmniej prawdopodobny, bo zabójca i ofiara nie byli znajomymi. Hanuł urodził się w 1993 r. W czasie rewolucji godności został liderem Prawego Sektora w Odessie. Brał udział w zamieszkach w tym mieście 2 maja 2014 r. Doszło wówczas, jak wiadomo, do regularnych walk ulicznych między zwolennikami Kijowa a stronnikami Moskwy. Prorosyjscy demonstranci wycofali się do Domu Związków Zawodowych, który został podpalony przez ukraińskich nacjonalistów. W pożarze zginęło 48 osób. Ta tragedia nie została do końca wyjaśniona, a winni nie zostali ukarani. Akurat w tym wypadku kremlowska propaganda nie musiała się w ogóle wysilać, żeby pokazać, że „kijowska junta" ma krew na rękach. Udział Hanuła w odeskich wydarzeniach nie był jedynym powodem, dla którego Moskwa mogła chcieć go zlikwidować. 4 listopada 2021 r., w Dniu Jedności Narodowej Rosji, aktywista przyniósł pod konsulat rosyjski w Odessie trumnę z napisami „Ładunek 200" (tak w żargonie wojskowym określa się poległego żołnierza) oraz „Rosjanie jadą do domu". Hanuł był też inicjatorem demontażu pomników sowieckich w regionie. W lipcu 2022 r. złożył do prezydenta Ukrainy petycję z prośbą o likwidację pomnika feldmarszałka Aleksandra Suworowa w Odessie. Co znamienne, nie udało mu się zebrać niezbędnej liczby podpisów, ale sprawa stała się na tyle głośna, że władze miejskie same postanowiły monument zdemontować.

O ile na froncie regularnych działań wojennych agresor powoli, ale jednak posuwa się naprzód, o tyle na froncie działalności dywersyjnej Kijów dotychczas bił Moskwę na głowę

Parubij to drugie głośne zabójstwo we Lwowie po inwazji rosyjskiej. W lipcu 2024 r. zastrzelona została znana nacjonalistka, wieloletnia działaczka Swobody, Iryna Farion. Zatrzymany 18-letni Wiaczesław Zinczenko nie przyznał się do winy. Mocodawców, jak zwykle, nie ustalono ze 100-procentową pewnością. Farion słynęła z radykalizmu w obronie języka ukraińskiego. Rosyjskojęzycznych Ukraińców nazywała śmieciami, zdrajcami, janczarami, kacapami. Odmawiała patriotyzmu nawet mówiącym po rosyjsku żołnierzom „Azowa". Zemsta z ich strony była jednym z poważnie rozpatrywanych motywów. Rosyjski ślad też nie był wykluczony.

Wszystkie ofiary zamachu łączą radykalnie antyrosyjskie poglądy. To nie oznacza, że na 100 proc. zginęli na zlecenie Moskwy, bo również wielu Ukraińców miało ich (może z wyjątkiem Woronycza) dosyć. Ale na pewno ich śmierć Moskwę cieszy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9920e5187b



FOT. SEBASTIAN WILLNOW/DPA/AFP/EAST NEWS

UCIECZKA DO ROSJI?

Aktywista polityczny Sven Liebich uchodził za czołową postać ruchów neonazistowskich w Niemczech. Miał odbywać karę półtora roku więzienia za podżeganie do nienawiści, ale nie stawił się w zakładzie karnym. W tym czasie – kiedy toczyły się kolejne rozprawy w jego sprawie – „zmienił płeć" i zażyczył sobie ewentualnego odsiadywania wyroku razem z kobietami. Teraz nazywa się Marla Svenja-Liebich. Ostatnio oznajmił na X, że przebywa w Rosji, a więc w państwie oskarżanym przez zachodnich progresistów o transfobię.

GŁOWA W RURZE

Istny horror przeżył 40-letni mężczyzna, który utknął w rurze do zjeżdżania. Do zdarzenia doszło na placu zabaw szkoły podstawowej w Vernon w stanie Connecticut. Na pomoc ruszyły policja, pogotowie ratunkowe i straż pożarna. Mężczyzna był wciśnięty głową w środek osuwiska i z powodu wysokiej temperatury powietrza, zaczął się dusić. Podano mu więc tlen i uruchomiono wentylację, żeby ochłodzić wnętrze rury. Zjeżdżalnię trzeba było rozcinać. Akcja zakończyła się sukcesem.

NIELEGALNE ZOO

Ponad 150 dzikich zwierząt z 56 gatunków znaleziono w nielegalnym zoo w gminie Nules (Hiszpania). Policję zainteresowało pewne ogłoszenie w Internecie. Zawierało ono ofertę sprzedaży zwierząt z gatunków, które są chronione. Stróże prawa dotarli do filmów przedstawiających mężczyznę w towarzystwie lampartów, sów, lam i ibisów. W tej sprawie jest dwóch podejrzanych – oskarżeni są o handel gatunkami chronionymi i ich przemyt.

DEKONSPIRACJA

W Lutz na Florydzie, w ogrodzie prywatnej posiadłości, rozbił się dron. Była do niego przymocowana torba, w której znajdowały się fentanyl i metamfetamina. Okazało się, że drona użyto do transportu narkotyków. Jego właściciel, chcąc odzyskać swoją zgubę i kontynuować proceder, zgłosił się niezwłocznie do gospodarzy ogrodu. Tym samym się zdekonspirował. Z pilotem w ręku został zatrzymany przez policję. Był już zresztą w przeszłości karany.

DZIKI JAK KOTY

Zwierzęta sieją spustoszenie przed centrum handlowym i hotelem w Fuengiroli (Hiszpania). Konkretnie chodzi o dziki. Zniszczyły one teren, nie zważając na ruch samochodów, które przemieszczają się po pobliskiej autostradzie. Mieszkańcy miasta są podzieleni w opiniach dotyczących przyczyn tej sytuacji. Jedni uważają, że problem tkwi w rozbudowie infrastruktury turystycznej, która ogranicza naturalne siedliska dzików, inni wskazują, że zwierzęta te są dokarmiane przez ludzi jak koty. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Złoty schron inwestorów

Ceny złota we wtorek wzrosły do rekordowego poziomu 3578,20 dol. za uncję (czyli za 31,103 g). Tym samym królewski kruszec ustanowił nowy rekord, przebijając ostatni szczyt z kwietnia obecnego roku.

Od stycznia złoto zdrożało o ponad jedną trzecią. Od początku 2023 r. ceny złotego kruszcu wzrosły zaś już niemal dwukrotnie. W ślad za złotem podąża również srebro (wyceniane najdrożej od 14 lat).

I chociaż tak drogo złoto nie kosztowało jeszcze nigdy w historii, to kupujących wcale nie brakuje. Inwestorzy w złocie od wieków szukają bowiem schronienia dla majątku przed wojnami, pandemiami, zawirowaniami na rynkach finansowych, a obecnie przed rosnącymi napięciami geopolitycznymi, skutkami ceł oraz cięć stóp procentowych przez Fed, a także przed mocno osłabionym dolarem, który przez ataki Donalda Trumpa na niezależność banku centralnego dużo rzadziej postrzegany jest jako bezpieczna przystań.

Bankierzy z Goldman Sachs prognozują więc, że do połowy przyszłego roku uncja podrożeje co najmniej do 4 tys. dol.

Popyt podsycają zakupy dokonywane przez banki centralne. Dobra wiadomość – zwłaszcza dla tych, którzy w bankowej skrytce lub plecaku ucieczkowym nie ukryli złotych monet – jest taka, że jeszcze w 2024 r. wielkie zakupy złota zrobił NBP (89,5 t). Według stowarzyszenia World Gold Council Polska była w gronie największych nabywców złota na świecie (obok Chin, Indii, Turcji). W tym roku Polska ma już ponad 515 t złota, czyli więcej, niż posiada np. Europejski Bank Centralny. A im więcej złotych sztabek w skarbcu, tym stabilniejszy powinien być też polski złoty. ©℗

eprasa.pl 9920e5187b



PROSTO ZYGZAKIEM

Zagadka 100 mln zł

PIOTR GABRYEL

W sierpniu 2025 r. w przestrzeni publicznej pojawiła się niezwykle zagadkowa historia, którą „odpalił" portal tvn24.pl. „Odpalił" pod tajemniczym, choć nie aż tak znów mało mówiącym czy raczej suponującym tytułem: „Zakupy z Korei za miliardy i tajemnicza spółka. Jest śledztwo, badają faktury". Grubo, prawda?

Z artykułu, opatrzonego zdjęciem czołgów K2 i samobieżnych haubic K9, czyli – jak głosi podpis pod nim – „produktów południowokoreańskiej zbrojeniówki na defiladzie", dowiedzieć się możemy, że „prokuratura, kontrwywiad i służby skarbowe prześwietlają tajemniczą spółkę, na której konta trafiło niemal 100 mln zł od koreańskiego koncernu zbrojeniowego, w ślad za umowami na dostawę [do Polski – przyp. P.G.] uzbrojenia o wartości miliardów złotych. Śledztwo ruszyło w czerwcu i dotyczy podejrzenia fałszowania faktur, za co grozi nawet 25 lat więzienia".

Jak przypomina tvn24.pl, pierwsze umowy na zakup broni z Korei Południowej, czyli oprócz wspomnianych czołgów K2 i samobieżnych haubic K9, także samoloty FA-50, podpisywano w 2022 r. – za rządów PiS, a kolejne, w tym te dotyczące polonizacji koreańskich czołgów całkiem niedawno – za rządów Platformy i PSL. A całość zamówienia opiewa już na niemal 7 mld dol., czyli jest to całkiem pokaźny kontrakt. Całkiem pokaźny kąsek dla każdej zbrojeniówki.

No i właśnie – niczego nie pisząc wprost ani nawet niczego wprost nie sugerując, a tylko delikatnie suponując – portal tvn24.pl w tym samym artykule opisuje tajemniczą spółkę założoną w Polsce w 2019 r. przez dwóch Koreańczyków. Spółkę, która przez kilka lat nie wykazywała się żadną nadzwyczajną aktywnością, aż nagle – na przełomie lat 2022 i 2023, czyli wkrótce po podpisaniu przez Polskę pierwszych umów z koreańskim przemysłem zbrojeniowym – wystawiła na rzecz koreańskiej spółki z branży zbrojeniowej dwie faktury z tytułu świadczenia usług doradczych; dwie faktury na rzeczone aż niemal 100 mln zł.

No i oto polska prokuratura – Prokuratura Regionalna w Warszawie – oraz niemało służb jawnych i tajnych wespół w zespół próbują ustalić, za co owa tajemnicza spółka, której nazwa na razie nie padła, a która posiada adres do korespondencji w jednym z warszawskich wieżowców, zainkasowała owe aż niemal 100 mln zł, a jeszcze bardziej – co się z tymi pieniędzmi później stało, to znaczy dokąd, a raczej do kogo one trafiły i za co. I czy mogło to mieć jakikolwiek związek z zakupem przez Polskę za 7 mld zł południowokoreańskiego uzbrojenia?

No, chyba że wszystko to, i to bez wyjątku – jak to mają w zwyczaju? – wyssali z brudnego palca i podrzucili jacyś Ruscy. Albo tuskowcy. ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Plan minimum wykonany

ŁUKASZ WARZECHA

Prezydent Nawrocki miał do wykonania w USA plan minimum – i go wykonał, nawet z lekkim naddatkiem. Plan polegał na zapobieżeniu negatywnym dla Polski skutkom Trumpowskiej strategii stopniowego ograniczania roli USA na świecie, czego częścią mogłoby być również zmniejszenie zaangażowania wojsk amerykańskich w naszym kraju. W tej sprawie właściwie nie ma dyskusji: czy nam się to podoba czy nie, obecność Amerykanów na polskim terytorium – oby jak najtrwalsza, bo tu jest wciąż dużo do zrobienia i wciąż nie jest to obecność porównywalna z tą w Niemczech – jest najlepszym gwarantem naszego bezpieczeństwa. Poza, rzecz jasna, sprawą pierwszorzędną, czyli rozbudową i wzmacnianiem naszych własnych sił zbrojnych. Tu udało się osiągnąć więcej, niż zakładano, bo poza zapewnieniem o niewycofywaniu sił US Army z Polski padła także deklaracja o ich powiększeniu. O szczegółach mają zdecydować dalsze rozmowy.

Prezydent poradził sobie na tyle dobrze – a przecież jest to jego międzynarodowy debiut – że trudno było znaleźć poważniejszą krytykę wizyty nawet w nieprzychylnych mu z zasady mediach. To jednak nie znaczy, że nie ma znaków zapytania albo rzeczy do zrobienia w przyszłości – o ile Karol Nawrocki będzie chciał w tym kierunku iść. Są dwa takie wątki.

Po pierwsze – ortodoksyjny stosunek do konfliktu na Ukrainie, który wydaje się podtrzymywać prezydent. W tym akurat momencie dopełnia to stanowisko samego Donalda Trumpa, coraz wyraźniej rozczarowanego postawą Moskwy. Niemniej dobrym kierunkiem nie jest ani obsesyjna antyrosyjskość (co nie znaczy, że należy nie doceniać rosyjskiego zagrożenia), ani obsesyjna proukraińskość. Stanowisko prezydenta USA może się w sprawie układu z Rosją i Ukrainą zmienić, podczas gdy my zostaniemy z naszymi niemądrymi dogmatami.

Po drugie – praca nad odejściem od wasalnego charakteru relacji z USA. Nie wiemy, jakie ustalenia zapadły za zamkniętymi drzwiami. Wiemy natomiast, że Ameryka – nie tylko z Donaldem Trumpem na czele, ale z nim przede wszystkim – prowadzi politykę transakcyjną. Co nie jest zarzutem, ale stwierdzeniem faktu (my również taką powinniśmy prowadzić). Czy w takim razie coś w zamian trzeba było dać? Jak ma wyglądać rola Polski, gdyby doszło do porozumienia w sprawie Ukrainy? Tego na razie nie wiemy. Miejmy nadzieję, że prezydent nie obiecał za wiele.

Dysproporcja sił pomiędzy Polską a USA wyklucza oczywiście równorzędne partnerstwo. Nie wyklucza jednak sprowadzenia wzajemnych relacji na nieco bardziej zrównoważony poziom. Tyle że to nie jest zadanie na jedną wizytę. ©℗

eprasa.pl 9920e5187b

Kto zarabia na dramacie Gazy?



Jakub Woziński

Każda wojna, a nawet ludobójstwo, daje okazję do zarobku. Nie inaczej jest także w przypadku trwającego od 7 października 2023 r. konfliktu na Bliskim Wschodzie

Według gazety „Haaretz" stawka za zniszczenie jednego dużego budynku wynosi w przybliżeniu 5,4 tys. zł, za mniejszy płaci się połowę stawki. Izraelskie firmy wręcz prześcigają się w dziele zniszczenia, pracując nawet w nocy FOT. AA/ABACA/ABACA PRESS/FORUM

eprasa.pl 9920e5187b

Najsłynniejszy dotychczas przypadek zaangażowania wielkich firm w masowych mordach miał miejsce w czasie drugiej wojny światowej. W niemieckich obozach koncentracyjnych swoje własne oddziały posiadały m.in. IG Farben, Siemens czy BMW. Pierwsza z nich, produkująca słynny cyklon B, miała w Norymberdze nawet wytoczony osobny proces i w konsekwencji została zmuszona do podziału.

Rozmiaru niemieckiego ludobójstwa z okresu drugiej wojny światowej nie sposób zrównywać z tym, co dzieje się obecnie w Gazie, ale niestety działania podejmowane przez Izrael zdecydowanie posiadają charakter ludobójczy. Zastosowany odwet już dawno temu stał się nieproporcjonalny do skali pierwotnego ataku. Pomimo tego bardzo wiele zachodnich firm i instytucji finansowych współuczestniczy w skandalicznych poczynaniach żydowskiego państwa, czerpiąc z tego tytułu znaczne korzyści.

SANKCJA ZA RAPORT

Wielką dyskusję na ten temat wywołał niedawno opublikowany przez włoską prawniczkę Francescę Albanese raport pt. „Od gospodarki okupacji do gospodarki ludobójstwa". W dokumencie tym autorka zarzuciła łącznie 60 korporacjom wspieranie działań Izraela w Gazie naruszających prawo międzynarodowe. W konkluzji raportu Albanese wezwała Międzynarodowy Trybunał Karny do zbadania sprawy oraz stwierdziła, że ludobójstwo w Gazie trwa, ponieważ jest lukratywne dla wielu środowisk.

Francesca Albanese pełni funkcję specjalnego wysłannika ONZ, co niestety bardzo negatywnie wpływa na jej wiarygodność. Organizacja Narodów Zjednoczonych już od dłuższego czasu jest w wielu aspektach tubą propagandową globalnego Wschodu. Nie bez powodu Donald Trump wyprowadził Stany Zjednoczone nie tylko ze Światowej Organizacji Zdrowia, lecz także z UNESCO. Organizacja, która została założona przy walnym udziale samych Amerykanów, prowadzi ostatnimi czasy politykę polegającą na nieustannej krytyce poczynań Izraela. Izrael nie pozostaje w tym zresztą dłużny, gdyż nieustannie oskarża odpowiedzialne za niesienie pomocy humanitarnej UNRWA o faktyczne wspieranie Hamasu, a rok temu zaatakował nawet rakietami konwój humanitarny, w którym zginął także Polak.

Na korzyść raportu Albanese świadczy z kolei fakt, że niemal natychmiast po jego publikacji amerykański sekretarz stanu Marco Rubio ogłosił, że Włoszka została na mocy specjalnego rozkazu wykonawczego obłożona sankcjami, obejmującymi zamrożenie jej aktywów w Stanach Zjednoczonych i zakaz wjazdu. Rubio zarzucił Albanese, że prowadzi „polityczną i gospodarczą wojnę" z USA i Izraelem.

Tak ostra kara za raport oskarżający Izrael o ludobójstwo, a amerykańskie firmy za współudział w nim pozwala zakładać, że Włoszka uderzyła w bardzo czuły punkt. Choć Donald Trump stara się okazywać publicznie Beniaminowi Netanjahu pełne poparcie, to wiadomo dobrze, że w prywatnych rozmowach z nim wyraża wiele frustracji i złości. Ostatnio zaś, wbrew dotychczasowej narracji, przyznał nawet dziennikarzom, że nie można udawać, iż na palestyńskim terytorium nie panuje prawdziwy głód. Można więc zasadnie twierdzić, że raport Franceski Albanese zawiera zbyt wiele niewygodnych prawd, aby amerykańsko-izraelski tandem mógł pozostać wobec niej obojętny.

BULDOŻERY, CHMURY I DRONY

Dokument pt. „Od gospodarki okupacji do gospodarki ludobójstwa" stanowi jeden wielki akt oskarżenia pod adresem dobrze znanych na całym świecie marek. Zakres udziału w skandalicznych poczynaniach żydowskiego państwa jest dość szeroki: część firm dostarcza zaledwie sprzęt czy kapitał, a inne są zaangażowane w działania skutkujące bezpośrednio pozbawianiem ludzi życia.

W raporcie Albanese wspomina się więc m.in. o firmach Volvo, Caterpillar czy Hyundai, które zapewniają Izraelowi ciężki sprzęt potrzebny do niszczenia domów i infrastruktury w Strefie Gazy. Pierwsza z firm, która mierzyła się już z podobnymi zarzutami wcześniej, reagowała na nie tłumaczeniami, że nie ponosi odpowiedzialności za to, jak korzysta się z jej produktów, oraz wykazując, że kupowane są poprzez niezależnych od niej pośredników. W przypadku firmy Caterpillar, która od dekad realizuje dostawy buldożerów, sprawa przedstawia się już inaczej. Tym bardziej że specjalnie na użytek Izraela konstruowane są nawet opancerzone i bezzałogowe pojazdy burzące, wykorzystywane w szczególnie niebezpiecznych warunkach.

Raport Albanese oskarża także wiodące międzynarodowe banki, takie jak BNP Paribas i Barclays, o wspieranie działań Izraela poprzez znaczne zakupy jego obligacji skarbowych. W przypadku drugiego z banków inne źródła wspominają także o tym, że miał on w ostatnim czasie znacząco zwiększyć finansowe wsparcie dla firm dostarczających Izraelowi uzbrojenie. Wsparcie to miało się dokonywać m.in. poprzez udzielanie korzystnych pożyczek oraz zakup akcji.

Ważny udział w izraelskiej machinie destrukcji mają także posiadać takie firmy jak IBM czy Microsoft. Według raportu ich działania polegają m.in. na przygotowywaniu specjalnych szkoleń dla izraelskich funkcjonariuszy, dostarczaniu oprogramowania do prowadzenia działań na okupowanych terytoriach czy też udzielaniu wsparcia w działaniach wywiadowczych. Wskazuje się, że firma założona przez Billa Gatesa swoje największe centrum chmurowe poza granicami USA posiada właśnie w Izraelu i bez jego pomocy izraelskie armia oraz państwo nie byłyby w stanie korzystać z tak zaawansowanych metod, jakie stosuje w działaniach militarnych.

POLETKO DOŚWIADCZALNE

Izraelska armia i służby specjalne są wyposażone w znaczną liczbę dronów, zdalnie sterowanych pojazdów, systemów monitoringu oraz zaawansowanych systemów szpiegowskich. Wiele wskazuje na to, że dokonywana sukcesywnie destrukcja Gazy służy wielkim firmom technologicznym, a także tym z branży militarnej, jako wielkie poletko doświadczalne pomagające usprawnić najnowsze technologie.

Powszechnie znanym faktem jest to, że już w styczniu 2024 r. specjalną umowę z rządem Izraela podpisała firma Palantir, specjalizująca się w oprogramowaniu służącym analizie danych. Tworzone przez nią narzędzia pozwalają wykorzystać sztuczną inteligencję m.in. do dokładniejszego naprowadzania rakiet i pocisków. Prezes Palantira, Alex Karp, wyrażał w ciągu ostatnich

eprasa.pl 9920e5187b

miesięcy bezwarunkowe poparcie dla działań Izraela, co spowodowało nawet odejście niemałej części pracowników firmy. W proteście wobec postawy spółki swoich udziałów w niej pozbył się pewien norweski fundusz inwestycyjny.

Jeśli wierzyć doniesieniom Albanese, to znaczący wkład w obszarze dostarczania Izraelowi najnowszych technologii wspierających działania militarne ma także Alphabet, czyli właściciel Google. Tak jak w przypadku Palantira, Google podpisał w 2024 r. z Izraelem specjalną umowę o współpracy, dlatego firma nie może zasłaniać się tym, że jej produkty są wykorzystywane wbrew jej intencjom. Co więcej, w lutym tego roku amerykański potentat zniósł nawet wcześniej obowiązujący zakaz wykorzystywania tworzonego przez siebie oprogramowania wykorzystującego sztuczną inteligencję do celów militarnych. Google udostępnia Izraelowi nie tylko swoje usługi chmurowe, lecz także systemy rozpoznawania twarzy. W raporcie stworzonym dla ONZ stwierdza się, że Izraelowi przyznano nawet specjalną, niestandardową licencję na korzystanie z produktów Google.

Zażyłe związki łączyły także do niedawna Izrael ze słynną uczelnią MIT z Bostonu, która ściśle współpracowała z firmą Ebit Systems z Hajfy. Spółka ta zajmuje się m.in. produkcją dronów, systemów radiokomunikacyjnych czy też systemów rozpoznania elektromagnetycznego. Trwające od dekady partnerstwo dobiegło końca dopiero w lutym tego roku pod naciskiem propalestyńskich organizacji studenckich.

Raport Albanese wspomina także, co oczywiste, o przepotężnej firmie inwestycyjnej BlackRock. W jej przypadku mówienie o wspieraniu Izraela może się wydawać wprawdzie nieco naciągane, lecz – jak słusznie zauważa Albanese – firma zarządzana przez Larry'ego Finka posiada udziały we wszystkich największych firmach bezpośrednio zaangażowanych we wspieranie Izraela, a na dodatek jest właścicielem znacznej ilości izraelskiego długu. Jest tajemnicą poliszynela to, że BlackRock potrafi skutecznie wywierać presję w określonych sprawach, wykorzystując swój ogromny portfel inwestycyjny, więc podobnie mogłaby uczynić także w przypadku Izraela i jego polityki. Wobec sytuacji w Gazie kierownictwo firmy zachowuje się jednak co najmniej pasywnie.

Według materiałów, do których dotarli dziennikarze, firma Boston Consulting Group zdążyła już stworzyć wszechstronny plan zbudowania w oczyszczonej z Palestyńczyków Gazie m.in. głębokowodnego terminalu dla statków, apartamentowców, autostrad i portu lotniczego

BURZENIE GAZY POD RIWIERĘ?

Oprócz wielkich technologicznych i motoryzacyjnych firm, banków czy funduszy inwestycyjnych swoją rolę w tragedii Gazy odgrywają także dużo mniejsze podmioty, zarabiające znaczne kwoty na systematycznej destrukcji budynków. Izrael prowadzi systematyczną politykę zmierzającą do całkowitego zniszczenia zabudowy Gazy. Według obrazów satelitarnych w sierpniu już 70 proc. wszystkich budynków leżało w gruzach, w tym aż 92 proc. wszystkich budynków mieszkalnych.

Część zniszczeń została spowodowana działalnością izraelskiej armii, jednak już od dłuższego czasu zadanie wyburzania zostało powierzone prywatnym wykonawcom. Według gazety „Haaretz" stawka za zniszczenie jednego dużego budynku wynosi w przybliżeniu 5,4 tys. zł, za mniejszy płaci się połowę stawki. Izraelskie firmy wręcz prześcigają się w dziele zniszczenia, pracując nawet w nocy. Obsługą udzielania pomocy humanitarnej oraz punktów kontrolnych zajmują się z kolei w Gazie amerykańskie firmy, m.in. Safe Reach Solutions. Zarzuca się im, że nie wywiązują się należycie z powierzonego im zadania i przymykają oczy na skandaliczne poczynania izraelskich służb oraz armii.

W lutym tego roku Donald Trump zszokował cały świat, w tym swoich największych zwolenników, pomysłem, aby zamienić pozbawioną palestyńskiej ludności Strefę Gazy w „riwierę Bliskiego Wschodu". W ramach tej wizji obszar ten miałby się znajdować pod zarządem Stanów Zjednoczonych, które uczyniłyby z niego specjalną strefę ekonomiczną połączoną z luksusowym kurortem turystycznym na wzór Dubaju.

Zapowiedź Trumpa mogła się początkowo wydawać tak samo wykonalna jak jego wcześniejsze plany zajęcia Grenlandii. Ostatnie doniesienia „Financial Timesa" udowodniły jednak, że cały projekt jest dużo bardziej zaawansowany, niż mogłoby się wydawać. Według materiałów, do których dotarli dziennikarze, firma Boston Consulting Group zdążyła już stworzyć wszechstronny plan zbudowania w oczyszczonej z Palestyńczyków Gazie m.in. głębokowodnego terminalu dla statków, apartamentowców, autostrad i portu lotniczego. Projekt o nazwie „Great Trust", który został już zaprezentowany administracji Trumpa, przewiduje, że przynajmniej części z obecnych mieszkańców Gazy należałoby zapłacić za przyspieszony exodus.

Co ciekawe, w ramach projektu w Gazie miała pierwotnie powstać także „Inteligentna Strefa Przemysłowa Elona Muska". Biorąc jednak pod uwagę to, że miliarder pokłócił się z Trumpem, plan zapewne nie jest już aktualny. Gdyby „Riwiera Trumpa" miała powstać, z pewnością znacznie zaangażowany w nią byłby zięć prezydenta, Jared Kushner, który już wiosną ubiegłego roku wypowiadał się na temat potencjalnie wielkich walorów Strefy Gazy dla przyszłych projektów z branży nieruchomości. Specjaliści z Boston Consulting Group policzyli, że gdyby cały projekt się powiódł, PKB Strefy Gazy miałby wynosić docelowo nawet 324 mld dol.

Nawet gdyby raport Franceski Albanese okazał się częściowo sfabrykowany, udział wielu zachodnich i izraelskich firm w trwającym dramacie jest bezdyskusyjny. Administracja Trumpa jest jednak gotowa użyć wszelkich dostępnych środków, aby stanąć w ich obronie. Sekretarz Rubio zarzucił włoskiej prawniczce, że szerzy „bezczelny antysemityzm", a tego rodzaju oskarżenie zachowuje wciąż na poziomie politycznym dużo większą moc niż podejrzenie o udział w ludobójstwie w Gazie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9920e5187b

OMODA 9 SUPER HYBRID



FOT. JAP

Aż 1100 km łącznego zasięgu. 537 KM mocy, 650 Nm maksymalnego momentu obrotowego oraz 4,9 s – zaledwie tyle trwa sprint od zera do setki. To najważniejsze liczby, które charakteryzują SUV-a marki Omoda. SUV-a, który ma pokazać, że Chińczycy potrafią robić nie tylko tanie samochody, lecz także zaawansowane technologicznie auta z kabiną niczym z biznesklasy.

Jest jeszcze jedna ważna liczba: 219,9 tys. zł. Tyle trzeba zapłacić za mierzący 4,775 m długości samochód, który pod kątem designu, użytych materiałów czy nowoczesnych technologii przypomina o wiele droższe auta, jak Mazda CX-60, Lexus RX czy Audi Q5. Wzrok przykuwają m.in. świetlisty pas LED, która łączy się z reflektorami, a także 20-calowe felgi. Nie jest to jeszcze w pełni zachodnie auto premium, ale bardzo niewiele mu do tego brakuje. Do tego standardzie Omoda 9 ma już kompletne wyposażenie. Na liście znajduje się zaś wiele elementów, za które w droższych markach trzeba jeszcze dopłacać (jak np. dach panoramiczny, elektryczne drzwi bagażnika, system audio Sony z 14 głośnikami, elektrycznie regulowana tylna kanapa czy opcja wentylacji oraz masażu w fotelach kierowcy i pasażera).

We wnętrzu królują zaś takie materiały jak skóra czy aluminium. Są też dwa duże wyświetlacze (po 12,3 cala), wyświetlacz przezierny oraz funkcjonalne pokrętła od klimatyzacji i trybów jazdy. Zarówno z przodu, jak i z tyłu miejsca jest dużo. W kabinie jest sporo schowków, a bagażnik ma 660 l pojemności.

Bardzo niskie jest też średnie spalanie, które w cyklu mieszanym wyniosło średnio podczas testu ok. 6 l/100 km. Wyłącznie na prądzie można bez trudu pokonać ponad 100 km (producent deklaruje, że nawet 145 km). Dobre wrażenie robią również świetne wyciszenie kabiny, komfortowe zawieszenie oraz precyzyjny układ kierowniczy. Napęd na cztery łapy sprawia zaś, że OMODA 9 Super Hybrid nadaje się również do jazdy poza asfaltem.

Model ten w testach EuroNCAP zdobył maksymalną liczbę pięciu gwiazdek, uzyskując 90 proc. punktów możliwych do zdobycia za ochronę dorosłych pasażerów i 85 proc. punktów za ochronę dzieci. Parkowanie ułatwia system kamer 540 st. oraz system, który odległość do przeszkody podaje w centymetrach. Na pokładzie jest też wiele elektronicznych asystentów, którzy nie tylko ostrzegają przed pojazdami w martwej strefie lusterek czy przed niezamierzoną zmianą pasa ruchu, lecz także mogą autonomicznie rozpocząć hamowanie, aby uniknąć kolizji lub chociaż ograniczyć jej skutki.

Podczas testu irytował mnie jedynie zaskakująco długi czas, jaki potrzebuje czasem skrzynia biegów DHT na to, aby przełączyć się z ruchu do przodu na wsteczny i odwrotnie. Tego modelu nie da się też zbytnio spersonalizować. Minusem mogą być też niewielkie możliwości personalizacji. Do wyboru są np. wyłącznie dwa kolory tapicerki (czarny albo czerwony).

SOUNDBAR SONOS ARC ULTRA


FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wysokiej jakości dźwięk, świetne przestrzenne brzmienie Dolby Atmos, dopracowane wzornictwo oraz intuicyjna obsługa – to największe zalety inteligentnego soundbara klasy premium amerykańskiej marki Sonos.

Sonos Arc Ultra to wzorzec z Sèvres dla soundbarów (w kategorii do 5 tys. zł). Elegancka i bardzo długa „listwa dźwiękowa" (jej wymiary 117,8 x 7,5 x 11,06 cm) to jedno z najpotężniejszych urządzeń tego typu na rynku. Na szczęście nasz test pokazał, że różne achy i ochy internautów nad tym soundbarem to nie tylko marketingowy hype (choć Sonos to taki Apple dla audiofilów, ma więc dopracowane wszystko, łącznie z kartonem, w którym przychodzi soundbar).

Najważniejsze jest jednak to, jak gra. Czternaście przetworników dźwięku – wykorzystujących takie technologie, jak Sound Motion czy Dolby Atmos – zapewnia użytkownikom na domowej kanapie kinowy efekt trójwymiarowości przestrzennego dźwięku 9.1.4. Co więcej, Arc Ultra pozwala nawet na bardziej realistyczne doznania niż w kinowej sali. W prywatnym kinie trudno bowiem o lepsze i gorsze miejsca. Złowieszcze podszepty szpiegów, krople deszczu padającego w Gotham City, świst naboi podczas strzelanin, ryk silników, huk wystrzałów czy śmigłowiec nadlatujący tuż nad nasze głowy – to naprawdę robi wrażenie.

Zastosowane w tym modelu algorytmy sztucznej inteligencji sprawiają również, że dialogi są głośne i wyraźne, dzięki czemu da się zrozumieć nawet kwestie wypowiadane przez współczesnych polskich aktorów.

Sonos Arc Ultra można też z powodzeniem wykorzystywać do streamingu muzyki. Soundbar zapewnia szeroką scenę dźwiękową. Na pochwałę zasługują też głębokie basy, dynamika dźwięku.

Obsługa jest intuicyjna. Wystarczy podłączyć soundbar do telewizora (HDMI eARC) i przeprowadzić konfigurację za pomocą aplikacji. Soundbarem można sterować za pomocą przycisków dotykowych, pilota telewizyjnego, głosu oraz aplikacji Sonosa (na szczęście wygląda na to, że ma już ona za sobą słabe dni, gdy system uporczywie udawał, że nie widzi dodanych wcześniej elementów). Kolejną zaletą testowanego modelu jest to, że Arc Ultra można szybko, łatwo i bezproblemowo połączyć bezprzewodowo z innymi głośnikami tego producenta.

Wady? Arc Ultra nie obsługuje formatu DTS:X. W aplikacji brakuje rozbudowanego korektora EQ. Poza tym długa belka może wyglądać nieco zbyt potężnie przy telewizorach o przekątnej obrazu mniejszej niż 50 cali.

Cena: 3899 zł.

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 9920e5187b

Moby Dick po czukocku



Rdzenni mieszkańcy Czukotki mogą złowić 140 wielorybów szarych rocznie

FOT. SHUTTERSTOCK



Jacek Pałkiewicz

Po dwóch wiekach bezlitosnego zabijania na masową skalę zapotrzebowanie na walenie spadło. Miejscowa ludność Syberii oraz Alaski i północnej Kanady wciąż jednak korzysta dla potrzeb własnych z przyzwolenia na przybrzeżne łowy. Dla ludzi całkowicie uzależnionych od połowów morskich udane polowanie jest uroczystym świętem

Załóż to! – poleca Wołodia, podając mi kamizelkę ratunkową. – To ryzykowne zajęcie. Nie chcemy nieść odpowiedzialności za twoje życie". W małej myśliwskiej chatce Eskimosów w Lorino nad Cieśniną Beringa kilkunastu mężczyzn o śniadej cerze, czarnych włosach i lekko skośnych, niedużych oczach przygotowuje się do polowania na wieloryba, a dokładniej mówiąc – na jeden z jego gatunków: pływacza szarego. Po pięciu miesiącach kończy się powoli, trwający od kwietnia, sezon. Do tej trudno dostępnej krainy na rubieżach Rosji trafiłem w 2006 r., po dziewięciu godzinach lotu z Moskwy. Wylądowałem w Anadyrze, stolicy Czukotki, potem długo szukałem helikoptera, aby dostać się do nadmorskiej osady, leżącej raptem 150 km do Alaski.

Mieszka tu w skrajnie nieprzyjaznych warunkach wiecznej zmarzliny ok. tysiąca Czukczów, jednego z najstarszych, ginących ludów północy, i setka ostatnich żyjących z łowiectwa morskiego Eskimosów balansujących na granicy przetrwania. Rolnictwo jest niedostępne ze względu na zlodowacenie podziemne, a hodowla bydła nie wchodzi w rachubę, bo nie ma gdzie wypasać. Jedni i drudzy, wyrugowani przez sowiecki model społeczeństwa i gospodarki, przymuszeni do „ucywilizowania", zagubili swój tradycyjny styl życia, zaprzepaścili prastare umiejętności łowcze, bo na morzu dominowała flota wielorybnicza. ZSRS produkował ponad 40 proc. z całkowitej światowej produkcji i połączeni w kołchozy tuziemcy pracowali w tej branży na lądzie. Wszystko odmieniło się w wyniku gwałtownego spadku populacji tych zwierząt. W 1986 r. Międzynarodowa Komisja Wielorybnicza wprowadziła zakaz ich połowu, przyznając jednak pewne kwoty ludom, których życie i losy są od nich uzależnione. Na Czukotkę przypada 140 egzemplarzy rocznie.

Byłem naocznym świadkiem agonii sowieckiego imperium. Widziałem, jak zaczął się kapitalizm w wydaniu rosyjskim i co z tego wyniknęło: bezprawie i korupcja. Moskwa pozostawiła rdzenne mniejszości samym sobie, zapewniając szanse dla najbardziej przedsiębiorczych oligarchów, którzy znaleźli tu ziemię obiecaną, wiedzieli, jak eksploatować bogaty w surowce Czukocki Okręg Autonomiczny. Dostawy żywności praktycznie ustały i u mieszkańców pojawiło się widmo głodu. Zdani na łaskę losu, aby przetrwać, musieli na nowo uczyć się dawnego rzemiosła, a do tego czasu dożyli tylko nieliczni starsi ludzie, którzy się na tym znali.

Obecnie autochtoni starają się wrócić do swoich korzeni i wierzeń, ale widząc zakorzenione u nich uzależnienie od alkoholu, a także wysoki wskaźnik samobójstw, nie wiem, jakie mają na to szanse. Żyją skrajnie ubogo, zdecydowanie poniżej minimum egzystencjalnego, cierpiąc niejednokrotnie głód, codziennie poddając się testowi przetrwania. Produkty żywnościowe i inne towary docierają tutaj statkiem raz w roku. Połowy na wieloryby to dla nich sposób na wyżywienie. Podkreślam ten fakt, bo nie mam ochoty słuchać krytyki różnorakich bojowników, ich etycznej natury pytań i oskarżeń

eprasa.pl 9920e5187b

o niehumanitarne zadawanie cierpienia fiszbinowcom zagrożonym wyginięciem. Mówią mi, że kiedyś zawitała tu grupka ekologów próbujących przekonać ich, aby zaprzestali polowań. Obiecali wysyłać im pomoc humanitarną. Nikt jednak nie przyjął tego na serio.

UZALEŻNIENI OD ADRENALINY

Jest godz. 6, poprzedniego dnia dostrzeżono na morzu ślady obecności waleni szarych, a pogoda jest korzystna, więc można wypływać. Nasza flotylla składa się z czterech łodzi motorowych, każda z czterema–sześcioma osobami. Jestem z trzema myśliwymi i dwoma 14-latkami, którzy przyuczają się do zawodu. Jeden z nauczycieli, daleki od moralizowania i akademickich lekcji, oszczędny w słowach, rzuca im: „Patrz, zapamiętaj, powtarzaj". Nie ma zbytecznych słów ani profesjonalnej inicjacji. Nikt nie wydaje też dyplomu „ukończenia edukacji", w odpowiednim czasie nastolatek otrzymuje harpun i wraz z dorosłymi wyrusza na polowanie.

Łodzie się rozpraszają. Wszyscy uważnie rozglądają się za białym zwiewnym obłoczkiem, wydechem zwierzęcia. Pośród nawoływań słychać, że ktoś dostrzegł trzy ssaki. Harpunnik na dziobie mojej motorówki też je wypatrzył i wymachując ręką, krzyczy podniecony: „Z prawej!". Natychmiast, przy akompaniamencie wycia silników, rozpoczyna się szalony pościg przypominający atak stada chartów za uciekającym niedźwiedziem.

Jednak walenie już zanurzyły się pod wodą i teraz trzeba poczekać pięć–osiem minut, kiedy ponownie wypłyną na powierzchnię, aby zaczerpnąć powietrza. Łowcy usiłują przewidzieć, gdzie mogą pojawić się następnym razem. W tym czasie muszą jeszcze ustalić, którego z trzech zaatakują. Najważniejsze jest, aby znaleźć się jak najbliżej miejsca, w którym pływacz szary się wynurzy. Idealnie być dwa–trzy metry od celu, a to zawsze jest najniebezpieczniejszy moment, bo prześladowany jednym machnięciem potężnej płetwy ogonowej mógłby wywrócić szalupę.

Gonimy więc na miejsce domniemanego spotkania. Harpunnik urywanymi słowami albo tylko gestem dłoni nakazuje sternikowi: „pełny gaz", „bardziej w lewo", „wolniej", „do tyłu", „stop, stop!". Od szybkości jego reakcji zależy zarówno bezpieczeństwo, jak i wynik polowania. Tony silnika zmieniają się nieustannie. Raz śmigamy, skacząc na fali z prędkością 40 km/h, potem robimy gwałtowny, prawie na miejscu zwrot, by po chwili stanąć w dryfie w zupełnej ciszy.

Wreszcie są. Krótka chwila pozwoliła dowódcy flotylli powziąć decyzję, który ssak będzie naszym celem, i wszyscy na nim się koncentrują. Nasza łódź okazuje się być najbliżej podczas kolejnego spotkania, ale stojący ze wzniesionym do ciosu drzewcem harpuna myśliwy na rozpędzonej, chybotliwej i podskakującej na rozkołysanym morzu łodzi nie był w stanie trafić i kilkunastometrowy kolos wyrwał się pogoni.

Obława podrywa się, a wraz z nią uaktywnia się dramatyczne widowisko. W podniecającym pościgu, pośród okrzyków i przekleństw, nieoczekiwanie motorówka Kostii praktycznie prześlizgnęła się po głowie walenia, nawet trącając go swoją śrubą. Ułamek sekundy później masywne, cygarowe ciało rodem z mitu i historii wynurza się na wyciągnięcie ręki, w swej pełnej krasie. Podniecenie sięga zenitu, podczas gdy gwałtowny gejzer sprężonego powietrza i pary wodnej oraz towarzyszące jemu ostre parsknięcie przyprawiają o palpitację serca. Szczęśliwy traf uchronił od katastrofy, a zdarzało się przecież, że wieloryb zanurkował pod łodzią i wyrzucał w powietrze tropicieli. Takie igranie z losem potrafi napędzić koszmarnego strachu, chociaż – jak powie mi potem 46-letni Anatolij – napięcie i emocje w takich chwilach pobudzają adrenalinę, która zwiększa energię i zapewnia przy tym uczucie euforii.

IGRANIE ZE ŚMIERCIĄ

Ten nader niebezpieczny zawód każdego roku zbiera tu ofiary. Dla miejscowych, którzy nie nauczyli się używać kamizelek ratunkowych, wypadnięcie za burtę może być równoznaczne ze śmiercią, bo ze względu na niską temperaturę nigdy nie nauczyli się pływać. Ale i kapoki asekuracyjne nie zawsze mogą być przydatne, zważywszy, że w lodowatych wodach śmierć z powodu hipotermii następuje bardzo szybko. Pozostaje mieć nadzieję, że współtowarzysze zdążą przyjść na czas z pomocą.

Rok temu po wywróceniu szalupy zaplątany w linach zginął wytrawny wielorybnik z Lorino, potem w wodach Cieśniny Beringa utonął jego pijany kolega. Jeśli do tego dodać wzburzone morze, mgłę czy dryfujący lód, to złowrogi obraz będzie bardziej kompletny. Starsi ludzie pamiętają, że kiedyś myśliwi nawet nie wracali po tych, którzy znaleźli się w wodzie, bo wierzyli, że wpadli w złe moce „Keli", żabnicy, diabła głębinowego o niebiańskim smaku, z którym lepiej nie zadzierać. Ten zwyrodniały zwyczaj miał też makiawelskie tłumaczenie: jeśli zaangażują się w akcję ratunkową, to mogą przegapić łup, a wtedy cała wioska będzie przymierać z głodu. Wybierali zatem mniejsze zło. W XIX w. w Stanach Zjednoczonych stwierdzono, że wielorybnictwo przemysłowe pochłaniało rocznie więcej istnień ludzkich niż jakakolwiek inna dziedzina gospodarki.

Wysoka wartość produktów, które można otrzymać z tych zwierząt, była powodem, dla którego ten sektor tak dynamicznie się rozwijał. Najbardziej cenionym substratem był olej wielorybi używany jako paliwo do lamp oświetlających domy i ulice. Z tłuszczu wytwarzano mydła, kleje, farby, proszek do prania, świece czy nawet margarynę. Giętkich fiszbinów używano do produkcji gorsetów i parasoli. Z zębów rzeźbiono klawisze instrumentów i guziki oraz kunsztowne ozdoby. Szczególnie cennym surowcem była używana do wyrobu perfum ambra – szara substancja powstająca z niestrawionych resztek kałamarnic w jelitach kaszalotów. Dziś poluje się głównie ze względu na ich mięso oraz tran.

Mówi się, że pływacze szare są najbardziej niebezpiecznym zwierzęciem, na jakie kiedykolwiek polował człowiek. Są ciekawskie i wesołe i same nie wykazują agresji w stosunku do ludzi. Jednak w sytuacji zagrożenia mogą przeistoczyć się w agresywnego zabójcę. Historia pokazuje, z jaką łatwością rozwścieczony waleń potrafi roztrzaskać łódź i posłać załogę na dno lub rozbić burtę drewnianego statku wielorybniczego. W listopadzie 1820 r. na Pacyfiku staranowany został statek „Essex". Dwudziestoosobowa załoga przez trzy miesiące walczyła o przetrwanie, niektórzy zginęli z pragnienia, głodu i chorób. Legendarna katastrofa stała

eprasa.pl 9920e5187b



Wielorybnik rzuca pierwszy harpun
FOT. ARCHIWUM AUTORA



Ranny wieloryb staje się bardzo agresywny FOT. SHUTTERSTOCK

się inspiracją dla Hermana Melville'a do napisania kulminacyjnej sceny łowieckiej w kultowej powieści „Moby Dick".

POLOWANIE JAK ŚWIĘTO

Tym razem Wołodia, najbardziej doświadczony brygadier, mocnym rzutem niezawodnie trafił harpunem w ciemnoszarą skórę z masą wczepionych miniaturowych muszelek, legowisko pąkli, pasożytniczych skorupiaków, podczas gdy sternik wyrwał się z pułapki, unikając uderzenia ogona o dużej masie. (Tradycja i metody polowań na wieloryby nie uległy większym zmianom od ponad tysiąca lat, harpuny też mają taką samą konstrukcję jak niegdyś, co poświadcza spektakularna galeria setek wyrazistych rysunków naskalnych odkrytych w 1965 r. nad rzeką Pegtymel w północnej Czukotce). Osadzony na drewnianym drzewcu harpun z grotem z zadziorami wbił się w 30-tonowe cielsko, kotwicząc w nim umocowaną na linie plastikową jasnoczerwoną boję, nazywaną tutaj „puff-puff", która ciągnie się za nim. Ma ona wyczerpać fiszbinowca i zmusić go do jak najczęstszego wypłynięcia na powierzchnię. Ponadto spowalnia jego ruchy i, co ważne, nie pozwala stracić ofiary z oczu.

Zaczepienie pływaka oznacza wypełnienie pierwszego zadania, a jednocześnie połowę polowania. Łódki z warczącymi motorami rwą w ślad za nim. Czekają, aż pływacz pojawi się ponownie. Kiedy ofiara się wynurza, by zaczerpnąć powietrza, motorówki niczym szakale okrążają ją w odległości kilku metrów. I tym razem po celnym rzucie kolejna boja pojawia się pośród morskich fal. Po 10 minutach ponownie ukazuje się ogromna głowa ranionego walenia, który próbując uwolnić się od dokuczliwych prześladowań, miota się, przesuwając ogromną masę wodną, która grozi wywróceniem odległej od niego o metr łodzi. Tropiciel jakimś ekwilibrystycznym ruchem, na ułamek sekundy przed zniknięciem potężnego ciała z powrotem w morzu, plasuje harpun i kolejny pływak.

Krwawiący morski gigant nie ma już szans ucieczki przed polującym. Siedem boi wyraźnie spowolniło rannego ssaka, który jednak wciąż dawał dowód swojego animuszu. Aby uniknąć śmierci z powodu utraty krwi i opadnięcia na dno, jeden z ciemiężycieli oddaje kilkadziesiąt strzałów z broni strzeleckiej, które przerywają jego mękę. Po pięciu godzinach nierówna walka dobiegła końca. Po obwiązaniu ogona linami można odholować tuszę zdobyczy do osady, gdzie z pomocą traktorów wyciągną go na brzeg. Ta chwila wzbudza duże ożywienie licznie przybyłych tu mieszkańców wsi.

Dla ludzi całkowicie uzależnionych od połowów morskich udane polowanie jest uroczystym świętem. Stoją teraz z nożami, beczkami, torbami, wózkami i z pełną szacunku niecierpliwością czekają na sygnał, że można kroić. Tradycyjnie zaczyna ten, który pierwszy wbił harpun. Twardzi, odporni na trudy, nieznający lęku mężczyźni, zahartowani wśród niebezpieczeństw niczym bohaterowie „Moby Dicka", w swojej osadzie uważani są za herosów. Łowczy rytualnie kroją dla siebie nożami w formie kosy kilkadziesiąt kilogramów najlepszych, grubych na długość dłoni płatów mantaka, skóry ze słoniną, po czym zostawiają miejsce oczekującym na tę chwilę. Każda osoba może wziąć tyle, ile potrzebuje. Ponieważ połowy mają charakter niekomercyjny, mięsa nie można sprzedawać, resztki zostaną złożone w naturalnej lodówce z wiecznej zmarzliny. Część łupu nienadająca się do spożycia zostanie oddana psom.

Niektórzy, tęskniąc za świeżym mięsem, pośpiesznie, nie czekając na obiad, już na brzegu przygotowują do jedzenia świeży przysmak, jakim jest mantak. Kroją go na małe kostki, obficie posypują solą i konsumują na surowo. Smakuje dziwnie, trochę łącząc w sobie intensywność wołowiny z lekkim rybnym posmakiem. W osadzie jedzą go na różne sposoby: marynowany, w formie kotleta czy pierogów. Modne restauracje w Oslo czy Tokio oferują steki z wieloryba, niby jadło nieprzyjazne dla środowiska, ale wciąż stanowiące kulinarną atrakcję dla turystów.

Wiadomo, że ofiara Eskimosów, samica, urodziła się w ciepłych wodach Zatoki Meksykańskiej i że każdego roku, po pokonaniu 6 tys. km, docierała do bogatych w pożywienie żerowisk na południe od Cieśniny Beringa, aby uzupełnić swoje zapasy tłuszczu. Tu wypasała się praktycznie 24 godziny na dobę. Można przypuszczać, że podczas długiej wędrówki niejednokrotnie agresywnie broniła swego potomstwa przed skoordynowanym atakiem jednych z najskuteczniejszych drapieżników, jakie kiedykolwiek istniały na naszej planecie, czyli orek oceanicznych. Im nie zagrażają żadne inne zwierzęta, nawet tak bezwzględni zabójcy jak żarłacz ludojad czy rekin tygrysi. Samica przeżyła czasy, kiedy jej gatunek był już bliski wytępienia, i uchodziła z życiem przed orkami, najgroźniejszym, obok człowieka, wrogiem. Tego ostatniego nie spotkała nigdy wcześniej podczas swoich kilkudziesięciu podróży. Lada dzień miała wyruszyć w kierunku swoich rodzinnych, ciepłych akwenów. Nie zdążyła.

Po dwóch wiekach bezlitosnego zabijania na masową skalę zapotrzebowanie na walenie spadło. Miejscowa ludność Syberii oraz Alaski i północnej Kanady wciąż jednak korzysta dla potrzeb własnych z przyzwolenia na przybrzeżne łowy. I chociaż międzynarodowa regulacja zezwala na „mądre" polowanie po odbudowaniu populacji tych ssaków do 54 proc. istniejącej przed okresem przemysłowego wielorybnictwa, to dzisiaj specjaliści uważają, że polowania przestały już być opłacalne z ekonomicznego punktu widzenia. Jednocześnie dobry interes robi przemysł turystyczny kilkudziesięciu krajów, proponując miłośnikom przyrody niepowtarzalny spektakl cieszących się wręcz mistyczną sławą gigantów mórz w ich naturalnym środowisku

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest reporterem, eksploratorem, odkrywcą źródła Amazonki, twórcą survivalu w Europie.

eprasa.pl 9920e5187b

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Kazimierska awantura Słabosza



JACEK KOMUDA

Dawny podkrakowski Kazimierz, dziś dzielnica, był niegdyś osobnym miastem, które nie miało dobrej sławy, jako że zamieszkiwało je pospólstwo, Żydzi i biedota. Tutaj też znajdowały się domy uciech i szynki, w których rozpusta i szelmostwo pleniło się niczym w biblijnej Sodomie, a jeśli nie w Sodomie, to prawie jak we współczesnym Rzymie.

I właśnie w okolicach rynku doszło na początku 1519 r. do awantury, której koniec był tragiczny zarówno dla sprawców, jak i dla ich sędziów. Otóż przybyło na Kazimierz trzech szlachciców – Andrzej Słabosz herbu Wieniawa, Andrzej Twardy-Górecki i Jakub Boniecki, którzy wyruszyli na miasto szukać przygód w ramionach łatwych i nadobnych dobrodziejek. Traf chciał, że po pijanemu pomylili domy, dobijając się do gospody, gdzie, jak podaje Marcin Bielski, mieszkały gościnnie poczciwe niewiasty. Gdy Słabosz „chciał tam uporem wnić, niewiasta gwałtu wołała; pojman Słabosz i przywiedziony na ratusz, osądzili o nim prawo gorące i ścieli. I w dół niechrześcijańskim obyczajem wrzucili, mieniąc nań, aby gwałt uczynił".



RYS. MART

To wszystko wymaga wyjaśnienia. Otóż nie wydaje się, aby wspomniany szlachcic i jego towarzysze – być może członkowie pocztu rycerskiego – wdarli się do kamienicy i dokonali gwałtu na niewiastach. Raczej schwytano ich w trakcie próby siłowego wtargnięcia do gospody. Jednak zostali przywleczeni na ratusz i natychmiast osądzeni. Owo „gorące prawo" to staropolska zasada mówiąca, że kogoś schwytanego „na gorącym uczynku", to znaczy w trakcie popełniania ciężkiej zbrodni jak gwałt czy zabójstwo, można osądzić w trybie doraźnym i natychmiast wykonać wyrok.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Tak uczyniono z trzema wspomnianymi obwinionymi, których wina, przyznajmy to – w świetle dzisiejszego prawa – byłaby znacznie mniejsza; raczej naruszenie miru domowego niż próba gwałtu. Za takowe uczynki można by osądzić wielu birbantów i rekonstruktorów. W XVI w. prawo widziało te sprawy inaczej. Dlatego Słabosza, Twardego-Góreckiego i Bonieckiego ścięto szybko i sprawnie na rynku kazimierskim. Zapewne dużą rolę w tej egzekucji odgrywały mieszczańska pycha, chęć upokorzenia szlachty, pokazania jej siły miasta nieobawiającego się, aby sądzić jej przedstawicieli.

Sprawa jednak miała przykre i niespodziewane konsekwencje. Było z nią tak, jak z tumultem toruńskim w 1724 r., o którym już kiedyś pisałem, i zabójstwem Andrzeja Tęczyńskiego w 1462 r. Niestety, winę za złą interpretację prawa musieli ponieść ci, którzy wydawali wyroki.

Rodziny Słabosza i innych szlachciców wniosły sprawę do sądów szlacheckich przeciwko wójtowi kazimierskiemu i ławnikom tworzącym sąd miejski, który skazał gwałtowników na śmierć. W kwietniu 1519 r. sąd grodzki uznał ich odpowiedzialność za to, że wydali niesłuszny i okrutny wyrok. Nie zamknął jednak sprawy, co doprowadziło do tego, że burmistrz, Kazimierza Stanisław Sieczka, oraz dwóch rajców – Piotr Szeląg i Stanisław Kawka – wyszli na wolność za poręczeniem licznych osób z patrycjatu miejskiego, cechów kazimierskich i innych godnych osób. Jednak przeciwna strona odwołała się do sądu sejmowego i królewskiego. Ostatecznie w lutym 1520 r. sąd na zamku królewskim wydał wyrok skazujący wspomnianego burmistrza i dwóch rajców na śmierć. Wyroki wykonano wkrótce na Wawelu, być może gdzieś pod basztą Lubranką, gdzie później ścięto Samuela Zborowskiego.

Sprawa Słabosza wywołała wielkie wzburzenie wśród szlachty. Na sejmie toruńskim 1520 r., jak podają Jan Kracik i Michał Rożek, uchwalono konstytucję wyłączającą sprawy z udziałem szlachty spod jurysdykcji sądów miejskich. Od teraz urodzony czy szlachetny, który popełniłby zbrodnię czy inny występek w mieście, mógł być tylko zatrzymany przez władze grodu, następnie musiał być przekazany do sądu grodzkiego starosty, który wydawał wyrok razem z radą miejską. Od tego zatem roku sądy miejskie straciły prawo karania szlachty, co pokazywało, jak bardzo zwiększały się wpływy tego stanu na władzę w Królestwie Polskim. Co więcej, w konstytucji znalazło się takie surowe sformułowanie: „Jeśliby zaś w jakimś mieście czy miasteczku urząd miejski wbrew powyższemu coś uczynił, wówczas starosta nasz grodzki, w obrębie którego jurysdykcji takowe miasto lub miasteczko się znajduje, ma uwięzić i ściąć burmistrza wraz z jednym z rajców". Od tej pory zatem przedstawiciele władz miejskich mogli być ścinani jak pospolici mordercy za przywłaszczanie sobie prerogatyw sądów grodzkich. ©℗

eprasa.pl 9920e5187b



SIOSTRY GOTUJĄ

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

Pielgrzymkowy sernik

Naszej pielgrzymki do Częstochowy z parafii św. Marcina w wiosce Wiewiec nie da się opisać w jednym artykule – tyle ciekawego dzieje się podczas drogi. Dobrze się idzie wśród przyjaciół i znajomych, dla nas to bardzo ważne. Coroczne pielgrzymki do Częstochowy wnoszą do naszego życia wiele dobrego, dają nam siłę na cały kolejny długi rok i też przez cały okrągły rok czekamy na kolejną, wspólną drogę. Jesteśmy już naszą tzw. rodziną pielgrzymkową. Razem idziemy, wspieramy się w chwilach słabości, wspólnie odpoczywamy i częstujemy się pysznościami, które specjalnie przygotowujemy na tę okazję.

Na postojach największym powodzeniem cieszą się dwie rzeczy – domowe ciasta, które dodają energii, i kotlety, szczególnie mielone, które dodają siły i łatwo je zjeść, gdy odpoczywa się gdzieś pod parafialnym płotem albo pod drzewem na kocu.

Ostatnim, czwartym przystankiem jest parafia w Lubojnie, to mała wieś położona tuż przed Częstochową w gminie Mykanów. Stąd na Jasną Górę ostatni, ale najtrudniejszy odcinek – od tablicy Częstochowa jest jeszcze kilkanaście kilometrów do celu, a zmęczenie daje się we znaki. Dlatego z wdzięcznością przyjęłyśmy zaproszenie księdza proboszcza parafii pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa na szybki odpoczynek przed wejściem na Jasną Górę i sernik, który rozpływał się w ustach, był wilgotny, a zarazem puszysty. Połączenie sera, brzoskwiń i kakao stanowi tercet idealny. Do tego kubek czarnej kawy i już mogłyśmy wyruszać dalej na ostatni etap naszej wspólnej drogi. Przy okazji serdecznie pozdrawiamy i dziękujemy za gościnę i księdzu proboszczowi, i parafiance, od której otrzymałyśmy przepis na ciasto.

Składniki na ciasto:

• 2 jajka • 2 łyżki kakao • 1 szklanka cukru • 0,5 kg mąki pszennej • 20 dag margaryny Kasi (można zastąpić masłem) • 2 łyżeczki proszku do pieczenia • 1 cukier wanilinowy

Mąkę wymieszać z proszkiem do pieczenia. Dodać kakao, cukier, jajka i margarynę, wyrobić ciasto na stolnicy i podzielić na dwie części, owinąć folią spożywczą i wstawić do lodówki na 1 godz.

Masa serowa:

• 1 puszka brzoskwiń w syropie • 1 kg sera (np. Mój Ulubiony) • 2 budynie śmietankowe bez cukru • 9 jaj • 1 szklanka cukru • kostka margaryny lub masła

Margarynę utrzeć z cukrem i żółtkami na masę, dodać ser i dwa budynie śmietankowe, wymieszać. Na koniec dodać pianę z jaj, ubitą na sztywno. Włożyć do sera i lekko wymieszać. Pierwszą część ciasta zetrzeć na tarce o grubych oczkach, wylepić nią blaszkę, następnie wlać masę serową. Brzoskwinie odsączyć z syropu i pokroić, wyłożyć na ser. Na koniec zetrzeć drugą część schłodzonego ciasta. Piec w piekarniku w temperaturze 180 st. C przez 1 godz. na funkcji góra-dół. ©℗



FOT. ADOBE STOCK



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Slajdy z wakacji

JOANNA BOJAŃCZYK

Gdy po wakacjach spotka się kilkoro znajomych, rozpoczyna się debata: Czy Gawrych Ruda jest lepsza niż Dubrownik? Czy pociąg do Chorwacji to męka czy wygoda? Czy można okrążyć Mont Blanc, nie wspinając się na szczyt? Czy jest ciągle sens jeździć nad Bałtyk? Mówi się o paragonach grozy, o luksusowej Juracie, gdzie tydzień w hotelu kosztuje 18 tys., o tym, że Zakopane to koszmar.

Każdy uważa, że jego pomysł na spędzenie lipca czy sierpnia jest najlepszy. Takie sobie gadanie.

Żeby gadanie. Nie, każde opowiadanie – ludzkim głosem – kończyło się niezmiennie po paru chwilach.

– Czekajcie, pokażę zdjęcia. I schwyciwszy smartfon, każdy w pośpiechu scrollował ekran pełen miniaturowych obrazków.

– Nie, nie, to Kreta zeszłego roku, tu jesteśmy z Magdą na Islandii w czerwcu, a tu w Mikołajkach.

Tak to wygląda. Błyskają ekrany, nie ma już rozmowy. Rozmawiają androidy i iPhone'y. Po co gadać, skoro zdjęcie to tysiąc słów? Każdy stara się pokazać, że jest zainteresowany zdjęciami sąsiada. Ale nie jest.

Ile można oglądać zdjęcia, na których nikogo nie znamy? Co nas obchodzi jakiś Sławek i po co mamy go oglądać na nie naszym telefonie, chociaż to skądinąd miły gościu. Każdy ma dość własnych zdjęć.

Mam już tak długą pamięć, że pamiętam slajdy, pocięte kwadraciki celuloidu, które oprawione w plastikowe ramki wkładało się do archaicznego sprzętu z szarego bakelitu. (To był rzutnik Bratek, na nim nasi synowie oglądali bajki o zajączkach). I nagle oczom wszystkich zebranych na ekranie (czyli na ścianie, z której zdjęto obraz) ukazywało się kolorowe zdjęcie! Na nim Marta wchodząca powoli do Morza Czarnego w Warnie, oglądająca się z dumą, gdyż wie, że jest nagrywana. Slajdy znad morza – duża rzecz. W tamtych czasach.

Dzisiaj każdy ma w smartfonie setki, o ile nie tysiące zdjęć i chętnie by się nimi podzielił. Ale kto chce oglądać? Chorobą naszej cywilizacji jest nadmiar obrazów. Właściwie interesują nas tylko fotografie najbliższych: rodziny i przyjaciół. Matki z dumą pokazują długonogie córki, ojcowie synów, którzy właśnie obronili licencjat gdzieś tam w Londynie.

Już wolę, jak znajomi zadzwonią, mogą gadać, nawet jak nudzą, ale przynajmniej niech nie pokazują zdjęć.

Jakiś czas temu znajomi, państwo w okolicach sześćdziesiątki, urządzili duże przyjęcie. Pan domu witał gości przy wejściu i wskazując na telefon, mówił: „Jedna choroba, jeden wnuk".

Te ograniczenia wydały mi się sensowne, ale oczywiście gdy smartfony poszły w ruch, nikt jednym wnukiem się nie przejmował. ©℗

eprasa.pl 9920e5187b



DEKAMERONKI

www.kosciol.pl

JERZY KARWELIS

Byłem ci ja ostatnio na Mszy w kościele. Wszystko było jak trzeba, ale w „ogłoszeniach parafialnych" natrafiłem na ciekawe „ogłoszenie". Ksiądz zwrócił uwagę, że ci, którzy chcą się zapoznać ze stanowiskiem Episkopatu wobec nowej szkolnej lekcji „edukacji zdrowotnej", niech sobie wejdą na stronę parafii i poczytają.

Sprawa tzw. edukacji zdrowotnej mięli się od dawna, ale wydaje mi się, że bardziej w domenie świeckiej niż kościelnej. Nowy przedmiot szkolny kompletnie nie wspomina o rodzinie, a jeśli już, to w kontekście negatywnym, opresyjnym. Relatywizuje płeć naturalną, wprowadza te wszystkie nowe łże-pojęcia, które w krytycznym dla formowania się tożsamości, nie tylko płciowej, młodego człowieka momencie mogą eskalować już i tak związane z tym wiekiem pomieszanie.

I teraz Kościół odsyła z tym wszystkim katolików na stronę internetową, zamiast ogłosić to w obowiązkowym liście pasterskim. W przededniu puszczenia dzieciaków do szkoły. Takiej szkoły. Nic nie wspomina o tym, że można wypisać (czyli aktywnie się sprzeciwić) dzieciaka z takich guseł do dnia 25 września i żeby rodzice się zastanowili i zareagowali. Nie mówi z kazalnicy, co o tym sądzi, ale odsyła do lektury. Sam list Episkopatu jest dość poprawny – prawidłowo diagnozuje cele tego przedsięwzięcia, wskazuje na zagrożenia, ale był napisany w maju i powinniśmy być już po jego wielokrotnej lekturze i po wielomiesięcznej wspólnotowej i kościelnej debacie na ten temat. A takiej debaty nie zauważyłem, prędzej wśród świeckich. To zaś kolejny dowód, że Kościół hierarchiczny nie nadąża już za Kościołem ludowym. Zawsze byłem przeciwny takiemu podziałowi. Ale co ja zrobię, że rzeczywistość dostarcza ciągle dowodów na ten rozłam?

Dzieciaki poszły do szkoły, która z nadania uśmiechniętej koalicji przypadła lewakom i ich agendzie. Szkoła w znacznym stopniu wymyka się spod kontroli rodziców, dzieciaki przechodzą – przy biernej postawie rodziców – na państwowe, zideologizowane, a praktycznie w wielu przypadkach przeciwne rodzicom wychowanie. Wielu rodziców przegapia ten moment, gdyż sami są dobrze w tej mierze „wychowani". Teraz i Kościół (nie wiem, czy cały czy tylko mój proboszcz) chowa głowę w piasek: napisał nawet fajne oświadczenie, ale jest jak niegdysiejsi dysydenci – dał świadectwo w liście do władz i w piłatowym geście umył ręce. Ale takie asekuranctwo wróci nie tylko w postaci aksjologicznego konfliktu w łonie rodziny, lecz także jako krokodyle łzy już wylewane przez hierarchów, kiedy do kościoła przyjdzie (a przyjdzie w ogóle?) fala wychowanków takiej agendy. ©℗



#WARTO

To jest chore!

JAN POSPIESZALSKI

Tylko do 25 września rodzice mogą jeszcze wypisać dziecko z tzw. edukacji zdrowotnej (EZ).

Rangę zagrożenia trafnie rozpoznali działacze organizacji rodzicielskich i część środowiska pedagogicznego (KROPS), organizując od roku w całej Polsce pikiety, protesty i spotkania. Nigdy dosyć informowania, tym bardziej że nawet od osób – wydawałoby się – świadomych słyszę pytania: „O co ta cała awantura?".

Rzecz w tym, że EZ w planowanym kształcie to nie tylko demoralizacja. To swoisty eksperyment społeczny. Inżynierowie społeczni unieważniają dotychczasowy obraz człowieka zdrowego z natury, jeśli nic nie zakłóca jego stanu. Według ideologów z WHO, oblepiających tę organizację NGO-sów i służb medycznych państw członkowskich, zdrowie staje się konstruktem społecznym, którego definicję i utrzymanie przejmuje państwo (a właściwie globalne organizacje). Teraz System określa, co jest „zdrowiem", i staje w roli nadzorcy.

Widać to było podczas „walki z pandemią". O tym, czy ktoś jest chory, nie decydowały objawy, ale test PCR. W przypadku pozytywnego odczytu często zupełnie zdrowi ludzie byli pod przymusem izolowani. Podobnie jest z nakazem szczepień i obowiązującymi protokołami leczenia (a właściwie nieleczenia).

Koncepcję zdrowia jako konstruktu społecznego definiowanego przez system widzimy w zmianach, którym podlega ICD (międzynarodowa klasyfikacja chorób). Nowe ICD-11, zamiast płci biologicznej, wprowadza do obrotu prawnego i medycznego pojęcie płci „odczuwalnej". Znajdziemy tam również zjawisko „nieszkodliwej pedofilii", a z listy zaburzeń znika homoseksualizm. EZ idzie właśnie w tym duchu. Uczy, co jest zdrowiem, jak i od kiedy rozpoczynać współżycie seksualne, jak postrzegać własne ciało, płeć, jak żyć, jak jeść. Uczniowie dowiedzą się np., że zachowania autoseksualne (samogwałt) to naturalna sprawa, taka jak biologiczne zjawiska okresu dojrzewania, zarost czy trądzik. Seksualność odarta jest z intymności, wypreparowana nie tylko z norm moralnych, lecz także z kontekstu relacji osób, więzi, miłości, odpowiedzialności, małżeństwa i rodziny.

Zamiast osoby świadomej i wolnej w swych decyzjach kształtuje jednostkę miotaną przez popędy. Seksualność ludzka oderwana jest od kontekstu przekazywania życia, od odpowiedzialności, najważniejsze są: subiektywne zadowolenie, przyjemność, zaspokajanie potrzeb i oczywiście antykoncepcja. Jeżeli zaś dzieci jeszcze nie wiedzą, co jest tą potrzebą, bo naturalnie ten etap jest przed nimi, to właśnie System ma w nich te potrzeby uświadomić, rozbudzać i potęgować. ©℗

eprasa.pl 9920e5187b



ĆWIERKOT

Jęki było słychać i dyrdum

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Zatrważające były przepowiednie dotyczące początku września roku Pańskiego 2025. To znaczy byłyby, gdyby były, a może były, tylko nie natrafiliśmy na nie, co nie jest w sumie ważne, biorąc pod uwagę, jak bardzo zatrważające! Stop. Według proroctw, na których ślad co prawda nie natrafiliśmy (ale mogliśmy), ludzie z bólu mieli dostawać pomieszania zmysłów, a także fixum oraz często dyrdum. Zaiste! I jak tu nie wierzyć w proroctwa?! Stop. Cóż się bowiem okazało: po wizycie Karola Nawrockiego w USA jęk i zawodzenie komentatorów słyszane były na kilometry, a zgrzytaniem protez zawzięci politycy budzili na Wilanowie psiecka. Stop. Michał Szczerba, jadąc samochodem, udzielił wywiadu, mówiąc: „Nawrocki, który dostał też za zgodą premiera ten pewien monopol na relacje z Trumpem i administracją prezydencką". Stop. Zaraz, chwileczkę, niby Tusk dał Nawrockiemu jakąś zgodę na rozmowy z Trumpem? Stop. Może nie powinniśmy być tu zbyt krytyczni, może to zwykłe opętanie? Stop. Pewność mamy natomiast co do Grzegorza Schetyny, którego zesłał do Senatu Tusk za próby udawania człowieka wolnego. Otóż pan Grzegorz ocenił wizytę prezydenta Polski w Stanach następująco: „Amatorszczyzna, patrzę na to z przerażeniem". Stop. Tu mamy do czynienia – nie ma cienia wątpliwości – z chrzęstem protez. Śledzący uśmiech sceny politycznej wiedzą, o co chodzi, a nieśledzący niech się przyjrzą, jak pan Grzegorz się uśmiechnie. Stop. Teraz Witold Jurasz, kiedyś dyplomata, dziś publicysta polskojęzycznego Onetu: „Sukces w Waszyngtonie odniósł nie Nawrocki, a wicepremier Kosiniak-Kamysz". Stop. Według mojej oceny (ale skłonny jestem do dyskusji) to jest przypadek dyrdum, gdyż – jak by to powiedzieć – Władysława Kosiniaka-Kamysza w Waszyngtonie nie było i być może z tego powodu nie widział się z Donaldem Trumpem. Stop. A teraz truskawka na torcie (prawa autorskie do wyparcia wisienki truskawką ma Tomasz Hajto) – Bartosz Wieliński, czyli wice-Michnik, czyli publicysta „Gazety Wyborczej". Ten mógł otrzymać od jakowychś mocy z bólu pomieszanie. Stop. Z czego wnioskuję? No z tego, że przecież ja i miliony Polaków widzieliśmy przebieg wizyty na żywo, spokój, luz, serdeczność. A co tymczasem zza bielma ukazało się Bartoszowi? Cytat: „Widać było, że Nawrocki w świecie dyplomacji jest dopiero na początku długiej drogi. Nie ma doświadczenia, nie ma też obycia, jeśli chodzi o międzynarodowe wizyty. W Gabinecie Owalnym siedział spięty i raczej wycofany". Cóż, zdaje mi się, że część komentarzy niektórych publicystów oceniających spotkanie Karola Nawrockiego z Donaldem Trumpem była gotowa, zanim Nawrocki wsiadł w Warszawie do samolotu... ©℗



SPODE ŁBA

Prezes, Churchill i de Gaulle

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Zaskakujące dyskusje toczą się aktualnie w gronie liderów polskiej prawicy. Dotyczą one kwestii tak pierwszorzędnego znaczenia jak etykieta, walka z dyskryminacją i grzeczne traktowanie osób w podeszłym wieku. Pretekstem do zażartego sporu okazały się słowa byłego już prezydenta Andrzeja Dudy. Skłonny do wybujałej uczuciowości polityk poskarżył się Bogdanowi Rymanowskiemu: „Nie będę ukrywał, że troszkę mi się tak przykro zrobiło, kiedy doszło do tego pierwszego spięcia, kiedy prezes Jarosław Kaczyński zareagował na – powiedzmy, mało grzeczne – zaproszenie do spotkania ze strony pana Mentzena". Zraniony brakiem taktu prezydent udzielił politykom Konfederacji stosownych pouczeń. „Chłopaki powinni pamiętać o tym jednak, że prezes Jarosław Kaczyński to jest pokolenie naszych rodziców, a oni są młodsi ode mnie jeszcze w dodatku. To jest pan, który w jakimś sensie jest pod tym względem człowiekiem starej daty, oczekuje pewnych podwyższonych norm kulturowych od polityków młodszych od siebie i uważam, że te normy zachowania warto zachować i warto grzecznie zapytać, gdzie zechciałby się spotkać, czy może trzeba przyjechać do niego".

Słowa Andrzeja Dudy wzburzyły byłego prezesa TVP, Jacka Kurskiego. Sięgnął on w polemice po broń stosowaną głównie przez lewicowych radykałów. Ich ulubionym zabiegiem retorycznym jest zarzucanie przeciwnikom dyskryminacji – np. ze względu na rasę, płeć lub upodobania seksualne. Zdaniem Jacka Kurskiego wypowiedzi Andrzeja Dudy to „modelowa dyskryminacja i wykluczenie ze względu na wiek". Przypisuje on byłemu prezydentowi „obsesyjny ejdżyzm mitygowany tanim symetryzmem". Postać Jarosława Kaczyńskiego porównuje Jacek Kurski do osoby Churchilla (81 lat w chwili oddania władzy), de Gaulle'a (79) czy Adenauera (87), „którym wiek nie przeszkadzał w sprawnym działaniu w wielkiej polityce". Zarzuca też Andrzejowi Dudzie „nostalgię za jakimś projektem, który miał wystrzelić, gdyby Karol Nawrocki przegrał. Projektem, który się rypnął, bo Kaczyński znowu wygrał". Karol Nawrocki mógłby więc, ewentualnie, przegrać ostatnie wybory prezydenckie – gdyby nie wygrał ich „jedyny realny zwornik obozu polskiego, który ocalił zdolną do zwycięstw machinę wyborczą PiS". Mowa o Jarosławie Kaczyńskim.

Sztuka składania hołdów bywa, w pewnych okolicznościach, umiejętnością cenną i starannie kultywowaną. Jacek Kurski posiadł ją w stopniu, który nawet członkinie koreańskiego „pleasure squad" przyprawiłby o kompleksy i wynikający ze wstydu rumieniec. ©℗

eprasa.pl 9920e5187b



WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Fale i skały

Polacy to naród jak mało który potrzebujący, by się zrozumieć, i tak mało się rozumiejący. Co powoduje, że dość często wzmagamy się w uczuciach i tak często nie pozostaje po nich wiele śladu? Ostatni triumf Karola Nawrockiego był przykładem takiej fali uczuciowego poruszenia nadziei opartej na wiarygodnym przekazie, na prawdziwych wartościach i wspólnym dobru. Ale przecież od razu odezwały się wściekłe pomruki funkcjonariuszy Partii Lepszych, mocno stąpających po skałach realiów: układów, na które nie ma rady, i zastarzałych słabości: pychy, zawiści i kompleksów niższości przykrywanych poczuciem wyższości. Czy entuzjazm wyborczy przetrwa i czy nie przytłoczą go kolejne manipulacje medialne oraz troska o sprawy codzienne?

Uczuciowe fale mają zresztą różne kierunki. Jeszcze niedawno w mediach społecznościowych dominowały szyderstwa z „pisiorów". Dziś przedmiotem „szydery" są miny i kłamstwa ministrów od prywatyzacji dobra wspólnego, niesprawiedliwości i szkodnictwa. Wydawać by się mogło, że fale te zmiotą jeden czy drugi „obóz" polityczny, ale sondaże prawie stoją w miejscu. Zgoda: coś tam się trochę rusza, ale jak na poziom emocji rusza się niewiele, tak jakby zasadniczą masę naszej ludności trudno było naprawdę do czegoś przekonać. Grożą nam zapaść finansów publicznych, najazd „nachodźców", rząd ewidentnie szkodzi, a publiczność w dużej mierze wydaje się mało tym wszystkim przejęta lub twardo stoi przy swoim.

Poruszają się tylko powierzchowne fale, a pod spodem jest obojętna rzeczywistość. Jej głównym składnikiem są kwestie życia codziennego: żeby zarobić, żeby kupić, żeby zdążyć, żeby się rozerwać i mieć święty spokój. Najważniejsze są ulubione seriale, główną lekturą kolorowe pisma z plotkami lub telefon z miliardem niepotrzebnych drobnych komunikatów o ciuchach, chorobach i potrawach. Pewnie, że ważny jest dron, który wybuchł na Lubelszczyźnie, ale na Lubelszczyźnie, a nie u nas. Poza tym, co to było, kto wie? Jedni mówią tak, inni inaczej, lepiej się nie wdawać w te awantury, a kto winien, nie wiadomo. Poza tym, co to zmienia? Czy od tego gadania będzie lepiej? Taka jest rzeczywistość naszego dnia codziennego. Na tej skale trudno coś zbudować.

Przypomina się stale porzekadło o Polaku mądrym po szkodzie. Ale czy nie jesteśmy już świadkami szkody? Czy trzeba zobaczyć obce czołgi, żeby zauważyć, że dzieje się tak wiele niedobrego? Za ekstrawagancję rządzącej ekipy, która musi się szybko dorobić na władzy, zapłacimy wszyscy, zarzucenie projektów rozwojowych przyniesie zastój gospodarczy, nieuczciwi sędziowie skażą nas wedle swego widzimisię, depcząc prawo i prawdę materialną, ogłupieni w szkołach uczniowie nie będą się orientować, gdzie są i co powinni robić. Rosja nie przegrała wojny na Ukrainie. Niemcy zaczynają budować silną armię. Dzieci rodzi się u nas coraz mniej, a telewizja transmituje imprezy z szalejącym facetem w czerwonych gaciach. Wymowna inteligencja wybrzydza na kiboli gotowych bronić granic i swoich dziewczyn, a czołowym tematem mediów jest forma Roberta Lewandowskiego.

Skała, którą jest rzeczywistość naszego życia codziennego, już zaczęła się kruszyć, bo jest to skała osadowa wygody, bezmyślności i egoizmu. Czy jeszcze uda się ją uszlachetnić i umocnić? Karol Nawrocki dał sygnał. Został on podjęty przez miliony ludzi w duchu patriotyzmu. Jak przełoży się to na uzdrowienie życia codziennego? Nie prześpijmy tej chwili. Czterdziestopięciolecie Solidarności dodatkowo zobowiązuje. ©℗

REKLAMA



Projekt współfinansowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

eprasa.pl 9920e5187b

AMERYKA!



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOŚNICKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Jak PKN (prezydent Karol Nawrocki) leciał do Ameryki? Nasz Air Force One to Boeing 737-800 i mamy takie trzy. Do USA poleciały dwa, jeden jako zapasowy. Samolot prezydencki w zasadzie nie jest w stanie przelecieć Atlantyku. Najczęściej musi tankować na Islandii. Prezydent jest wówczas proszony o opuszczenie pokładu i przejście do „budynku lotniska" wielkości kurnika, gdzie czekają kawa oraz ciasteczka. Zawstydzające w sytuacji, gdy przeciętny turysta leci do Ameryki zwykłym rejsowym bez tankowania po drodze.

Zawstydzające, ale i niebezpieczne – tankowanie obcego paliwa, na obcym lotnisku, pobyt prezydenta w kurniku, którego nie jesteśmy w stanie ochronić, kawa, której nikt nie sprawdził. Gdyby ktoś chciał nam zrobić krzywdę, ma doskonałą okazję zaaranżować katastrofę. Sikorski zginął na Gibraltarze, a Kaczyński pod Smoleńskiem – takie jest nasze doświadczenie historyczne. A ja mam paranoję i widzę zagrożenia, gdzie ich nie ma? Niezupełnie.

Jest wiele sił na świecie, którym Nawrocki nie w smak. I są to siły poważne, o bardzo długich rękach. Putin potrafił podać trującą herbatkę jednemu ze swoich MAŁYCH przeciwników. Nie ruszył się z Moskwy, herbatkę podano w Anglii i przeciwnik wykorkował. Scenariusz z podaniem trujących ciasteczek na Islandii jest jak najbardziej wykonalny i łatwy w realizacji.

***

Około 60 proc. Polaków popiera weto prezydenta w sprawie pomocy dla Ukraińców. Przewodniczący Związku Ukraińców w Polsce nawtykał Nawrockiemu. Inny obywatel Ukrainy ogłosił, że gdyby jego rodakom odebrano „800+" to będą podpalenia. Nawrocki ma wrogów, Polska ma wrogów – takie są okoliczności. Wrogiem prezydenta RP jest m.in. obecny premier RP i to jest ten sam premier, który był wcześniej wrogiem prezydenta Kaczyńskiego – takie mamy doświadczenia historyczne. A w dodatku premier RP to facet, po którym można się spodziewać różnych wyskoków – to on na spotkaniu dyplomatycznym udawał, że strzela Trumpowi w plecy. Dlatego ochrona prezydencka powinna brać pod uwagę wszystkie scenariusze, nawet absurdalne, a najlepiej, gdyby wszyscy mieli paranoję na punkcie bezpieczeństwa i wozili na Islandię polską kawę i ciastka.

***

Tym razem PKN nie musiał lądować w drodze do USA. Gdy samolot prezydencki leci prawie pusty, wówczas daje radę dociągnąć bez międzylądowania. Aby to było wykonalne, może zabrać maksymalnie 32 osoby i tyle właśnie zabrał. Reszta foteli była pusta. Dziennikarze i osoby mniej ważne poleciały samolotem zapasowym, a w prezydenckim był tylko PKN, ultra-VIP-y i ochrona. Mieli tyle pustego miejsca, że mogli się bawić w chowanego.

***

Nie wiem, czy Karol Nawrocki zna Amerykę, czy był kiedyś na wycieczce lub u rodziny, czy ma orientację, jak mocno Ameryka różni się od całej reszty świata. Gdy turysta pojedzie do USA po raz pierwszy, dziwi się wielu rzeczom i wtedy pada fraza: „Ameryka, panie. Ameryka!" – wyraz podziwu dla potęgi i zjawisk, których nie ma nigdzie indziej.

Przykład: gdy byłem w USA po raz pierwszy, dziwiło mnie, że wiadukty nad autostradami są takie szerokie; za szerokie. Tak jakby ktoś wybudował z rozmachem na pokaz. Wytłumaczono mi, że to nie jest żadne „na pokaz", lecz „na zapas". Gdy budują autostradę, to wiedzą, że za czas jakiś trzeba ją będzie poszerzyć o dodatkowe pasy ruchu. Może za lat 10, może za 30, ale kiedyś nadejdzie ta potrzeba. I co wtedy ze zbyt wąskim wiaduktem? Przebudowa wiaduktu jest o wiele bardziej kosztowna niż postawienie szerszego zaraz na początku. I tak właśnie stawiali – dodatkowe przęsła na lewo i prawo aby w przyszłości dało się pod nimi dobudować dodatkowe pasy ruchu. Ameryka, panie. Ameryka!

Przypomniało mi się to, gdy jechałem autostradami z Gdańska do Warszawy. Zrobiły się zbyt wąskie kilka lat po otwarciu i dawno powinny zostać poszerzone, ale nie ma na to miejsca pod wiaduktami.

***

Gdy jechałem z Gdańska do Warszawy, mijałem różne szyldy oraz napisy na ciężarówkach. Koło drogi duża firma Budkrusz, czyli kruszywo budowlane. Na drodze cysterna z napisem: Trans-mlecz – czyli transport mleczarski. W Ameryce takie firmy nazywają się po prostu i na skróty: KRUSZYWO albo ŻWIR, a na cysternie byłby napis MLEKO i ewentualnie numer telefonu. W mojej wiosce w Arizonie mamy dwie firmy wywożące szambo. Napisy na tych cysternach są bajecznie proste – na jednej SZAMBO, na drugiej SZAMBIARZ. Faceci od koszenia trawników, mają na pick-upach napisy: koszenie, kosimy, trawnik, ogrody. Prosty przekaz jednym słowem wprost do celu. Ameryka, panie!

***

Przekaz ekipy Trumpa też jest prosty, a do tego zawsze pozytywny – podnosi na duchu, mówi o tym, co naprawiamy, a nie o tym, co poprzednia władza zepsuła. Ludzie z administracji Trumpa nie oglądają się na poprzednią władzę, bo to nic nie daje – jadą naprzód. Robimy, budujemy, poprawiamy, wymyślamy, rozwijamy, zwyciężamy, prześcigamy innych, jest lepiej, niż było kiedykolwiek, a będzie jeszcze lepiej. Trump obiecał w kampanii, że będziemy zmęczeni sukcesami i mówił prawdę – jesteśmy. Ameryka nie nadąża się cieszyć; tyle tego jest. Codziennie jakiś duży lub kolosalny powód do radości.

Amerykańska lewica traci poparcie nawet wśród żelaznego elektoratu, bo jest stale nadąsana, nie umie się cieszyć, chce krytykować, a ponieważ nie bardzo jest co krytykować, to stoją w miejscu i mówią, że im się ogólnie nic nie podoba, ale nie umieją powiedzieć co konkretnie. Ekonomia się nie podoba, gdy ceny spadają, a płace rosną? – tego lepiej nie mówić na głos.

W Polsce PiS robi ten sam błąd – krytykują Tuska, czyli wciąż słyszymy przekaz negatywny i mamy tego dość. Przecież ja sam wiem, że Tusk jest paskudny. Chciałbym usłyszeć coś pozytywnego, co PiS robi teraz, gdy jest w opozycji. Bo na pewno nie chcę słyszeć, że PiS nic nie robi, ponieważ jest w opozycji i nic zrobić nie może. ©℗

eprasa.pl 9920e5187b

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

ABP FULTON J. SHEEN: „DEKLARACJA PODLEGŁOŚCI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~998 ZŁ~~

465,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 533 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 9920e5187b

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 9920e5187b